

ALEKSANDRA / SZALEK

WYKLUCZENI

NOVAE RES

Aleksandra Szalek

WYKLUCZENI



NOVAE RES

Spis treści

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

ROZDZIAŁ I

Od kilku dni nieustannie mżyło, ale tego ranka gęste drobne kropelki deszczu zmieniły się w prawdziwą ulewę. Dopiero po południu zaczęło się przejaśniać. Ulica Staffa zawsze wyglądała ponuro, a odkąd deszcz nie ustępował, nad kamienicami unosiła się mglista szaruga. Tego lipcowego dnia 2008 roku nie przejechał tędy żaden samochód, dlatego widok tyłu rozgniecionych żab wzdłuż asfaltowej drogi był zjawiskiem co najmniej dziwnym.

Dziewczyna w ciemnej kurtce i czarnych kaloszach omijała małe trupki płazów, dopatrując się przeróżnych szlaczków ułożonych z ich małych ciałek. Spod kaptura wystawały czarne kosmyki włosów, których długość z obu stron była różna. Z jednej strony pasma sięgały jej do ramion, z drugiej natomiast głowę miała ogoloną, co uwidaczniało czarnego pająka - tatuaż, który zafundowała sobie na piętnaste urodziny. Odsłonięte ucho było poprzekłuwane różnymi kolczykami. Jeden z nich tworzył tunel - niezbyt duży, ale wystarczający, żeby przełożyć przez niego palec.

Deszcz siąpił lekko, a mimo to odgłos uderzających o kaptur kropel przypominał jej odgłos gradu uderzającego

o blachę. Szła lekko pochylona, trzymając ręce w kieszeniach, co jakiś czas podskakiwała, chcąc ominąć stado zdechłych żab. „Ale tu tego cholerstwa! ” – pomyślała, gdy któryś raz z rzędu przechodziła obok stosika umarłych. Wzdrygnęła się z obrzydzenia, choć wiedziała, że za pięć minut przyjdzie ulewa, dzięki której wszystkie trupki spłyną wraz z deszczem do studzienki, a ze studzienki być może przedostaną się do podziemnych bunkrów.

Liczba korytarzy, komór i przejść składająca się na podziemny schron nikomu nie była znana, ale każdy mieszkaniec wiedział, że w 1988 roku znaleziono tam zwłoki chłopaka. Idąca ulicą dziewczyna nie przypuszczała, że historia się powtórzy i od tego lipcowego popołudnia minie raptem parę dni do chwili, gdy w podziemiach znów będzie leżało czyjeś ciało.

Wiele osób pamięta ten tragiczny sierpień 1988 roku. Dwa makabryczne wydarzenia wstrząsnęły wtedy miasteczkiem. Najpierw wybuchł pożar w budynku dla niepełnosprawnych, później w bunkrach zmarło dziecko. Choć od tamtych wydarzeń minęło dwadzieścia lat, ci, co je pamiętają, straszą tych, którzy o wstrząsającej historii dowiedzieli się z opowieści. I straszą ich skutecznie, bo niemal wszystkie dzieciaki omijają bunkier szerokim łukiem, jakby to on był źródłem potworności.

Z daleka dobiegał stukot przejeżdżającego pociągu. Wszyscy w tym miasteczku byli przyzwyczajeni do tego hałasu, bo pojawiał się średnio co dwanaście minut. Z ulicy Staffa nie dochodził natomiast żaden odgłos, prócz tego, który

powodowały ulewa i kalosze dziewczyny wpadające w kałuże i bryzgające dookoła wodą. Asfalt już dawno zaczął przypominać dziurawy papier ścierny, dlatego w wyszczerbieniach i zapadlinach gromadziła się woda.

Dziewczyna przechodziła właśnie obok szeregu przedwojennych kamienic, oddzielonych podwórkami – to właśnie te budynki czyniły tę ulicę ponurą i mroczną. Były stare, zniszczone i wyglądały jak wyjęte z czarno-białej fotografii, której właściciel nie darzył szczególnym sentymentem. Znajdowały się po obu stronach ulicy Staffa, były identyczne, co z kolei przechodnie nazywali fatamorganą.

Gdy weszła do jednej z klatek, woda z jej kurtki zaczęła skapywać na kamienną podłogę, pozostawiając mokre plamy. Rozejrzała się wokół siebie, próbując dostrzec cokolwiek, czego mogłaby się chwycić, ale panowały tu egipskie ciemności.

- Nienawidzę tego miejsca! – powiedziała do siebie ze złością. - Nie ma tu nawet normalnego włącznika światła.

Trochę czasu minęło, zanim dziewczynie udało się oświetlić klatkę. Żarówka wydawała odgłos jakiegoś bzyczenia, jakby zaraz miała się spalić.

Czarny kot sąsiadki zdążył ją minąć i zatrzymać się na jednej z wycieraczek, kiedy zorientowała się, że ktoś ściągnął z drzwi tabliczkę z nazwiskiem pana, który zmarł tydzień temu. Ogarnęło ją jakieś przygnębienie. Patrzyła na ślady świeżo ściągniętej tabliczki, wspominając pogrzeb sąsiada – pierwszy pogrzeb człowieka, którego знаła. Nie płakała; nigdy nie płakała publicznie, uważała to za obciach.

- Odczep się - powiedziała, gdy miauczenie kota wyrwało ją z rozmyślań.

Z piwnicy dochodził zapach wilgoci i starego grzyba. Czasami docierały odgłosy miauczających kotów. Weszła na pierwsze piętro i otworzyła drzwi znajdujące się najbliżej schodów. Wchodząc do przedpokoju, rzuciła na podłogę służący jej za torbę czarny worek, z przyszytą przez siebie białą czaszką. Klamkę od drzwi pokoju młodszego brata miała na wysokości brzucha, ale rzadko z niej korzystała. Z całej siły kopała, póki nie wyważyła drzwi.

- Dostałeś od ojca kasę?! - krzyknęła, ale siedzący przy biurku chłopiec nie oderwał oczu od kartki papieru.

Malował żaby, widocznie nie tylko dziewczynę poruszył widok ich trupków, ale w jego wersji wydarzeń spotkał je inny los niż w rzeczywistości - przeskakiwały z zielonej trawy i wpadały do kałuży.

- Odpowiadaj, gnoju, dostałeś czy nie?! - Chłopiec nie reagował. - Dostałeś, kurwa?! - wrzasnęła raz jeszcze i uderzyła brata w głowę.

Na kartkę papieru natychmiast chlusnęła krew. Teraz urocze żabki topiły się w płamie rzadkiej czerwonej farby, razem z okularami, które zleciały dziecku z nosa.

Gdy człowiek patrzył na tego chudego, wątłego chłopca o zbyt bladej i lekko wykrzywionej buzi, myślał: „Ale mi go szkoda ” lub „Dobrze, że ja nie jestem taki brzydki ”. Rzadko u kogo potrafił wzbudzić agresję. Wygląd kogoś upośledzonego wywołuje raczej dwa uczucia: współczucie lub wstręt, albo współczucie i wstręt jednocześnie. U Olgi

wywoływał coś więcej niż wstręt – kierowała nią nienawiść, ale nie do chłopca, a do czegoś lub kogoś, kto pozwolił mu się takim urodzić; niektórzy nazywają go Bogiem, inni genetycznym przypadkiem. Za każdym razem, gdy patrzyła na brata, myślała, że świat jest cholernie niesprawiedliwy. Więc w jej przypadku agresję wywoływał żal, taki ogólny, na całokształt rzeczywistości.

- Olga, wyjdź! Co ty wyprawiasz?! - usłyszała za sobą głos ojca. - Przynieś ręcznik, szybko! Coś ty narobiła?! - krzyczał ojciec, ale rozległ się trzask i dziewczyny już nie było w mieszkaniu, a chłopiec pochylał się nad swoją pracą i patrzył, jak krew i kapiące mu z oczu łzy topią żaby, dlatego płakał jeszcze mocniej.

*

Olga wybiegła na zewnątrz. Już nie padało. Sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła paczkę papierosów. Pierścionki o dziwnych kształtach zdobiły jej każdy palec. Odpaliła pierwszą fajkę, ale wypadła jej z dłoni, wpadając prosto do kałuży.

- Kurwa! - mruknęła ze złością i sięgnęła po kolejną.

- Hej, Olga! Chodź tutaj! - usłyszała głos dochodzący od strony boiska. Odwróciła się. - Tu, spójrz na lewo!

Zaraz za huśtawką, za pniem ogromnego starego dębu stała Maja - przyjaciółka Olgi.

- Co ty się tu tak ukrywasz?

- Z tego samego powodu, co ty - powiedziała, rozglądając się na boki i wstrzymując oddech, ilekroć ktoś przechodził.

- Ja się nie ukrywam. Jak chcę palić, to palę.

- Słyszałaś to? - przerwała nagle Maja, wbijając wzrok w ziemię. Przechyliła się na bok, przystawiła palec do ust, na znak milczenia, i nasłuchiwała.

- Jakies odgłosy z bunkra - odpowiedziała Olga, wzruszając ramionami i przerywając chwilę absolutnej ciszy. - Nie martw się. Wątpię, żeby twoi starzy chodzili po podziemiach i stamtąd kontrolowali liczbę wypalanych przez ciebie fajek - dodała, przytrzymując w buzi resztki dymu, które wypuściła dopiero, gdy zaczęła się śmiać.

A śmiała się z Majki. Wszyscy znajomi uważali ją za największego mięczaka, ponieważ bała się wszystkiego: owadów, wysokości, psów, strasznych historii, dalekich podróży, wody itd. Można by wyliczać w nieskończoność. Nie umiała jeździć na rowerze. Jeden upadek spowodował, że nigdy więcej nie wsiadła na damkę, którą dostała od rodziców na Komunię. Nie wstydziła się tego, że pali, tylko bała się reakcji staruszków, jakby obawiała się, że dostanie karę jak wtedy, gdy była dzieckiem.

- Już któryś raz je słyszę - powiedziała Majka, nie reagując na zaczepki Olgi. - Wydaje mi się, że ktoś kręci się po bunkrach.

- Nie fantazuj.

- A coś ty taka nieswoja?

- Pokłóciłam się z młodym. Właściwie to go wyzwalam, jak zwykle, i wyszłam.

- Nie szkoda ci go? Olga, przecież on jest...

- Wiem, jaki jest, i to mnie najbardziej wkurza. Chodź nad zalew.

- Teraz? Przecież jest zimno i przed chwilą padało! - powiedziała Majka, próbując zniechęcić koleżankę do tego pomysłu. Nawet zaczęła przeskakiwać z nogi na nogę, udowadniając, że dopadł ją nagły chłód.

- Idziesz czy nie?! - niecierpliwiła się Olga, rzucając niedopałek papierosa w wilgotną trawę. Znała Majkę i wiedziała, że do wszelkich spacerów na świeżym powietrzu zawsze trzeba ją zachęcać albo po prostu stawiać przed faktem dokonanym.

Maja nie odpowiedziała. Szły przez siedem minut, nie mijając po drodze żywej duszy. Chodnik wyglądał, jakby ktoś dotąd uderzał w niego siekierą, aż wszystkie płyty będą przypominały niesymetryczne puzzle, albo jakby na nim wybuchały granaty, rozwalając wszystko wokół w drobny mak. Wzdłuż całego chodnika, w odległości trzydziestu metrów od niego, biegły tory.

Ilekróć przechodziły obok przejazdu kolejowego, Olga przypominała sobie artykuł z jednej z lokalnych gazet. Ktoś napisał, że łącznie na tych torach zginęło ponad dwieście osób. Nie była to liczba powalająca na kolana, biorąc pod uwagę, że pociągi przejeżdżały tymi torami średnio co dwanaście minut. Wiosną 1996 roku dróżnik zapomniał opuścić szlaban. Nieważny był powód, nikogo nie interesowało, czy facet walnął sobie w pracy drzemkę, czy po prostu gorzej się poczuł i zasnął, w każdym razie szczątków ponad pięćdziesięciu osób, które wracały tego dnia z pierwszej zmiany zatłoczonym autobusem, można było szukać w promieniu stu metrów. Jadący pośpiech nawet nie

zdążył zacząć hamować. Mieszkańcy pobliskich kamienic mówili, że takiego hałasu w życiu nie słyszeli. Majka zobaczyła wtedy ludzką głowę i wskazując na nią paluszkami, zapytała taty: „A co to? ”. Widok nie okazał się dla niej traumą, dziewczynka miała wtedy trzy lata, więc uznała ściętą głowę za włochatą piłkę.

Dziewczyny weszły na tereny tak zwanych „skałek ” – tak mieszkańcy mówili na ścieżkę prowadzącą nad zalew, którą otaczały głazy i kamienie wyglądające niemal jak skały. Wokół rosły same krzaki, krzewy i drzewa. Nocą nie docierało tutaj światło żadnej ulicznej lampy. Skręcając w lewo, w ciągu minuty dochodziło się do lasu. Idąc prosto, mijało się osiedle baraków.

Wszystko to, co składało się na osiedle baraków, nie wyglądało jak należy: ani ludzie, ani mieszkania, ani kontenery. Bliźniacze budynki, nie pokryte żadną farbą, albo do siebie bezpośrednio przylegały, albo był między nimi metrowy odstęp tworzący błotne przejście i służący mieszkańcom za wysypisko śmieci.

Przechodziły obok jednego z takich przejść, kiedy kilku dorosłych mężczyzn zaczęło się ze sobą przepychać. Powód bójkę był nieznany. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy dostrzegli mijające ich dziewczyny.

- Ta czarna smarkuła z moim synem do klasy chodzi - wybełkotał jeden z nich, trzymając w ręku butelkę z piwem.

Olga wiedziała, że to ojciec Drągala - jednego z chłopców, który po raz trzeci próbuje skończyć gimnazjum. Drągala był tak samo wysoki jak jego ojciec. Wydawało się, że ich długie

pokraczne nogi chwieją się, ilekroć mocniej zawieje wiatr, a swoje małe głowy mogliby wsadzić między sztachety w płocie. „Pewnie tępotę też ma po ojcu ” – pomyślała zaraz po tym, jak stary krzyknął, że baraki to dziadostwo i należy wyjechać do Stanów, bo w Londynie przynajmniej ludzi nie szukają.

- Najwidoczniej jego mapa uwzględniała tylko to miasteczko - powiedziała Olga, spoglądając na chichoczącą Majkę.

Dziewczyny wiedziały, że kiedy kilku cepów zaczyna dyskutować na temat polityki, bezrobocia lub ekonomii, należy bez słowa ich ominąć.

Nigdzie nie spotkało się tyle patologii co tutaj. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przechodził tędy samotnie, a jeśli przypadkiem znalazł się w tym miejscu, później opowiadał znajomym, że chyba przyśnił mu się koszmar. Trudno było odróżnić wariatów od pijaków, bo i jedni, i drudzy wyglądają jak zniszczone karykatury ludzkie. Ubrani są podobnie. Noszą wymiętoszone dżinsy, na których osiadły różne odpady spożywcze lub - co gorsza - naturalne. Często zakładają buty nie do pary. Potrafią mieć na jednej nodze dziurawego trampka, a na drugiej psu z gardła wyjętego sandała. Nie było tajemnicą, że po tylu nocach spędzonych na schodach, niskich murkach albo w przydrożnych zaroślach, zapach ich przepitych i przepoconych ciał jest odrażający.

Aby najkrótszą drogą dostać się nad zalew, trzeba przejść przez osiedle baraków i przez tory... Przejście jest o tyle niebezpieczne, że należy zdać się na słuch, ponieważ pociąg

w ciągu sekundy może wyłonić się zza zakrętu. Miejsce, w którym tory gwałtownie zmieniają kierunek, jest całkowicie zasłonięte drzewami i dzikimi gąszczami, dlatego niektórzy radzą, aby pochylić się i sprawdzić, czy szyny drgają – jeżeli tak, to znaczy, że pociąg jest już blisko.

Tutejsze dzieci organizują tu bardzo niebezpieczną zabawę... Testują swoją odwagę. Stają między jedną a drugą szyną i czekają na nadjeżdżający pociąg. Gdy natężenie hałasu wzrasta i słychać stukot kół, dzieciaki nie ruszają się z miejsca. Kto najdłużej wytrzyma, nie uciekając przed nadjeżdżającym pociągiem, ten ma jaja wielkości arbuza.

Dziewczyn nie zdziwił fakt, że i tym razem staną się świadkami głupiej gry.

- Ale, frajerze, nie oszukuj! - krzyczał może ośmioletni blondynek do swojego przestraszonego kolegi. - Jedną nogą stajesz na prawej szynie, drugą na lewej! - Buszmen, spójrz, jak mu się nogi trzęsą, zaraz popuści!

Buszmen, czyli drugi kumpel blondynka, chłopiec o pyzatej, piegowatej twarzy, w odpowiedzi zaśmiał się, ale wcale nie wyglądał na wyluzowanego. Mrugał powiekami dwukrotnie częściej, niż robi się to normalnie i przygryzał wnętrze własnego policzka.

- Pęka siusiumajtek! - dodał Buszmen po chwili, chcąc zapunktować. Wiedział, że jest tchórzem, ale umiał to skrętnie ukryć. Miał dziecięcy bebecch, który wypływał w postaci galaretowatego tłuszczu znad krótkich spodek, ale widocznie mu to nie przeszkadzało, bo ani razu nie próbował go schować. Ciemnozielona rozciągnięta koszulina

chłopaka miała wyszczerbione brzegi, jakby ktoś przeciął ją nożyczkami, aby wiecznie spocone dziecko nie ugotowało się pod warstwą sztucznego materiału.

Wszyscy wyglądali, jakby przed chwilą skończyli bójkę w brudnej piaskownicy. Mieli poobijane kolana, które drapali, chcąc zedrzeć świeże strupy. Często wybuchali śmiechem, rzucając się małymi kamyczkami i żwirem, które mieli pod stopami. Ponieważ dopiero przestało mżyć, dzieciaki brudziły się błotem za każdym razem, gdy sięgały po leżące w wilgotnej ziemi kamienie.

Teraz chłopcy stali jeden obok drugiego i czekali na pierwszy sygnał nadjeżdżającego pociągu, czyli na drganie szyn pod butami. Ręce unieśli do góry, jakby mierzono do nich z pistoletu.

- Łapy do góry, Buszmen, takie są zasady! - krzyknął któryś z nich.

Mijały sekundy, ale tym chłopcom wydawało się, że czekają tu dobre kilka minut. Każdy z nich traktował tę grę jak prawdziwy test wytrzymałości psychicznej. Na tym osiedlu, aby zostać bohaterem, trzeba przyłączyć się do zabawy. Jeżeli się nie zdecydujesz, to wśród dzieciaków zawsze będzie miał opinię tchórza i frajera.

- Lolo, chyba coś słyszę, a Ty?! - krzyczał Buszmen, wywołując przedwczesny skok adrenaliny. Stał na palcach i przechylał się na bok, niemal spadając z szyny, ale nie udało mu się zobaczyć, co dzieje się za zakrętem, bo zarośla zbyt gęsto rosły na poboczu.

Blondynek o przydomku Lolo wyszczerzył małe kiełki,

skupiając wzrok na torach.

- Nic nie słyszę, a ty zawsze gadasz bzdury! - odpowiedział obruszony.

Tylko raz, w 1998 roku, zginął tu chłopiec, który zbyt długo wpatrywał się w zakręt, a tymczasem pociąg nadjechał z drugiej strony.

Hałas potrafi zmylić i nie zawsze wiadomo, skąd dobiega.

Olga nie miała w zwyczaju sprawdzać, czy szyny drgają. Przechodziła przez tory, licząc na szczęście. Nawet się nie zawahała, zanim zrobiła krok naprzód.

- Olga, stój! - krzyknęła za koleżanką Maja, ale tamta była już po drugiej stronie.

- Jeszcze trochę tam postoisz i noc nas zastanie! No dawaj, nic nie jedzie!

Maja kucnęła i przyłożyła dłoń do torów. Nic nie wskazywało na to, aby miał za chwilę nadjechać pociąg, więc obrawszy sobie za punkt Olgę, biegła, nie patrząc na boki ani pod nogi. Ledwie zeskoczyła z torów, kiedy usłyszała głośne trąbienie i w ciągu ułamka sekundy pośpiech już przejeżdżał im przed twarzami. Później usłyszały dziecięce wrzaski po drugiej stronie. Buszmen, Lolo i ich kolega zdążyli zbiec i już śmiali się, przybijając sobie piątki. Dziewczyny poczuły ulgę, bo żadna z nich nie chciała być świadkiem śmierci któregoś z tych małolatów.

Przeszły wolno wzdłuż ścieżki, a mokre od deszczu chwasty porastające całe pobocze uderzały je po nogawkach dzinsów. Wzdrygały się za każdym razem, kiedy tędy przechodziły, bo tereny były niemal bagniste. Kiedy zdołały

uporać się z wielkimi głębokimi kałużami, docierały do dzikich wysypisk śmieci. To miejsce było chyba jeszcze gorsze. Nic tak nie budzi wstrętu, jak widok zniszczonej przez człowieka przyrody. A ludzie wyrzucali tu dosłownie wszystko, nawet fotele. Ilekroć mijały porozdzierane worki, zatykały nosy. Bały się zaczerpnąć powietrza, które tym razem ze świeżością nie miało nic wspólnego.

Z oddali już wylaniała się brązowo-zielona woda. Zawsze taka była, niezależnie od pory roku, a wszystko przez gliniaste dno i wodne rośliny, które porastały cały zalew. Kiedyś panowie tu wędkowali, teraz mawiali, że „ryby nie biorą”.

Gdy dotarły do plaży, Majka powiedziała, że chciałyby zatopić to miasto.

- Jego się nie da zatopić... - Olga kopnęła plastikową butelkę, jakby czuła się tym faktem rozczarowana. - Bunkry wchłonęłyby całą wodę! - dodała.

- Przydałby się jakiś porządny kataklizm, który zmyłby tę dziurę z powierzchni Ziemi.

Dziewczyny niby żartowały, ale nienawidziły tego miejsca. Wydawało im się, że dawno temu ktoś zakleszczył je w jakiejś pułapce i nie zamierza wypuścić, a tą pułapką było to miasteczko.

- Może porządny kataklizm zmyłby to miasto, ale tylko to, co nad ziemią. Bunkrów nic nie ruszy.

- Dobre byłoby i to.

Plaża - kilka lat temu będąca prawdziwą czystą piaszczystą plażą - w tej chwili była na wpół zarośnięta trawą, chwastami; piach był brudny i wychodziły spod niego papierki,

pety, butelki plastikowe, szklane i kamienie. Nikt nie zadał sobie trudu, aby ją uprzątnąć.

Parę metrów za plażą znajdowała się betonowa muszla koncertowa. Drewniana scena umieszczona była pod kamienną kopułą. Wokół pozostały jeszcze cztery ławki i rozsypujący się parkiet do tańczenia. W ciągu dziesięciu lat nie odbył się tu żaden koncert. Mieszkańcy wspominają często, że tereny nad zalewem tętniły życiem. Odbywały się tu festyny, zawody sportowe, wszyscy mieli dostęp do łodzi, żaglówek.

Kilkanaście metrów dalej mieścił się duży basen dla dzieci z kamienną ślizgawką. Mimo okresu wakacyjnego nikt jednak nie napęłnił go wodą. Wzdłuż całej plaży znajdowały się drewniane domki, w których kiedyś zatrzymywali się turyści. Teraz lepiej prezentowały się już baraki.

Na tym terenie było wszystko: boiska, baseny, domki, muszla koncertowa, stara, zamknięta od kilku lat restauracja, wieża ratownika, a nawet drążki do wykonywania ćwiczeń gimnastycznych. Cały obiekt niszczał i na dodatek straszył – wchodzący tu narażony był na widok czterech wbitych na wysokich palach tuż przy ogrodzeniu drewnianych kotów. Z pewnością nie były one ozdobą i właściwie nie wiadomo ani po co, ani kiedy, ani przez kogo zostały tam umieszczone.

Dziewczyny weszły na jeden z pomostów, z którego rozpościerał się widok na cały zalew, a także na tory, dlatego nawet będąc nad wodą, słyszy się przejeżdżające pociągi.

- Olga, co ty robisz?! - krzyknęła przerażona Maja, patrząc na koleżankę, która wspinała się po wąskich

szczeblach drabiny.

- Wchodzę na górę!

- Drabina jest śliska! To niebezpieczne! - Maja zawsze panikowała, więc Olga nie zwracała uwagi na jej krzyki.

Metalowe poręcze i szczeble były wilgotne po deszczu. Niższa skocznia miała trzy metry wysokości, wyższa pięć. Gdyby którakolwiek z dziewczyn straciła równowagę, spadłaby albo na betonowy pomost, albo do wody. Pierwsza wersja upadku zakończyłaby się kalectwem lub śmiercią.

- Możesz mi wytłumaczyć, po co tam wchodzisz? - dopytywała Maja z rezygnacją.

- Byłaś tu kiedykolwiek? Na górze? - Maja pokręciła głową. - No właśnie, więc nie wiesz, co zyskujesz.

- Wiem natomiast, co stracę, jeżeli spadnę - dodała i zaczęła powoli wchodzić za Olgą.

- Daj rękę - zaproponowała Olga, będąc już na skoczni.

Gdy Maja wyciągnęła dłoń, aby Olga mogła ją chwycić, zobaczyła, że pod skocznią ktoś stoi. Postać mignęła jej przed oczami tak szybko, że dziewczyna nie zdążyła dokładnie zarejestrować jej twarzy, mimo to przestraszyła się i nieświadomie, mimowolnie puściła poręcz i natychmiast straciła równowagę. Wisiała niemal w powietrzu, wierzgała jedną nogą, drugą na szczęście opierała na szczeblu.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że Olga usiłuje ją przytrzymać, ściskając mocno jej rękę.

- Przestań panikować i skup się! - krzyczała. Maja nie reagowała. - Spójrz na mnie!

Maja w końcu przestała wrzeszczeć.

- Trzy centymetry dzieli twoją lewą nogę od drabinki. Nie patrząc w dół, przesun tam powoli nogę, ja cię trzymam - mówiła Olga, podpowiadając Mai, co powinna zrobić. Po chwili obie znalazły się na skoczni. Były bezpieczne.

Maja była przeciętnej urody nastolatką, a wszystko przez nienaturalnie wypukłe oczy, które - odnosiło się wrażenie - zaraz niepostrzeżenie wystrzelą. Poza tym miała mocno ścięte ramiona, które przy kobiecych, szerokich biodrach czyniły sylwetkę nieproporcjonalną i niezgrabną.

- Mówiłam ci, że to głupi pomysł! Mogłam spaść! - krzyczała, dygocąc jeszcze z nerwów.

- No i pewnie gdyby nie ja, to byś spadła.

- Śliskie te poręczce, prosiłam cię, żebyśmy nie wchodziły!
- powiedziała Majka z wyraźną pretensją.

- Nie moja wina, że jesteś fajtłapą! - śmiała się Olga, uważając, że jej koleżanka to zwykły cykor wyolbrzymiający swoją krzywdę.

- A w ogóle, to ja kogoś tam widziałam, dlatego puściłam poręcz! - dodała nagle Maja.

Wziąwszy pod uwagę, że były tam obie, a na pomoście i za pomostem nikt nie stoi, Olga uznała, że się przesłyszała, albo koleżanka ze strachu postradała zmysły.

- Co?

- Ktoś stał pod skocznią z... psem; białym dużym kudłatym psiurem - sprecyzowała.

- Majka rozejrzyj się. Nie ma tu nikogo!

Nad dziewczynami kołowało stado ptaków. Przelatywały tuż nad ich głowami, jakby pragnęły wykurzyć je ze skoczni.

- Nie jestem ślepa i jeżeli mówię, że ktoś tu był, to znaczy, że ktoś tu był!

- Twoja wyobraźnia mnie czasami przeraża... - rzuciła Olga i położyła się na betonowej skoczni.

Ptaki odfrunęły i pozajmowały gałęzie pobliskich drzew, by za moment znów bujać po zachmurzonym niebie, tuż nad dziewczynami.

Majka nie miała wybujałej wyobraźni i nie myliła się, mówiąc, że ktoś stał na pomoście z białym kudłatym psem, ale gdy tylko dziewczyna spojrzała w dół, postać i kundel zniknęli.

- Wiesz... moja mama opowiadała mi, że jej kolega z klasy, to było bardzo dawno temu, skoczył z tej skoczni na główkę - tylko nie trafił do wody... - powiedziała Majka, zmieniając temat.

- Co ty opowiadasz?!

- Naprawdę! Nie ściemniam. Ponoć stał tu, gdzie my teraz leżymy, i krążył po skoczni, przygotowywał się do skoku, a później okazało się, że chciał popełnić samobójstwo, bo przeskoczył przez tę barierkę - mówiła Majka, dotykając żółtej rurki - i centralnie upadł łbem z pięciu metrów na pomost...

- Ohydna historia... - skrzywiła się Olga. Chyba w każdym wizja chłopaka upadającego głową na betonowy pomost wzbudziłaby przerażenie. Po takich opowieściach człowiek aż czuje ból takiego upadku i mimowolnie łapie się za własną potylicę, jakby chciał się upewnić, że wszystko z nią w porządku.

- Wcale nie, bo gość nie umarł. Dostał wylewów, miał

złamany kręgosłup w iluś miejscach...

- I stał się warzywem... - przerwała Olga. - Chyba wolałabym umrzeć. Być dla całej rodziny ciężarem, a samemu nie móc żyć i przede wszystkim być pozbawionym nadziei na poprawę, jest czymś niewyobrażalnie okropnym. W takich przypadkach los udowadnia, że potrafi być wstrętny.

- Może i masz rację... Po co tu w ogóle jesteście?

- Wczuj się w klimat. Złap oddech i nie odzywaj się do mnie przez piętnaście minut - powiedziała Olga, po czym wyciągnęła papierosa i obie położyły się twarzami do ledwie świecącego słońca.

Chyba tylko ona potrafiła znaleźć w tym miasteczku miejsce, gdzie można było się zrelaksować. Z lotu ptaka wyglądało jak zniszczone dawno temu gniazdo, z którego wypadły pisklęta i teraz świeci pustką, będąc całkiem zapomniane.

Wszystko, co zostało tu stworzone przez człowieka, rozsypywało się. Skocznia, na której leżały dziewczyny, stoi tu od przeszło osiemdziesięciu lat. Betonowy filar dawno temu popękał, a z poręczy odrywają się resztki żółtej farby. Uchwyty częściowo zżera rdza. Tu niemal czuje się ich wiek. Po drugiej stronie pomostu umieszczono pięć słupków startowych. Kiedyś organizowano tu zawody pływackie. Teraz są to po prostu zniszczone sterczące kwadratowe stopnie. Pięćdziesiąt metrów od tego pomostu znajduje się drugi, identyczny, ale zamiast dwóch skoczni, przyczepione są tam stare, brudne, przez nikogo nieużywane kajaki i rowery wodne, które obijają się o siebie, ilekroć zawieje wiatr. Kiedyś

z tamtego pomostu ratownicy obserwowali plażę i kąpiących się w wodzie, teraz nie ma kto obserwować ani nie ma kogo obserwować.

- Wiesz, czego się najbardziej boję? - zapytała Majka, wrywając Olgę z drzemki.

- Nie wiem. Po tobie wszystkiego można się spodziewać. Może... zamkniętych pomieszczeń, wizji spędzenia nocy w studni albo w bunkrach... - wyliczała leniwie Olga.

- Nie. Chociaż niepotrzebnie wypaliłaś z tymi nocami w bunkrach. - Majka wzdrygnęła się na samą myśl. - Najbardziej boję się, że tu zostanę. Czasami odnoszę wrażenie, że to miasto wysysa z ludzi siłę... Naprawdę - dodała. - Jakby pozbawiało mieszkańców ich życiowej energii.

- Co ty pieprzysz, Majka?! - śmiała się Olga, chociaż w głębi duszy się z nią zgadzała. Niczego nie pragnęła bardziej od wydostania się z tego chlewu, jak nazywali to miasto młodzi.

*

W drodze powrotnej z zalewu dziewczyny szły obok siebie, ale myślami odpłynęły w dwie zupełnie różne strony. Gdy zeszły na szkolne boisko, ciszę przerwała Majka:

- Widzisz tę dziewczynę? Wydaje mi się, że to właśnie ją widziałam nad zalewem...

- A kto to jest? Jakaś nowa? - dopytywała Olga, mrużąc oczy.

- Nie spotkałam jej tu wcześniej. Ale jestem niemal pewna, że to... - Nie zdążyła dokończyć, bo Olga już podbiegła

do nieznajomej dziewczyny i zapytała:

- Cześć. Jesteś tu nowa?

- Tak jakby - odpowiedziała tamta niechętnie. Miała specyficzną urodę. Jej twarz była niemal przeźroczysta, wyglądała na chorą i osłabioną, bo czoło pokrywały jej kropelki potu.

- Byłaś już tu kiedyś? Do kogo przyjechałaś? - dopytywała Olga, ale nieznajoma dziewczyna odpowiedziała tylko na pierwsze pytanie.

- Okolica wydaje się znajoma... Kto to? - zapytała nagle, patrząc w okno jednej z kamienic. W oknie stała kobieta. Wyglądała na wychudzoną i bladą. Intensywnie spoglądała w ich stronę.

- A, to obłąkana Wanda. Stara i tragiczna historia.

- Aha... Nie wychodzi z domu?

- Nie no, wychodzi, ale czasami myślę, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby nie wychodziła.

- Dlaczego?

- Bo jest... wiesz... - Olga zawiesiła głos, kręcąc palcem kółeczko wokół własnej skroni.

- A dlaczego stara i tragiczna historia? - dopytywała nieznajoma.

- Dwadzieścia lat temu znaleźli jej martwego syna w okolicznych bunkrach. Nigdy nie odnaleziono sprawcy - mówiła z taką obojętnością, jakby opowiadała o robieniu kanapki.

- Jak umarł?

- Nie wiem do końca. Niektórzy mówią, że tak po prostu.

Nie znaleźli żadnego śladu. A dlaczego cię to tak interesuje?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Ostatni raz zerknęła w stronę kobiety, którą w miasteczku nazywano obłąkaną, odwróciła się i odeszła. Ktoś, kto przysłuchiwałby się tej rozmowie, z pewnością stwierdziłby, że nieznajoma dziewczyna jest wyjątkowo oszczędna w słowach. A ktoś inny pomyślałby, że w tym miasteczku nawet ludzie są dziwni – i miałyby rację, niektórzy przerażali.

Mieszkańcy długo żyli śmiercią syna obłąkanej kobiety. Nastolatek wszedł do bunkra i z jakiegoś powodu tam umarł. Poza tym pani Wanda mówiła, że widziała sprawcę, ale nikt jej nie uwierzył, sądząc, że to banialuki. Tym bardziej, że rysopis, jaki podawała, nie pasował do żadnego mieszkańca. Był bardzo niedokładny, mglisty i nieco irracjonalny.

*

Olga wróciła do domu. Przeszła przez salon. Pokój był skromnie urządzone. Panował tu porządek. Nie było w tym mieszkaniu nic nadzwyczajnego, oprócz tego, że brakowało kwiatów, ozdób, obrazów, zdjęć. Wyglądało tak, jakby ktoś wprowadził się tu godzinę wcześniej i nie zdążył jeszcze rozpakować wszystkich pudeł. Minęła salon. Po lewej stronie znajdował się pokój Mikołaja – młodszego brata Olgi – po prawej mieścił się jej pokój.

Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: „Zakaz wstępu”. Za drzwiami panował ogromny bałagan. Na niższych pułkach porozrzucone były kolczyki, wisiorki, pierścionki, rzemyki i bransolety. Dwie ściany były w kolorze ciemnej

zieleni, dwie kolejne w kolorze bordo. Mnóstwo dziwnych przedmiotów leżało na parapecie, zwisało z firanek, było przyklejone do mebli, m.in.: plakaty, breloczki, własnoręcznie szyte torby, otwieracze do butelek, kilka starych zegarów, skrzypce bez strun, a przy oknie stało akwarium z brązową jaszczurką.

- Olga, kolacja! - usłyszała zza ściany głos ojca.

Ojciec postawił przed Olgą talerz makaronu z sosem.

- Nie umiesz gotować - zaczęła, wsysając ostentacyjnie spaghetti. Ojciec nie odpowiedział, zwrócił się jednak do Mikołaja:

- Chcesz jeszcze żółtego sera? Posypać ci nim makaron? - Chłopiec kiwnął głową.

- Nie umiesz gotować - powtórzyła. - Mama pewnie umiała - dodała, chcąc jak zwykle sprowokować ojca do wybuchu.

Ojciec uderzył pięścią w stół. Rzadko bywał nerwowy, ale w stosunku do Olgi szybko tracił cierpliwość. Był wysokim, postawnym mężczyzną o ostrych rysach twarzy.

- Dość tego! Umyj po sobie talerz i idź do swojego pokoju! Olga nie ruszyła się z miejsca.

- To powiedz, co się z nią stało? - dopytywała.

- Mówiłem ci już setki razy!

- Jakoś mi trudno ci uwierzyć. Jesteś kłamcą. Mówiłeś, że się tu przeprowadziliśmy, bo w Gdańsku straciłeś pracę! A ja wiem, że uciekłeś na jakieś zadupie, żeby cię nikt nie znalazł!

- Co ty wygadujesz? Matka nas wszystkich zostawiła. Tu mieliśmy mieszkanie po babci.

Olga przerwała rozmowę. Spojrzała na brata. Chłopiec odłożył już talerz i rysował coś na kartce papieru.

- A ty jedz i odłóż chociaż na chwilę te bazgroły! Zachowuj się, przy stole jesteś!

Chłopiec, nie patrząc na siostrę, odłożył kredki i zaczął jeść.

- Olga, ja nie wiem, jak powinienem z tobą rozmawiać - powiedział ojciec.

- Nie rozmawiaj, daj mi kasę na pociąg. Chcę wrócić do Gdańska.

- Nie ma mowy, nigdzie nie pojedziesz.

- Jak zwykle. Wszystko musi być po twojej myśli! - powiedziała i wstała od stołu. - Prędzej czy później i tak pojedę i nie będę się ciebie pytała o zgodę - rzuciła i skierowała się w stronę wyjścia. - Nienawidzę ciebie, tych ludzi i tego przekłętą miejsca, gdzie człowiek codziennie umiera! - krzyczała, będąc już na klatce.

Olga większość czasu przesiadywała poza domem. Denerwował ją jej niepełnosprawny brat, a jeszcze bardziej ojciec, który poświęcał mu każdą wolną chwilę. Wiedziała, że gdyby nie ojciec, Mikołaj nie poradziłby sobie z najprostszymi czynnościami. Wiedziała też, że poświęcanie mu stuprocentowej uwagi jest konieczne, bo chłopiec nie może pozostać bez opieki nawet podczas kąpieli, ale nie mogła odpędzić myśli, że życie nie powinno tak wyglądać. Ani życie jej ojca, ani brata - i to doprowadzało ją do szału.

ROZDZIAŁ II

Na dworze było już ciemno i jak na lipcowy wieczór – zimno. Tylko ulica Staffa została oświetlona. Jedna lampa rzucała światło również na szkolne boisko. Reszta osiedla była pogrążona w całkowitym mroku.

Olga przeszła wzdłuż kamienic i wyszła na ścieżkę prowadzącą na szkolne boisko. Pojedyncza latarnia to zdecydowanie za mało, aby rozjaśnić cały szkolny teren. Minęła parking i przykucnęła na krawężniku. Za jej plecami znajdowały się: ogrodzenie, studnia oraz stara świetlica, służąca kiedyś za dom weselny. Od kilku lat dyrekcja szkoły organizowała tam apele i raz w roku bal maturalny.

Olga nigdy nie bała się ciemności, a te tereny znała jak własną kieszeń – przynajmniej tak jej się wydawało. Kiedy odpaliła papierosa, usłyszała dźwięki dochodzące zza jej pleców. Odwróciła się gwałtownie, ale nie ujrzała niczego, prócz własnego odbicia w rozbitej szybie okna świetlicy. Dopiero gdy usłyszała czyjś głos, stanęła i wyrzuciła niedopalonego papierosa pod swoje stopy. Pierwszy raz, odkąd tu przychodzi, poczuła dreszczyk emocji, bo sytuacja, w której się znalazła, powodowała coraz mocniejszy niepokój. Olga

słyszała swój własny oddech. Rozejrzała się wokół siebie. Nie było żywej duszy. Liście przestały szeleścić, a wszystkie gałęzie wisiały nieruchomo ponad jej głową. Na ziemi leżała tylko reklamówka, która pod wpływem wiatru, zmieniała swoje położenie. W końcu zahaczyła o pobliski krzak i tam drażniąco kołysała się w powietrzu. Wszystkie zmysły Olgi odbierały bodźce z większą intensywnością. Dostrzegła szczegóły, których w normalnych okolicznościach, w ciągu dnia, nigdy by nie zauważyła. Zwróciła uwagę na głuchą ciszę, na ten martwy krajobraz. Postanowiła nie stać w miejscu, choć strach niemal przygwoździł ją do podłoża.

Dziewczyna należała do osób posiadających sporo odwagi, dlatego byle jaki dźwięk nie zaniepokoiłby jej tak mocno, by miała szukać jego źródła. Niewykluczone, że inni, gdyby znaleźli się w podobnej sytuacji, po prostu biegliby, ile sił w nogach, do własnego domu i nie obejrzeliby się za siebie ani razu. Olga na wszelkie niezwykle zjawiska reagowała trzeźwo. Zazwyczaj bez powodu nie przychodziły jej na myśl duchy, zjawy i inne postacie z horrorów, ale też nie ignorowała tego, co działo się wokół niej. A musiała w tej chwili przyznać, że od stóp do głów padł na nią blady strach, którego pozbędzie się dopiero, gdy pojmie, co się za tym wszystkim kryje.

Zaczęła iść do głównego wejścia dawnego domu weselnego. Budynek mieścił się parę kroków od niej. Nikt nie zamykał głównych drzwi, bo gdyby ktoś zechciał wejść do środka, to i tak mógł dostać się przez jedno z okien, które się nie domykało. Pojedyncze nie miały nawet szyb, więc chronienie świetlicy przed niechcianymi gośćmi mijało się

z celem. „Czy w tym mieście wszystko musi się rozsypywać? ”
- myślała, krzywiąc buzię z irytacji.

Wokół starego domu weselnego rosły chwasty osięgające wysokość jednego metra. Oprócz chwastów pojawiła się tu inna dzika roślinność, na którą księżyc rzucał teraz odrobinę światła, dzięki czemu Olga najpierw zobaczyła, a dopiero później usłyszała krążące tam robactwo. Przede wszystkim docierało do niej brzęczenie much, które najpewniej zgromadziły się wokół jakichś odpadów. Wzdrygnęła się z obrzydzenia i machała rękami, jakby chciała je odgonić, chociaż one wcale nie były zainteresowane oblepianiem jej, ale gówna albo resztek jedzenia, które ktoś tam pozostawił.

Olga była tu ostatnio na szkolnych jasełkach sześć miesięcy temu. Wtedy oprócz niej, było osiemdziesięcioro innych uczniów. Na dworze było jeszcze widno i nikt nie zwracał uwagi na mroczny klimat tego miejsca. Dopiero teraz, gdy stała tu sama, a wokół panowała absolutna cisza, którą zakłócały tylko owady, nie czuła się bezpieczna. Poza tym ciemność potrafi rozbudzić wyobraźnię, a już na pewno wyobraźnię kogoś, kto uwielbia przed snem obejrzyć horror. Fabuły w nich zawartej nigdy wprawdzie nie traktowała poważnie, ale perspektywa nieco się zmienia, gdy odnosi się wrażenie, że jest się właśnie główną bohaterką jednego z nich.

Gdy nacisnęła klamkę, drzwi mocno zaskrzypiały, a stare deski pod ciężarem dziewczyny zaczęły się uginać. Słysząc każdy stawiany przez nią krok. Gdy weszła do środka, próbowała odnaleźć włącznik światła. Przesuwała dłonią po

ścianie. W końcu natrafiła na coś, co dało się przekręcić, niestety żadna żarówka się nie zaświeciła.

- Oczywiście, kurwa, nie zadziała, bo po co - powiedziała sama do siebie.

W tym momencie jeszcze nie bała się tak mocno, bo było za ciemno, aby cokolwiek zobaczyć. Dopiero gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności i wewnątrz zaczęła dostrzegać kształty przedmiotów, krzyknęła z przerażenia. Nie miała wątpliwości, że w oddali, na podwyższonej scenie, stoją jacyś ludzie. Znieruchomiała. Czuła uderzenie gorąca, ze strachu zaczęła głośniej oddychać, a serce podeszło jej do gardła.

- Kim jesteście?! - wydusiła po chwili.

Odpowiedziało jej echo. Niczego nie pojmowała. Przyglądała się stojącym postaciom. Widziała ręce, nogi, pochylone sylwetki. Od razu przypomniała jej się scena z filmu *Świt żywych trupów* albo jeszcze inna, w każdym razie z tej serii horrorów o łażących truposzach.

Zaczęła powoli się wycofywać, kiedy potknęła się o stojące za nią krzesło. Runęła na ziemię. Łokciem przesunęła coś, co przeturlało się po parkiecie z ogromnym hałasem. Najprawdopodobniej była to szklana butelka.

- Kurwa! - mimowolnie krzyknęła.

Zamknęła oczy i czekała na reakcję stojących w oddali ludzi, ale nikt nie podszedł, nikt nic nie powiedział. Wstała, a serce tak mocno łupało, jakby chciało wyskoczyć z jej piersi. Aż sprawiało jej ból. Jakiś przedmiot ranił ją w udo. Gdy masowała sobie nogę, dotarło do niej, że w prawej kieszeni ma telefon. Natychmiast go wyjęła. Ręce drżały jej z nerwów,

ledwie utrzymywała komórkę w dłoni. Nie potrafiła odblokować klawiatury. Wciskała kilka przycisków jednocześnie. Telefon w jednej chwili stał się jej wrogiem, z którym człowiek walczy, ale którego jednocześnie nie chce puścić.

Kiedy ekran się zaświecił, natychmiast skierowała go na stojących w głębi ludzi. Przez moment miała pustkę w głowie. Nie do końca docierało do niej, co właśnie spostrzegła.

- Ja pierdolę - powiedziała do siebie. - Jak mogłam być taka głupia.

Dopiero po minucie zrozumiała, że nieruchome postacie to manekiny wykorzystane na potrzeby szkolnej sztuki teatralnej.

W ciągu trzech sekund znalazła się na zewnątrz. Odpaliła papierosa i już chciała stamtąd odejść, kiedy ponownie usłyszała ten dźwięk - znów dochodził gdzieś od strony świetlicy. Oświetliła sobie drogę i bez chwili zawahania zaczęła szukać źródła hałasu.

„Może manekiny ożyły? ” - pomyślała, ale dźwięk dochodził spod jej stóp. Przesunęła się i skierowała strugę światła na ziemię. Oprócz kawałków potłuczonego szkła i zwykłej czarnej ziemi, niczego tu nie było, mimo tego przycisnęła but do podłoża. Wyczuła pod nogą coś twardego. Przykucnęła i odgarniała butem ziemię. Odkopła metalowy uchwyt, przypominający zwykły półkolisty pręt. Usłyszała dobiegający spod jej stóp hałas. Zaczęła nasłuchiwać. Nie miała wątpliwości, że pod ziemią ktoś lub coś chodzi. Aby odkryć, co dzieje się w głębi, musiała podnieść betonową płytę

chodnikową. Udało się. Skierowała w dół świecący ekran telefonu i zobaczyła, że coś się porusza.

- Halo! Jest tu ktoś? - zapytała, coraz bardziej zainteresowana ruchomym kształtem.

Nikt nie odpowiedział, za to jakieś światło dochodzące z dołu, spod ziemi, całkowicie ją oślepiło.

- Ona wróciła, słyszysz?! Wróciła! - usłyszała nagle.

Głos docierający z podziemi był ochryply, głęboki, jakby wydostawał się prosto z trzewi. Dziewczyna знаła to charczenie, które u niej samej wywoływało nieprzyjemne uczucie bólu gardła. Odnosiła wrażenie, że dźwięk, aby wydobyć się z ust tej kobiety, musi przecisnąć się przez tkwiące w podniebieniu gwoździe.

- Nie rozumiem. Kto wrócił? - dopytywała Olga. Można było nawet pomyśleć, że kierowała nią teraz zwykła ludzka troska.

- Ta, która zabiła mojego syna wróciła!

Olga poczuła, że dopadła ją nagła wściekłość. „Jak można pieprzyć takie bzdury! ” - pomyślała.

- Co pani plecie?! Co pani tu w ogóle robi?! - krzyknęła, nie starając się ukryć złości, która narastała w niej z każdą sekundą. Olga zrozumiała bowiem, że włąz to nic innego jak drugie wejście do bunkra, a dźwięki dochodzące z dołu to nawoływania obłąkanej Wandy.

Kobieta podeszła bliżej. Zatrzymała się kilka centymetrów przed Olgą, więc ekranik komórki rzucił światło na jej twarz. Olga w pierwszej chwili miała ochotę odskoczyć, bo widok obłąkanej Wandy nawet z daleka wywoływał przerażenie. Była

śmiertelnie blada. Pod oczami pojawiły jej się sine podkowy, a po policzkach, między zmarszczkami, ciekły łzy. Wygląd zdradzał, że tę kobietę od lat przytłaczają zmartwienia, które wręcz wyniszczają ją od środka. Miała nieco ponad pięćdziesiąt lat, ale wyglądała na dużo starszą. Zaraz po śmierci dziecka włosy zaczęły jej siwieć i wypadać. Z roku na rok pochylała się coraz bardziej i coraz rzadziej wychodziła z domu. Niedługo potem przypominała staruszkę, a jedynym miejscem, które regularnie odwiedzała, był podziemny schron.

- Kto panią wypuścił z psychiatryka?! - zapytała Olga i nie czekając na odpowiedź, skierowała się w stronę domu Majki. Dla Olgi Wanda była uosobieniem słabości, bezradności, jakiegoś ludzkiego ograniczenia, czyli tego wszystkiego, z czym miała do czynienia, patrząc na brata.

Majka nie mieszkała w kamienicy. Kilkadziesiąt metrów za rzędem kamienic stały dwa olbrzymie domy, a dalej jeszcze jeden, mniejszy, najbardziej wysunięty na północ, mieszczący się najbliżej rzeki, należący do rodziców Majki. Wszystkie trzy budynki stały przy ulicy Reymonta - właściwie przy ścieżce pokrytej czarnym żużlem. Jeden z tych dwóch zaniedbanych i zniszczonych dworków - stał od lat pusty. Właścicielem drugiego był „Pan na Wózku”. Etymologia tego przezwiska była oczywista - staruszek miał sparaliżowane nogi i od lat poruszał się na wózku inwalidzkim.

Oba budynki były do siebie podobne i przypominały stare zamczyska. Olga, ilekroć szła do Majki, odnosiła wrażenie, że na jednym z zamków, na prawym skrzydle dachu, które wyglądało jak stercząca wieża pnąca się w górę, stoi

nieboszczka. Dopiero gdy podchodziła bliżej, upewniała się, że to biała rzeźba Matki Boskiej, która pochylała się wysoko nad ziemią, jakby szykowała się do skoku. Chcąc nie chcąc, dziewczyna odwracała wzrok. W końcu matka całej ludzkości karciała ją wzrokiem. „Współczuj komuś innemu ” – myślała Olga, przyspieszając kroku. Dwory stały tu od przeszło stu lat i chyba nigdy nie były odnawiane. Nie można było odmówić im wyjątkowości, ale z czasem przestawały być ozdobami i chlubą miasteczka, a zaczęły po prostu popadać w ruinę.

Gdy minęła nachylającą się z czarnego nieba Matkę nad matkami, dotarła do drugiego zamczyska. To, które zamieszkiwał Pan na Wózku, przypominało zaklęty dwór, jakby wyjęty z powieści grozy i postawiony tu, aby straszyć. Olga, prócz staruszka, nie знаła nikogo, kto kiedykolwiek przechodziłby salami ponurego dworu, ale nie wiedzieć czemu, wyobrażała sobie wiszące na ścianie wzdłuż całego przedpokoju portrety przodków, które, podobnie jak Matka Boska, gromią wzrokiem przechodniów. Dlatego podziwiała Pana na Wózku, że potrafił spokojnie zasnąć w tym nawiedzonym przez dawnych krewnych zamczysku.

Dom rodziców Majki, oprócz tego, że stał najbliżej rzeki i do jego głównych drzwi dochodziło się od strony wału, miał odmienny kształt i w porównaniu z sąsiednimi budynkami prezentował się bardzo skromnie. Każdy, kto spacerował wzdłuż rzeki, na pewno nie przeszedł obok niego obojętnie. Po pierwsze, dom Majki to tak naprawdę... pół domu. Budynek wyglądał tak, jakby ktoś postanowił za pomocą noża przekroić go na dwie równe części i tę drugą część po prostu usunąć. Po

drugie ściana od strony południa postawiona była z drewnianych belek a od strony północy - z czerwonej cegły. Dach pokryty był różną blachą, w szarych i niebieskich kolorach. Dom wyglądał na zaniedbany, rozsypujący się i pozlepiany z różnych materiałów.

Olga dotarła tam po niespełna siedmiu minutach od wyjścia spod starego domu weselnego. Na dworze było już całkiem ciemno. Za niskim żywopłotem znajdowała się furтка, która latem zatrzymywała się na zbyt wysokiej, nieskoszonej trawie i zawsze wydawała skrzypiący dźwięk, jakby jęczała, żeby jej nie otwierać.

- Dłużej się nie dało?! Wskakuj! - powiedziała Majka, która wychyliła głowę zza drzwi, gdy usłyszała trzeszczący odgłos dobiegający z podwórka.

- U ciebie jest zawsze zimniej o jakieś sześć stopni - zauważyła Olga, dygocąc z zimna. Miała rację. Od strony rzeki docierało tu chłodniejsze powietrze. - Pogryzło mnie jakieś gówno - oburzyła się, rozdrapując bulwy po ugryzieniach komarów. Owady powinna dopisać do listy rzeczy i osób, których nienawidziła, podobnie jak całą tę dzicz, która otaczała ten dom i całe miasteczko.

- Wejdz, a ja idę odebrać telefon! - krzyknęła Majka, słysząc brzęczenie telefonu dochodzące z któregoś z pokojów.

Pozarastane chodniki, domy osaczone świeżą i starą roślinnością wywoływały poczucie, że utknęło się w środku gąszczu, z którego nie da się wyplątać. Znad zaklętych zamczysk i białej rzeźby gromiącej Matki Boskiej świecił blady księżyc. Olgę przeszywał jakiś niepokój, dlatego gdy

usłyszała odgłos czyichś kroków, mimowolnie nacisnęła klamkę, aby wejść za Majką do środka.

- Buu! - usłyszała i poczuła, że ktoś kładzie rękę na jej ramieniu.

- Ale się przestraszyłam! - powiedziała z ironią.

Zza Olgi wyłoniło się dwóch chłopaków, a za nimi przystanęła dziewczyna, opierając się o framugę drzwi.

Ani Mateusz, ani Karol niczym szczególnym się nie wyróżniali. Obaj wyglądali przeciętnie, twarze pokrywała im zbyt duża liczba pryszczki. Chodzili z dziewczynami do jednej podstawówki i często razem z nimi spędzali czas. Wszyscy znali się jak łyse konie. Mniej więcej rok temu, kiedy Mateusz zobaczył, że pojawia mu się zarost, próbował inicjować spotkania tylko z Moniką - trzecią z dziewczyn - zdecydowanie najładniejszą, ale po tym, jak kazała mu spadać, zrozumiał, że nie ma u niej szans i dziewczyny powinien szukać poza własnym podwórkiem. Nie obraził się, przyjął do wiadomości, że Monika dała mu kosza i więcej nie podejmował tematu.

Wyszli z całkowitych ciemności na jedyną na tym osiedlu oświetloną ulicę. Przechodzili w poprzek jezdni, mijali kolejne identyczne szare kamienice, na końcu których znajdowała się szkoła - oczywiście, wybudowana z tego samego szarego kamienia.

- Wiedzieliście, że za parkingiem, obok świetlicy, jest jeszcze jedno wejście do bunkra? - zapytała Olga.

- Wiedzieliśmy, ale z niego nie korzystaliśmy - odezwała się Monia.

- A ja swego czasu, jako dziecko, bywałam w bunkrach codziennie i umknęło mi to przejście - kontynuowała temat Olga.

- Ja słyszałem, że nikt do końca nie wie, jak głębokie, szerokie i długie są te bunkry i podobno łatwo się w nich zgubić - skomentował Karol.

Karol nie powiedział niczego odkrywczego, bo każdy, nawet najmłodszy mieszkaniec, słyszał o tym, że bunkry rozciągają się na całą długość i szerokość miasta, a może wychodzą i poza jego obręb.

- Spotkałam tam dzisiaj obłąkaną Wandę - wypaliła Olga.

Wszyscy przystanęli i wlepili w Olgę zszokowany wzrok.

- Co?! Żartujesz?! Po jakiego grzyba ona tam łązi? - pytała Majka, obracając swoimi wypukłymi oczami we wszystkie strony.

Młodzi przystanęli, widocznie byli zaciekawieni losem obłąkanej kobiety. Jej syna znali jedynie ze skąpych opowieści rodziców, bo z jakiegoś powodu nie chciano o nim mówić, dlatego historia chłopaka owiana była rąbkiem tajemnicy. Wśród młodzieży narodził się pogląd, że dorośli nie chcą mówić o zmarłym, bo należy mieć do niego szacunek; jedyne co powinno się robić, to modlić się, aby tam na górze było mu dobrze. Nie wolno tragedii zamieniać w sensację, a więc o synu obłąkanej Wandy wiedzano jedynie tyle, że był młody i umarł w bunkrach. A Wanda po prostu oszalała po jego śmierci. Pan na Wózku powiedział kiedyś dzieciom, że nigdy nie można upraszczać historii i poznawać jej z jednej perspektywy, bo prawda ma wiele obliczy.

- Ponoć śladów szuka - odpowiedziała Olga, z charakterystyczną dla siebie ignorancją.

- Biedna, jeszcze ma nadzieję, że winny się znajdzie. Co jej to da?

- Jak to co?! Przecież dla niej koszmar trwa nadal. Mnie też nie wystarczyłaby informacja: „Pani syn umarł, bo mu serce stanęło”. Chciałbym poznać prawdę, ale taką całkowitą, nie taką, którą wciskają mi inni ludzie od lat. Według mnie ona szuka właśnie tej prawdy - powiedział Mateusz.

- Czasami warto zaufać innym ludziom i nie zawsze jesteśmy w stanie wszystkiego się dowiedzieć... - wtrąciła Olga.

- To nie znaczy, że nie powinniśmy słuchać własnego sumienia. Nawet jeżeli nie znajdzie odpowiedzi, będzie wiedziała, że zadawała pytania. Poza tym ona ma swoją teorię, to nic, że szaloną i abstrakcyjną, ale ją ma i szanuję ją za to, że jest w stanie jej bronić. A to niełatwe w naszym miasteczku. Tu bycie innym jest niemal grzechem.

Nastała jakaś krępująca cisza. Młodzi poczuli się zmęczeni wałkowaniem po raz setny tego samego tematu, ale z drugiej strony, co mieli robić? Historia Wandy i jej syna wciąż fascynowała i budziła wątpliwości.

Majka, chcąc przerwać doskwierające milczenie, wypaliła nagle ze swoim planem, na który najpewniej właśnie wpadła.

- Skoro już o bunkrach mowa... mam propozycję... Ten, kto wejdzie do bunkra i wytrzyma w środku w całkowitych ciemnościach dziesięć minut, dostanie ode mnie stówę!

To był jeden z tych głupich zakładów, które zwykle kończą

się śmiechem. Gdyby młodzi wiedzieli, że staną się niejako ofiarami przypadku, nie podjęliby się zadania.

- Umowa stoi - powiedziała Olga i natychmiast zeszła ścieżką w stronę parkingu.

- Zwariowaliście?! - zaczęła panikować Monia. Nie mam zamiaru nigdzie schodzić!

- Oj, daj spokój, to tylko dziesięć minut, nie cała wieczność.

Noc była ciepła. Od strony południa wiał delikatny wietrzyk. Majka wlepiła wzrok w karuzelę, która mimo braku napędu obracała się, wydając odgłos ocierającego się o siebie metalu.

Gdy dotarli na miejsce, Olga bez wahania oddała komórkę Mateuszowi, otworzyła włącznik i natychmiast wsunęła jedną nogę do środka.

- Nie bądź głupia - rzuciła jeszcze Majka, ale dziewczyna znikła już w podziemiach.

- Pani Wandziu, jest pani tam!?! - krzyknęła Olga zaraz po tym, gdy znalazła się na dole. - Nie ma jej! Zamykajcie włącznik i przyjdźcie po mnie za dziesięć minut.

Głos Olgi brzmiał inaczej. Zduszony przez grube ściany, wydawał się słabszy i bardziej dziecinny.

Mateusz przesunął beton z powrotem na miejsce i po bunkrze nie było śladu.

- Ona jest jednak wariatką! - podniecał się Karol, z uznaniem kręcąc głową.

- Słyszę was! Idę trochę głębiej, w razie czego szukajcie mnie.

Po dziesięciu minutach dyskusji i podziwu nad odwagą Olgi, dzieciaki odsunęły włąz. Olgi nie było.

- No, wyłaż, wygrałaś stowę! - krzyknął Mateusz, ale nikt nie odpowiadał. - Olga, zimno nam. Gratulujemy odwagi, ale ruszaj tyłek!

Z bunkra nie było słycać żadnego odzewu.

- Dobra, schodzę za nią - zaproponował Mateusz. - Przytrzymaj mnie! - zwrócił się do Karola i po chwili znalazł się na dole. Oświetlił telefonem schron i zobaczył metr od siebie uśmiechniętą buzię Olgi, która przyciskała palec do ust na znak całkowitego milczenia.

- Mateusz, jesteście tam?! - usłyszeli z góry. Olga powstrzymywała wybuch śmiechu, a Mateusz stał, nie wiedząc, jak powinien się zachować. Zatrzasnął klapę telefonu, likwidując strumień światła. Oboje udawali, że ich nie ma.

- To, co robicie, nie jest śmieszne! Jak gówniarze!

- Za dużo filmów się naoglądali. Tak czy owak - schodzimy - oświadczył Karol i za chwilę wszyscy byli już pod ziemią. Monia jeszcze nie dotknęła stopami podłoża, kiedy oświetliła wnętrze bunkra.

- Wiedziałam, że próbujecie być zabawni! - skwitowała, gdy zeskakując, niemal przewróciła Olgę.

W ciemnym jak grobowiec bunkrze, dzięki telefonicznym aparatom, pojawiło się kilka świecących punkcików. Będąc w grupie i trzymając w dłoni komórkę, czuli się odrobinę bezpieczniej, chociaż każdemu z nich serce waliło mocniej niż zwykle.

- Inaczej wyobrażałam sobie to miejsce - stwierdziła Majka. - Szczerze? Zwyczajnie tu.

- Serio? To my idziemy na górę, a ty sobie tu zostań... - powiedział Mateusz.

- No, może nie aż tak zwyczajnie... Czujecie ten zapach?

- Jak w piwnicy - zauważyła Monia.

W powietrzu czuć było stęchliznę i wilgoć. Choć nie było tu mowy o jakiegokolwiek szczelinie w suficie, ziemia była wilgotna, a gdzieś tam pojawiała się nawet niewielka kałuża.

- Kojarzycie te bloki przy Norwida? - zapytała Majka.

- Kojarzemy. Co z nimi?

- Tam jest jedna wspólna piwnica dla wszystkich klatek i bloków. Idzie się przejściem przypominających tunel. Wchodzisz na początku ulicy do jakiegoś bloku, a wychodzisz na końcu. Po drodze mijasz pomieszczenia właścicieli mieszkań. Poza tym słychać bojłery, jakieś piecyki gazowe, rury przechodzą przez całą długość korytarza. Ten bunkier też, mam wrażenie, że nie ma końca, z tą różnicą, że tu panuje jakaś cholerna głucha cisza... Patrzcie nad nami jest jakaś rura...

- Pewnie za chwilę zobaczę jakiegoś szczura...

- Weź, Monia, zamknij się!

- No co?! Stwierdziłam tylko fakt...

Dzieciaki szły przed siebie, mijały boczne przejścia i zakamarki. Nie do końca zdawały sobie sprawę z tego, ile osób byłby w stanie pomieścić ten schron.

- Wydaje mi się, że gdzieś na końcu znaleziono tego

chłopca - wypaliła nagle Olga.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem, tak ludzie gadali - odpowiedziała, wzruszając ramionami. - Uważajcie, tu jest jakiś schodek. Pochylcie się teraz, bo przechodzimy pod jakimiś kablami... Jakim potworem musi być morderca, żeby zabić trzynastolatka - ciągnęła Olga.

- A może jeszcze tu jest? Nigdy nie odnaleziono sprawcy - zauważyła Monia.

- Tak, od dwudziestu lat żyje w podziemiach! Wy to naprawdę za dużo horrorów widziałyście - skwitował Mateusz. - Prędzej podejrzewałbym, że mijacie go codziennie na ulicy i nie wiecie, że miły sąsiad, którego znacie od dziecka, to tak naprawdę zwykły psychopata.

Olga zatrzymała się, po czym powiedziała:

- Pogaduszki, pogaduszkami, ale straciłam orientację i nie wiem, w którą stronę mamy iść...

- Chyba żartujesz!?! Nie dość, że to miejsce, gdzie zamordowano chłopaka, to jeszcze cholerny labirynt! Zaraz się rozplączę. Dosłownie! - mówiła Majka.

- Niech się zastanowię - zaczęła Olga. - Cały czas szliśmy prosto. Majka zaplątała się w te sznury zaraz po tym, jak nad głową mieliśmy kable. Oświetlcie mi sufit.

Wszystkie komórki skierowały się ku górze. Nad dziećmiakami zwisało mnóstwo pajęczyn.

- Fuj! - wrzasnęła Majka. - Zwymiotuję, jak mnie to muśnie... albo wejdzie mi coś we włosy! - krzyknęła i zaczęła gwałtownie odgarniać je rękami.

- Tam idziemy - zakomunikowała Olga, a cała reszta poszła za nią.

- Ała! - krzyknęła nagle Monika. - Uderzyłam o coś łokciem.

- To tylko klamka - wyjaśnił Mateusz i bez chwili zastanowienia pociągnął za mosiężny uchwyt ozdobiony głową meduzy. Zielone jednoskrzydłowe małe drzwiczki o nietypowym kształcie stawiały opór. Zakończony półkoleście drzwi miały z przedniej strony nabite deski, układane w romby.

Mateusz nie dawał za wygraną.

- Gdzieś musi być zamek - oświadczył. - Poświećcie mi na dole - poprosił i za chwilę dostrzegł bardzo starą kutą kłódkę, na korpusie której umieszczono znak „X ”; do jej trzpienia przymocowano metalowy łańcuszek. - Nie dostaniemy się, nie mamy kluczyka.

- Szkoda, może byśmy odkryli jakieś przedwojenne skarby - rozmyślała Monika.

- Jak nie można się do czegoś dostać albo czegoś zobaczyć, to dopiero wtedy ciekawość zaczyna szaleć... - dodała po chwili. - Ale pomyślcie, pomijając wszystko, tyle lat te drzwi są zamknięte i jeszcze nikt nie próbował ich otworzyć, dziwne, prawda?

- Niby tak, ale ty będziesz kolejną, która tędy przeszła i ich nie otworzyła. Po prostu nikomu nie chce się wysilać i w ciemnościach niszczyć, bądź co bądź, całkiem przyjemnych drzwiczek - odpowiedział Mateusz, odwracając się plecami od ciekawego znaleziska.

Szli w stronę wyjścia. Poruszali się bardzo powoli i ostrożnie. Majka opuściła głowę najniżej, jak potrafiła, bojąc się, że zahaczy włosami o zwisające z góry pajęczyny. Mateusz oświetlał betonowe podłoże, aby nie wejść w kałużę; Monia rozglądała się wokół, wyobrażając sobie, co stałoby się z nimi wszystkimi, gdyby nie odnaleźli wyjścia; Karol szedł za wszystkimi, co jakiś czas odwracając się za siebie. Olga starała się panować nad sytuacją i nie stracić orientacji w tej podziemnej płątanie korytarzy, pokojów i schowków. Nagle, tuż przed nimi, przy suficie przesunęła się czarna plama.

- Co to?! - wrzasnęła Monia. W jednej chwili wszyscy stanęli jak wryci, gapiąc się na niewyraźny zarys czegoś lub kogoś. Mateusz wskazał palcem ścianę i z wytrzeszczonymi oczami stał, nie potrafiąc zebrać myśli. Panowała grobowa cisza. Wszyscy nabrali powietrza w płuca i bali się je wypuścić. Milczenie przerwał przeraźliwy krzyk Majki.

- Ratunku! Wypuście nas! Chcę stąd wyjść! Chcę stąd wyjść!

- Zamknij się, głupia! To był cień Karola! - powiedziała Olga, z trudem idąc dalej.

Majka nie ruszyła się z miejsca.

- Olga, czekaj! Majka musi się uspokoić.

- Wysilcie się i zróbcie jeszcze dwa kroki, bo nade mną jest już wyjście - oznajmiła spokojnym głosem. Nie zdążyła się odwrócić, kiedy Majka była już na zewnątrz, pochylając się i łapiąc głęboko powietrze.

- Ale panikara - skwitowała Olga, śmiejąc się z Majki i poklepując ją po plecach, zaraz po tym, jak wszyscy wyszli

z bunkra.

Majka nie od razu zareagowała na zaczepkę Olgi.

- Mówcie sobie, co chcecie. Zgrywajcie teraz bohaterów, ale wszyscy wiemy, że to nie był cień Karola! Bo w tym samym czasie, kiedy to coś przesunęło się po ścianie metr od nas, Karol stał za mną wbity z przerażenia w ziemię!

- No dobra, może i była to z mojej strony nadinterpretacja, ale wymyślona na potrzeby chwili. W każdym razie, przestańmy wyolbrzymiać i po prostu podejźmy do tego logicznie - tłumaczyła Olga. - Wszystko stało się przed samym wyjściem. Właz jest nieszczelny, tak?

- No tak - przyznał rację Mateusz.

- Więc najprawdopodobniej ktoś odjeżdżał z parkingu i światła samochodu przedostały się do środka i odbiły coś, co kształtem przypominało, wiecie co. Po czym, wyjeżdżając z parkingu i zmieniając kąt padania światła, samochód wprowadził cień w ruch - oznajmiła Olga, na moment zdobywając nawet zwolenników swojej teorii.

- Koncepcja wyssana z palca - podsumowała Majka.

Każdemu zrodziła się w głowie inna hipoteza co do zajścia w bunkrze, ale żadna z nich nie była na tyle mocna, aby je wyjaśnić.

- Wiem jedno - odezwała się nagle Monia - będę to miejsce omijać szerokim łukiem.

- Ja również - zawtórowała Majka.

- A ja nie zamierzam i uważam, że zachowujecie się jak dzieci - skomentowała Olga.

Atmosfera zrobiła się nieco napięta. Kierowali się

w stronę nocnego osiedlowego sklepu, kiedy odezwał się Karol:

- Zawsze znajdzie się jakieś miejsce, gdzie ktoś kiedyś umarł i nagle ludzie zaczynają tego miejsca unikać. Przy Reymonta stoi od lat wielki pusty dom, z tą Maryjką na dachu...

- Wiem, ten sąsiadujący z domem Pana na Wózku - wtrąciła Majka.

- Właśnie ten. Jest ogromny, liczy ponoć dziesięć pokoi, ma ogromną działkę. Wygląda jak dworek. Dałbym wszystko, żeby móc w nim zamieszkać. Wiecie, dlaczego od lat nikt go nie kupił? - spytał, ale nie czekając na odpowiedź, kontynuował. - Bo pod nieobecność właścicieli jakaś starsza kobieta, która sprzątała w tym domu, zmarła tam. Najprawdopodobniej wzięła garść jakichś tabletek nasennych i dopiero po miesiącu, jak właściciele wrócili, znaleźli ją martwą w łóżku. Smród był niewyobrażalny. I mimo tego, że budynek już dawno został wywietrzony, to każdy, kto tam był, twierdzi, że śmierdzi trupem.

- A ja słyszałam, że została znaleziona w wannie, że najprawdopodobniej zasłabła i się utopiła.

- Widzicie! Jedna samobójczyni, a tyle domysłów i historii. W przypadku bunkra jest podobnie - jedno morderstwo, a tyle wersji. Nikt się nie dowie, co tak naprawdę się tam wydarzyło. Skoro tyle lat już minęło, to sprawca nigdy nie zostanie odnaleziony, bo sprawą już nikt się nie zajmuje. Możemy sobie zatem gdybać i gdybać, ale faktem jest, że nie my pierwsi i nie ostatni prowadzimy dyskusję nie mającą najmniejszego sensu.

Dom przy ulicy Reymonta, o którym opowiadał Karol, rzeczywiście stał pusty od wielu lat, ale nie dlatego, że śmierdziało w nim trupem, ani też nie dlatego, że znaleziono tam jakąkolwiek kobietę w wannie. Po prostu był drogi i żadnego mieszkańca nie było stać na jego remont, a ludzie spoza miasta nie chcieli się tu osiedlać.

- Wiecie, co mnie zastanawia? - zaczęła nagle Olga. - Że tam nie było żadnego śladu czyichkolwiek kroków, jakby nigdy nikt nie postawił w tym bunkrze stopy. Ani jednego odcisku palca. Nic.

- Może wszyscy, którzy tam wchodzili, mieli wzdęcia i lewitowali nad ziemią - wtrąciła Majka, najwidoczniej całkowicie już uspokojona.

- Bardzo śmieszne. Dla kogoś to była tragedia - odpowiedziała Olga, otwierając drzwi nocnego sklepu.

Pozostali spojrzeli po sobie, wzruszając ramionami, bo Olga rzadko dawała się poznać od tej ludzkiej strony, a przynajmniej jej przyjaciele już dawno uznali ją za pozbawioną głębszych uczuć i wrażliwości.

ROZDZIAŁ III

Bardzo koścista, drobna kobieta siedziała na brzegu łóżka, trzymając w ręku średniej wielkości pudełko. Zanim je otworzyła, trzęsącymi dłońmi gładziła jego powierzchnię. Ręce miała wysuszone, szorstkie, skórę popękaną. Wierzch dłoni zdradzał wiek, ale i stres oraz zmęczenie. Powoli i niepewnie otworzyła pudełko, w którym przechowywała wycinki starych gazet i album. Zdjęcia odłożyła na bok. Zaczęła od przeglądania artykułów. Wszystkie dotyczyły jednego tematu i były opatrzone tytułami: *„Tajemnicza śmierć nastolatka ”*, *„Policja bezradna ”*, *„Zagadka wciąż nierozwiązana ”*, *„Czy sprawa kiedyś zostanie wyjaśniona? ”*.

Pożółkłe, wymięte strony z różnych gazet wskazywały na to, że wielokrotnie ktoś godzinami trzymał je w dłoni. Tą osobą była matka chłopca, któremu ktoś dwadzieścia lat temu odebrał życie w podziemiach. Od tego tragicznego wypadku minęło tyle lat, a ona wciąż zastygała na całe godziny, gdy przyciskała do piersi wycinki starej prasy. Wydawało się, że wszystko to, co najgorsze, minęło, bo co może być straszniejszego od przywdziania żałoby po śmierci dziecka? Do niedawna myślała, że nic, aż do momentu, gdy zobaczyła ją

- twarz młodej dziewczyny, której widoku nie mogła zapomnieć, dziewczyny, którą uważała za morderczynię.

Jak gdyby nigdy nic, bezkarnie, patrząc jej prosto w oczy, przechodziła ulicami tego miasteczka, rozmawiając z jego mieszkańcami. Powrót tej młodej kobiety, która podobnie jak dwadzieścia lat temu pojawiła się nagle - rozgrzebał bolesną historię, ale i zapowiadał nadchodzącą nową tragedię. Nie miała planu, nie wiedziała, jak może ochronić inne dzieci ani kto będzie przyszłą ofiarą. Czuła się tak samo bezsilna jak wtedy, gdy spędziła noc przy zwłokach syna, jak wtedy, gdy nie znaleziono żadnego śladu po sprawcy.

Krążyła dniami i nocami po bunkrze, bo tylko tyle mogła zrobić - strzec miejsca, które według niej jest największym zagrożeniem dla najmłodszych mieszkańców miasteczka. Nie bała się ciemności, przywykła do niej, bo jak można lękać się czegoś, w czym przyszło jej spędzić dwa dni (czterdzieści osiem godzin i nie wiadomo ile minut), bo tyle minęło, zanim zostali odnalezieni przez policję - ona i jej zmarłe dziecko.

*

Tego dnia pogoda dopisała, świeciło słońce, w końcu można było poczuć, że są wakacje. Na osiedlu zrobiło się głośno. Dzieciaki grały w piłkę, jeździły na rowerach - jednym słowem korzystały z uroków lata. Majka, Olga, Karol, Mateusz - wszyscy zasiedli na ławkach, kocach i trawie. Nie tylko młodzież wyszła z mieszkań - ale i staruszek na wózku i kilkoro innych mieszkańców.

- O panienska to chyba nowa lokatorka trzeciej kamienicy?

- zapytał Pan na Wózku, gdy tylko ujrzał nowo przybyłą.

- Tak - odpowiedziała krótko.

Pan na wózku nie dał za wygraną, uwielbiał rozmawiać i zawsze łaknął towarzystwa młodych ludzi. Przez ponad trzydzieści lat wykładał nauki historyczne na jednym z warszawskich uniwersytetów, tak więc przebywanie z młodzieżą było częścią jego pracy.

- Tam mieszkał mój przyjaciel, Szymon - zmarł tydzień temu. Oj, jak człowiekowi ciężko, gdy tak każdy z nas powoli odchodzi, a w tym wieku to taka codzienność... - żalił się staruszek, nie podejrzewając, że jego rozmyślenia mogą nużyć.

Pan Szymon był sąsiadem Olgi, pierwszym zmarłym człowiekiem, którego tamta знаła. To właśnie wspomniana tabliczka z jego nazwiskiem pozostawiła ślad na drzwiach.

- Współczuję panu - odpowiedziała nieznajoma. Ton jej głosu był niezwykle jednostajny, zrównoważony, pozbawiony oznak jakiegokolwiek przeżywania. Może dlatego jej wyznanie brzmiało fałszywie.

- Sama się tu wprowadziłaś? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Pewnie smutno takiej młodej osobie przebywać samotnie w pustym mieszkaniu?

- Nie jestem już taka młoda - wtrąciła, ale staruszek zaśmiał się i dodał:

- Tak, prawdą jest, że jak jest się młodym, to na siłę chce się postarzyć, a jak jest się starym - to szukamy towarzystwa młodych, jakby mieli dodać nam wigoru. Twoja skala wiekowa, skarbie, jest dosyć surowa, wedle niej w takim razie nie

powiniennem już żyć.

Dziewczyna nie odpowiedziała, patrzyła na idącego w jasnej bluzeczce chłopczyka, który krzywił stopy do wewnątrz i szurał nimi po asfalcie. Dziecko miało może siedem lat.

- Poznałaś już okolicę? - zaczął znów staruszek.

- Wydaje mi się, że tak. Zresztą nie jest zbyt rozległa - odpowiedziała, wciąż obserwując wątego chłopca.

- Zależy jak na to spojrzeć. To, co teraz widzisz, to pozory, a to, co niewidoczne, robi wrażenie...

- Nie rozumiem - przyznała Paulina, bo tak miała na imię nowa dziewczyna.

- Poznanie tego miejsca jest niemożliwe - wyjaśniał staruszek. - Widzisz, pod twoimi stopami jest jeszcze jedno miasto, ze swoimi zakamarkami, schronami, ze swoją historią...

- ...i ze swoimi mieszkańcami - dokończyła.

- Oj, tak daleko, to bym się nie zapędzał. Naukowcom nie wypada wierzyć w duchy.

Staruszek na wózku potrafił być męczący, przede wszystkim dla kogoś, kto stroni od towarzystwa ludzi. Poza tym niektórych mógł po prostu nudzić, bo mówił zbyt powolnie. Potrafił wtrącać własne refleksje, które też niekoniecznie cieszyły się zainteresowaniem młodych, ale miał ogromną wiedzę i był po prostu dobrym człowiekiem.

- Po co wróciłaś?! Któremu dziecku tym razem chcesz zrobić krzywdę? O, ja ciebie nie zapomniałam!

Dziewczyna milczała, wbiła jedynie w obłąkaną kobietę

swój bladoniebieski wzrok.

- Pani Wandziu! Proszę wracać do domu. Niech pani nie niepokoi młodych - odezwał się staruszek na wózku.

Obłąkana Wanda rozejrzała się wokół siebie. Dzieci przestały grać w piłkę i śmiejąc się, wytykały ją palcami. Młodzież siedząca nieopodal na jednej z ławek przestała rozmawiać. Wydawało się, że przez moment życie toczyło się jak w filmie puszczone w zwolnionym tempie. Tylko jedna osoba nie skupiła swojej uwagi na obłąkanej kobiecie - idący poboczem chłopiec.

- Wyjedź stąd! Słyszysz!?! Zostaw dzieci w spokoju! - wrzeszczała, nie zważając na to, że dla niektórych stała się właśnie obiektem drwin.

- Pani Wandziu nie trzeba krzyczeć. Ja panią odprowadzę... no już, pani Wandziu, idziemy - powiedział, łapiąc delikatnie kobietę za ramię.

- Nigdzie nie pójdę, dopóki tu, przy wszystkich, nie przyzna się do tego, co zrobiła mojemu synowi!

- Pani Wandziu, tu nie ma winnego. Niech pani będzie rozsądna. Ta dziewczyna ledwie od ziemi odrosła. Gdy Kacperek zmarł, ona miała może dwa lata, nie więcej - zauważył staruszek, ale twarz obłąkanej kobiety nie wyrażała wątpliwości - Wanda była pewna, że jej syn zginął z rąk stojącej naprzeciw niej dziewczyny. Była głucha na jakiegokolwiek próśby i tłumaczenia.

- Kim pani jest? - zapytała nagle. - Bo ja mam na imię Paulina.

Ten zrównoważony, cichy głos dziewczyny i jakiś

wewnętrzny spokój od niej emanujący, powodował, że wszyscy świadkowie tej rozmowy uznali obłąkaną Wandę za tę, która rzuca bezpodstawne, absurdalne oskarżenia. Byli pewni, że kobieta już się nie odezwie, bo pytanie zadane przez Paulinę zbije ją z tropu albo wzbudzi niepewność. Ale obłąkana Wanda była nieugięta. Nie spuszczała wzroku z młodej dziewczyny, jakby szukała w nim potwierdzenia. Nie pojmowała, z jakiego powodu te oczy zionęły jakąś pustką. Jedyne, co udało jej się z nich wyczytać, to brak emocji i przeżyć, jakby stojąca przed nią dziewczyna nie miała za sobą żadnych doświadczeń i przeszłości. Nie pojmowała tego. Przecież każdy człowiek żyjący na tym świecie ma osobowość, którą niektórzy specjaliści są w stanie określić nawet po kilku sekundach, badając gesty, mimikę i wygląd. Paulina byłaby dla nich wyzwaniem, bo patrząc jej w oczy, człowiek patrzył w próżnię.

- Jestem matką chłopca, którego zamordowałaś w tym bunkrze - powiedziała, wciąż walcząc z obojętnością nieznajomej.

Czekała na reakcję Pauliny, ale dziewczyna nie odpowiedziała.

Stojąca w pobliżu grupka chłopców przedrzeźniała obłąkaną Wandę. Wykrzywiali buzie, robili zęza i wystawiali języki. Najstarszy z nich miał może siedemnaście lat, najmłodszy około piętnastu.

- Ale stara ześwirowała, co nie!? - krzyknął jeden z nich, śmiejąc się i wyginając długie grabie we wszystkie strony.

- Walnięte babsko! Idź się leczyć! - dorzucił jego rudy kolega.

- Panowie! Rozejdźcie się, koniec przedstawienia! - powiedział staruszek.

Tymczasem Paulina spoglądała to na chłopców, to na chorą kobietę, która cały czas czekała na odpowiedź.

- Przepraszam, chyba powinnam odejść. Bardzo mi przykro - dodała w kierunku matki zmarłego chłopca, po czym odwróciła się i odeszła.

- Poszła... po prostu odwróciła się i poszła - powiedziała obłąkana Wanda i powtarzając to zdanie kilkakrotnie, straciła przytomność. Odbijając się od inwalidzkiego wózka, upadła na ziemię.

Stojący nadal w pobliżu chłopcy nie zamierzali pomagać. Obserwowali z dala sytuację, ale nie podeszli, a staruszek na wózku nie był w stanie sam podnieść nieprzytomnej kobiety.

- Niech ktoś zadzwoni po pogotowie! - krzyknął.

Wszyscy skupili wzrok na leżącej kobiecie, a ci, którzy nie pomagali, najchętniej obserwowali dalszy rozwój wypadków. Ten chłopak o długich grabiach klaskał w dłonie, a jego rudy kumpel stał w oboma rękami w kieszeniach i z krzywym uśmiechem na ustach, patrzył na zboląłą twarz pani Wandy. Miał tak bezwzględne spojrzenie, jakby modlił się o jej śmierć.

Do staruszka i nieprzytomnej kobiety podbiegła Olga ze znajomymi. Karol i Mateusz chwycili panią Wandę pod pachami, unieśli, a następnie ułożyli na ławce. Olga w tym czasie zadzwoniła na pogotowie. Za chwilę pani Wanda odzyskała przytomność - fizyczną, bo o przytomności umysłu trudno tu wspominać.

- Uważajcie na nią, dzieci, uważajcie... - bełkotała, a jej

policzki zwisające jak obumarła tkanka, przybrały szarawą barwę.

- Dobrze, pani Wandziu, ale pani też powinna na siebie uważać - zauważyła Majka.

- Zapamiętajcie to, co mówię: ona jest niebezpieczna, ona zabiła mi dziecko - mamrotała starsza kobieta, ale nikt nie brał jej ostrzeżeń na poważnie, każdy natomiast zgodnie twierdził, że po śmierci syna pani Wanda postradała zmysły; z roku na rok coraz bardziej traciła kontakt z rzeczywistością.

Pogotowie przyjechało po dziesięciu minutach.

- Nigdzie z wami nie jadę, nic mi nie jest! Ja muszę tu być!
- krzyczała, gdy ratownicy zaczęli się do niej zbliżać. -
Nigdzie nie jadę, zostawcie mnie, nigdzie nie jadę! -
powtarzała jak wyuczoną regułkę.

- Spokojnie, niech się pani uspokoi. Zmierzymy ciśnienie.

- Jest w normie - powiedział drugi ratownik medyczny zaraz po tym, jak objął czarnym pasem łokieć kobiety. - Jadła coś pani dzisiaj? - dopytywał.

Kobieta zdawała się nie słyszeć pytania, przymknęła ze znużenia powieki i przez parę sekund wyglądała, jakby spała.

- Tu mnie uciska - powiedziała, kładąc dłonie na klatce piersiowej. - Ale to ze zmartwień.

- Co my mamy z panią zrobić? Ma się kto panią zaopiekować? - zapytali.

- Tak, ma.

- Kto? - pytali, pochylając się nad staruszką.

- Ja sama jestem dla siebie najlepszym opiekunem - oznajmiła, wstając z ławki.

Ratownicy załamali ręce. Wiedzieli, że z panią Wandą nie ma sensu wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje.

Każdy ją znał. Kobieta często kręciła się po mieście i mówiła do siebie. Nie potrafiła odpowiedzieć na zwykłe pytania, ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby kogokolwiek oskarżała o zabójstwo swojego dziecka. Ponieważ jednak często mówiła od rzeczy, nikt nie traktował jej słów poważnie.

*

Świeciło ostre słońce, a chmury rozpięzchły się, pozostawiając niewielkie obłoczki.

Mikołajek przykucnął obok swojego rowerka, który był dostosowany specjalnie do jego potrzeb. Zamiast dwóch, posiadał trzy duże koła, aby chłopiec sam nie musiał utrzymywać równowagi. Żółta kierownica była bardziej zgięta od innych i zdecydowanie niżej umieszczona, aby Mikołaj mógł ją w łatwy sposób chwycić. Rower stał wsparty o niską siatkę ponurego podwórka. Chłopiec właśnie siłował się z opadającym łańcuchem, próbując nabić go na wystające metalowe bolce. Rączki miał już ubrudzone, a koordynację ruchową zbyt zaburzoną. Łańcuch opadał z brzękiem. Ilekroć Mikołaj go unosił, z powrotem wyslizgiwał mu się z rączek.

Zdarzało się, że ludzie mijający Mikołajka na ulicy, myśleli: „Takie dziecko powinno się zabić zaraz po urodzeniu”. Nierzadko te słowa cisnęły się ludziom na usta, chociaż nie zostały wypowiedziane na głos. Niektórzy szli jeszcze o krok dalej, jakby ustawa o odbieraniu życia niepełnosprawnym noworodkom miała być lada dzień przyjęta, i zastanawiali się,

kto ewentualnie byłby za jej wykonywanie odpowiedzialny – kto wykonywałby takie śmiertelne czynności. Pierwsza osoba, która przychodziła im na myśl, to lekarz. Ci wierzący gromili w myślach samych siebie i uznawali, że lekarz to nie Bóg, aby podejmować takie decyzje. Ci mniej religijni twierdzili, że lekarz, decydując się na taki zawód, powinien umieć radzić sobie ze stresem związanym ze śmiercią. „Ale lekarz ratuje życie, a nie je odbiera ” – myśleli kolejni. „W takim razie kto? ”... I na tym pytaniu rozważania o śmierci niepełnosprawnych noworodków zazwyczaj się kończyły.

Wszystko przez wygląd chłopca, do którego normalni jeszcze nie przywykli. Mikołaj był wątły, jakby pod warstwą skóry brakowało mięśni, a znajdowały się drobne kosteczki mogące w każdej chwili rozlecieć się w drobny mak. Ludzie dziwili się, że jego nogi były w stanie utrzymać resztę ciała. Zbyt wystające kolana kojarzyły im się z głodem albo chorobą i przywoływały na myśl cierpienie. Większość sądziła, że chłopiec codziennie walczy z bólem. To była nieprawda, Mikołaj miał po prostu drobniejszą budowę niż przeciętne zdrowe dziecko.

Najgorszy niesmak wzbudzała jego twarz. Miał ładne niebieskie oczy, ale na jedno z nich opadała powieka, jakby nie miał siły jej podnieść. Wciąż lekko rozchylone wargi, wystający język i ślina gromadząca się w kącikach ust i ciekąca po brodzie, powodowały, że ludzie krzywili się, nie mieli ochoty podchodzić bliżej, jakby sądzili, że ta ślina przenosi jakieś choroby.

Zbyt małe dłonie i brak koordynacji ruchowej

uniemożliwiały Mikołajowi naprawę rowerka. Denerwował się, gdy po raz kolejny nie udawało mu się wygrać z łańcuchem.

- Już wolę jak rysujesz, przynajmniej to ci wychodzi - powiedziała Olga, mijając swojego młodszego brata.

Mikołaj nic nie odpowiedział. Zresztą nie do końca rozumiał, co siostra chciała przez to powiedzieć. Wiedział jedynie, że jest na niego zła.

- To mu pomóż - usłyszała. Paulina stała przy wejściu do klatki i od dłuższego czasu przyglądała się chłopcu, którego niedawno widziała idącego poboczem jezdni.

- Kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mam robić? - spytała Olga, zatrzymując się naprzeciw nieznajomej. Albo słońce było tego dnia tak intensywne, albo buzia tej dziewczyny tak jasna, ale stojąc w promieniach słońca, miała aksamitną, wręcz świecąca skórę.

- Nikim. Po prostu jeżeli widzisz, że twój brat nie daje sobie rady z rowerem, to z czysto ludzkiej życzliwości powinnaś mu pomóc.

- On z niczym sobie nie daje rady. Tego nie zauważyłaś? - zapytała Olga i wyjęła z czarnych dżinsów zgniecioną paczkę papierosów. - Zresztą, skoro jesteś taka troskliwa, to sama mu pomóż. Powodzenia - dodała i stanęła, aby zobaczyć dalszy rozwój wydarzeń.

Paulina była dosyć wysoka i niezwykle smukła. Podeszła do chłopca i przykucnęła obok niego.

- Cześć, Mikołaj, mogę pomóc ci założyć łańcuch? - zapytała. Chłopiec przecząco pokiwał głową. - Zobacz, mam

od ciebie większe dłonie, będzie mi łatwiej – powiedziała i nie czekając na zgodę Mikołaja, dotknęła rowerka.

Chłopiec zaczął krzyczeć i szamotać się. Jego twarz poczerwieniała, z oczu zaczęły cieknać strużki łez, które zatrzymywały się dopiero na jego brodzie. Zanosił się płaczem tak mocno, że z trudem łapał oddech.

Paulina nie odsunęła się nawet o centymetr. Nie przeraził jej widok rozhisteryzowanego dziecka. Patrzyła na jego małe niezdarne dłonie i zmrużyła oczy. Nie sprawiała wrażenia zakłopotanej, ale wzruszonej.

- To teraz go jeszcze uspokój – odezwała się stojąca obok Olga i wykrzywiając usta w ironicznym uśmiechu, odeszła.

Paulina odprowadziła Olgę wzrokiem, a sama zaczęła uciszać Mikołaja.

- Mikołaj, spójrz na mnie, już niczego nie dotykam – powiedziała Paulina i podniosła obie ręce na wysokość oczu chłopca.

Mikołaj już nie płakał, powoli zaczynał się uspakajać. Przestał się szamotać, po czym usiadł na własnych nogach i zaczął się kołysać. Już nie trząsał wątlymi ramionami, ale wydawał się niepewny i skrępowany. Czasami odnosiło się wrażenie, że cały świat, wszyscy ludzie, napawają go strachem. Bał się, gdy ktoś obcy zbliżał się do niego – aby go skrzywdzić. Nie rozumiał, co do niego mówi i właśnie to najbardziej go przerażało.

- Już dobrze? – zapytała i dotknęła ramienia Mikołaja.

Dziecko gwałtownie się odsunęło. Chłopiec, odkąd Paulina się pojawiła, nie spojrzał na nią ani razu. Przewracał

oczami, nie potrafił znaleźć jednego punktu, na którym zatrzymałby wzrok. Walczył z własnym ciałem, próbował nad nim zapanować.

- Jesteś nieznajoma - wydusił w końcu niezbyt wyraźnie. - Ja nie rozmawiam z nieznajomymi - powiedziała, a jego czerwona od płaczu twarzyczka zaczęła z powrotem bieleć; zachowanie chłopca wciąż jednak zdradzało nieufność.

- Dobrze, w takim razie ja się przedstawię: Mam na imię Paulina i bardzo chciałabym cię poznać - oświadczyła. - Przyjdę do ciebie jutro i mam nadzieję, że wtedy już nie będę dla ciebie nieznajomą - powiedziała, jak zawsze, z niezwykle spokojem. Pierwszy raz zdobyła się na uśmiech.

*

Podczas gdy Paulina rozmawiała z Mikołajem, przy płocie jednego z ogródków działkowych stała obłąkana Wanda i z przerażeniem przyglądała się, jak dziewczyna próbuje pozyskać akceptację i sympatię niepełnosprawnego chłopca.

- Co do diabła?! - powiedziała, gwałtownie cofając rękę, którą szturchnął kudłaty biały pies. Zwierzę wyglądało na młode, ale spojrzenie miało niezwykle rozumne. - Czyj ty? Bezpański pewnie albo kogoś z baraków - głośno myślała, tymczasem pies w powolnym tempie, z łbem i ogonem zwieszonym do dołu, osunął się na ziemię, kładąc się pod nogami kobiety.

ROZDZIAŁ IV

Tego dnia temperatura była najwyższa w ciągu całego lata. Przekroczyła trzydzieści stopni i zapowiadała wieczorną burzę. Tym razem ulica Staffa była pusta. Ludzie albo pochowali się przed słońcem w mieszkaniach, albo wybrali się nad zalew. Jedyną osobą, która nie odczuwała upału, był Mikołaj. Na szczęście ojciec posadził syna na ławce przy kamienicy, w miejscu, gdzie słońce nie docierało. Chłopiec od rana nie wypuścił kredek z rąk.

- Cześć, Mikołaj, pamiętasz mnie? Wczoraj się zapoznawaliśmy...

- Wtedy rowel...

- Tak, wtedy naprawiałeś swój rower - dokończyła Paulina. - Dałeś radę go naprawić? - zapytała, a wtedy chłopiec przecząco pokręcił głową. - To może ja ci pomogę założyć ten łańcuch i pojedziemy na boisko sprawdzić, czy działa? - zaproponowała, wystawiając do chłopca dłoń, aby ją chwycił, ale chłopiec zajęty był rysowaniem portretu dorosłego mężczyzny. - No dobrze, nie chcesz jeszcze iść... a pokażesz mi swoje rysunki?

- Takie som, i takie jeszcze, tata to... - wyciągał wszystkie

prace, które miał w plecaku i pokazywał palcem na namalowaną postać, która wyraźnie przypominała jego ojca.

- Naprawdę pięknie rysujesz.

- To Olha - powiedział i położył na kolanach Pauliny portret swojej siostry.

- Pokazywałaś siostrze ten rysunek? Myślę, że byłaby z ciebie dumna.

- Nie, Olha nie bardzo lubi Mikołaja - powiedział.

- Schowaj, Mikołajku, swoje prace, bo mogą ci się tu zniszczyć. Szkoda byłoby ich, bo są naprawdę cudowne.

Chłopiec schował wszystkie kartki i niezadarnym ruchem ręki zasunął plecak. Potem chwycił dłoń Pauliny i razem z nią poszedł w kierunku zepsutego rowerka.

*

- Weź, Karol, przestań, ale jesteś irytujący! - krzyczała Majka, denerwując się na Karola, który napełniał plastikowy kubek wodą i chlapał nią opalającą się dziewczynę.

- Idziemy się kąpać? - zaproponowała Monika leżąca na ręczniku obok.

- Poczekajmy na Olgę.

- Tak? Nie wiem po co! Wyobrażacie sobie kąpiącą się Olgę?

- Albo opalającą się!?

Plaża nie była pełna ludzi. Nieliczni kąpali się przy brzegu. Nikt nie pływał motorówką ani kajakiem.

- Gdzie ci ludzie się podziali? Pamiętacie czasy, jak mieliśmy po siedem lat i trudno było znaleźć na plaży miejsce

na ręcznik? - zauważyła Monika, patrząc na opustoszały teren. - Pootwierane budki z colą... ojej! - mówiła, obracając się leniwie po ręczniku.

Nieopodal, zaraz za wysokimi krzewami, stała biała niewielka budka, poobijana kawałkami przygniętych desek.

- Zawsze tu było jak nad Bałtykiem w środku sezonu - dodała Majka, spoglądając z przykrością na sterczące badyle, które były pozostałością po jakiejś rzadkiej roślinie.

- Nawet fale od motorówek mieliśmy. A teraz taka nuda!

- Dlaczego dzieciom nawet tego baseniku nie napełnili? - zapytał Mateusz, zatrzymując wzrok na niebieskim brudnym dnie brodzika, w którym tkwiły zgniłe liście. Niedługo basenik zamiast być napełniony wodą, będzie wypełniony po brzegi śmieciami.

- Uwielbiałam się w nim kąpać, ale przez tę kamienną zjeżdżalnię musiałam sobie kostiumy co dwa dni kupować...

- Cha Cha Cha - pamiętam, miałam tak samo, później w sumie moja mama to ignorowała i chodziłam z dziurą na tyłku - śmiała się Majka, po czym wyciągnęła telefon komórkowy.

- Sprawdźcie, czy pisała do was Olga, bo miała do nas dość... w sumie z godzinę temu.

Wszyscy po kolei zaczęli wyciągać telefony.

- Do mnie nie pisała - stwierdziła Majka.

- Ani do mnie - skonstatował Mateusz.

- No, jeżeli do was nie napisała, to do mnie tym bardziej - skwitował Karol i z impetem położył się na plecach Moniki.

- Ała! Ale ty jesteś durny, naprawdę! To boli, złaż, matole!

Minęła kolejna godzina, słońce grzało coraz słabiej.

- Głodna jestem - powiedziała Majka.

- No w sumie ja też bym coś zjadł - zawtórował Karol, gładząc się po owłosionym brzuchu.

- Idziemy na frytki?

- Czekaście, zadzwonię do Olgi, może chociaż na frytki z nami pójdzie...

Majka wyciągnęła ponownie telefon, wybrała numer Olgi i czekała, aż pojawi się sygnał.

- No odbierz to! - mówiła do słuchawki. - No nie wierzę, nagle poczta się włączyła.

- Odcieła cię.

- Czekaście, dzwonię jeszcze raz... Abonent niedostępny - powiedziała po chwili.

- Spójrzcie, to nie Mikołaj? Sam?! - krzyknęła Majka.

- Nie jest sam! Nowa obok niego się kręci! - zauważył Mateusz, po czym dodał:

- Ona jest trochę dziwna. Zauważyliście, że ma bardzo przenikliwe spojrzenie?- Jakby wszystko o tobie wiedziała, wiem. I w ogóle ma bardzo nietypową urodę - dodała Monika.

Jej nietypową urodę dostrzegało każde z nich, ale żadne nie umiałoby określić, dlaczego jej wzrok mroził krew w żyłach.

*

Przechodzili obok szlabanu kolejowego, kiedy po drugiej stronie torów zobaczyli Mikołaja jadącego na rowerze w towarzystwie Pauliny.

- Zaraz zbliża się osiemnasta, a on jest pod opieką jakiejś obcej dziewczyny - zaczęła Monika.

- Ja z nią nie będę gadała - odpowiedziała Majka, marszcząc czoło.

- Weź, nie żartuj, bo uznam, że wzięłaś na serio słowa obłąkanej i uważasz ją za morderczynię.

- Nie no, nie przesadzaj - to byłoby niemożliwe. Ale kiedyś, jak byliśmy z Olgą na skoczniach, to wydawało mi się, że ona stała na pomoście. Tak się przestraszyłam, że prawie spadłam z drabiny, a później, jak weszłam jakimś cudem na górę, to jej już tam nie było. Olga kazała mi się puknąć w czoło, bo nikogo tam nie widziała, ale ja dałabym sobie głowę uciąć, że ta dziewczyna była nad zalewem.

Po opowieści Majki mina każdego z osobna zrobiła się nadzwyczaj poważna.

- Wiecie co, skoro nic o tej dziewczynie nie wiemy, to tym bardziej powinniśmy odprowadzić Mikołaja do domu - powiedział Karol.

Podeszli do obojga w momencie, kiedy Mikołaj naciskał na przymocowaną do kierownicy roweru kaczuszkę, która wydawała ostrzegawczy piskliwy sygnał.

- Cześć, my jesteśmy znajomymi Olgi, siostry tego chłopca. Czy możemy zaprowadzić Mikołaja do domu?

- Tak, proszę - odpowiedziała Paulina. - Tylko nie wiem, czy teraz będzie chciał z wami pójść.

- A dlaczego miałby nie chcieć z nami pójść? - dopytywała Monika.

- Klątwę jakąś na niego rzuciłaś, czy co? - zapytał Karol.

- Zahipnotyzowałaś go? - zaśmiał się Mateusz.

- Nie, nie zahipnotyzowałam go... Mateuszu - oznajmiła z grobową powagą. - Chodziło mi po prostu o to, że trudno do niego dotrzeć.

- Ale nas zna i chętnie z nami pójdzie - zapewniała Monika.

- Mikołajek, chodź z nami. Niedługo masz kolację i tata na pewno będzie się o ciebie martwić - powiedziała Monika i wzięła chłopca za rękę.

Mikołaj nie stawiał oporu, grzecznie szedł z Moniką do domu. Odwrócił się raz w stronę Pauliny, uśmiechnął się i pomachał niezdarnie rączką na pożegnanie. Majka i Karol zdziwili się, że chłopiec zdołał w tak krótkim czasie zaufać Paulinie i szczerze ją polubić. Zнали Mikołaja, odkąd był niemowlakiem, i wiedzieli, że nieliczni mogą zachęcić go do wspólnej zabawy.

- Polubiłeś tamtą dziewczynę? - zapytała Majka, gdy dotarli do garaży znajdujących się dwadzieścia metrów od kamienicy Olgi. Chłopiec potwierdził skinieniem głowy.

- Olga wie, że z nią byłeś? - dopytywała. Tym razem chłopiec zaprzeczył.

- A widziałeś siostrę?

- Po szła tam! - powiedział i wyciągnął palec w kierunku wejścia do bunkra.

Znajomi Olgi natychmiast z niepokojem spojrzeli po sobie.

- Skąd ona znała moje imię? - zastanawiał się Mateusz. - Nie przypominam sobie, żebyśmy się zapoznawali.

- Mateusz, ty teraz o imieniu?! Skup się, człowieku, Olgi

nie ma! Mikołaj - Majka pochyliła się w stronę chłopca - czy Olga weszła tam sama?

- Taak, sama tam - odpowiedział i raz jeszcze wyciągnął palec w stronę bunkra.

- A ty byłeś wtedy z Pauliną?

- Taak, ja z Paliną wtedy lowerek.

Młodzi wchodzili właśnie do jednej z kamienicy. Gdy minęli parter, Majka nachyliła się nad chłopcem i zapytała:

- Mikołajku, posłuchaj mnie teraz, to jest bardzo ważne. Czy w tym samym czasie, kiedy ty byłeś z Pauliną, twoja siostra weszła do bunkra?

- Tata tu! - krzyknął i wbiegł do mieszkania.

- A co wy tu robicie? - zapytał ojciec Mikołaja.

- Przyprawiliśmy młodego. Jest Olga w domu?

- Nie ma jej. A to ona nie z wami?

- No właśnie nie. Umówiliśmy się z nią nad zalewem, ale nie przyszła, a Mikołaj mówi, że ostatnio kręciła się przy bunkrze.

- Olga różnie się zachowuje, ale jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie wróciła bez pozwolenia na noc do domu. W razie gdyby się u któregoś z was pojawiła, to zadzwońcie, a jej przekażcie, że opłaciłem jej wyjazd nad kolonie, więc niech się lepiej pojawi, zanim się rozmyślę - powiedział, puszczając oko.

Nie martwił się na zapas, bo znał córkę i wiedział, że przebywanie całymi dniami poza domem było w przypadku Olgi czymś naturalnym.

*

- Spoko ma tego staruszka - powiedział Mateusz, gdy tylko oddalili się od kamienicy.

- Ale gdzie ona może być? - pytała Monika coraz bardziej zaniepokojona.

Zeszli na szkolne boisko. Usiedli na ławce, na której zwykle spędzają długie godziny.

- Nie mówcie mi tylko, że myślicie o tym, o czym myślę, że myślicie - zaczęła Majka.

- Dokładnie o tym myślimy...

- Ja nigdzie nie wchodzę... tym bardziej, że zobaczcie, co się dzieje z pogodą. Duchota była dzisiaj przez cały dzień i od rana zapowiadali burzę. Ja nigdzie nie wchodzę. Bunkier, burza - klimat zdecydowanie nie dla mnie.

- Majka, słyszałaś, co powiedział Mikołaj. Jeżeli Olga jest w tym bunkrze, to nie wyobrażam sobie, żebyśmy dopuścili do sytuacji, że jest tam sama w nocy.

- Monika ma rację, gdybym to ja się zgubił, to chciałbym, żeby mnie ktoś szukał - wtrącił Mateusz.

- Majka, byłaś w tym bunkrze i pamiętasz tę przesuwającą się plamę. Wyobrażasz sobie teraz, że my dowiedzieliśmy się, że się tam zgubiłaś, i będąc we czwórce, boimy się wejść do środka?!

Nad miastem zaczęły gromadzić się chmury. Zerwał się wiatr, a wszystkie cztery drewniane koty obracały teraz głowy dokładnie w tę stronę, którą wskazywał im pęd powietrza. Nad zalewem już zaczął kropić deszcz. Woda pod wpływem silnego wiatru, tworzyła na powierzchni lekkie fale. Przywiązany linami sprzęt wodny zaczynał się o siebie obijać.

Spiczasta rufa kajaka uderzała to o pomost, to o przywiązany do niego wodny rower.

Stojąc na wyższej skoczni, można było objąć wzrokiem las otaczający cały teren zalewu. W tym momencie wszystkie drzewa szamotały się, gałęzie uginały, a zielone korony toczyły walkę z nieustępliwym powietrzem. Wszystko wokół ruszało się, wykrzywiało, zmieniało swoje położenie, kształt, wirowało albo – podobnie jak drzewa – próbowało ostatkiem sił przetrwać. Niebo przeobrażało się w pole bitwy, na którym główną rolę odgrywały grzmoty i błyskawice. Temu nadzwyczajnemu atmosferycznemu zjawisku towarzyszyły różne dźwięki – tym najbardziej głośniejszym był stukot kół przejeżdżającego pociągu o szyny.

- Słuchajcie... to rzeczywiście nie jest dobry pomysł. Spotkajmy się tu za dwie godziny, jak pogoda trochę spąsuje, bo jak deszcz będzie uderzał o glebę i zacznie grzmieć, to nie usłyszymy Olgi, nawet jak będzie nas wołała – powiedział Karol, nie zdając sobie sprawy, że nawet największa ulewa nie zakłóciłyby głuchej ciszy, która zawsze panuje w bunkrze.

- Ja w dalszym ciągu uważam, że nie powinniśmy jej zostawiać – powiedział stanowczo Mateusz.

Wiatr wiał z tak dużą siłą, że stojąca obok huśtawka sama zaczęła się bujać, a karuzela zataczać koła. Z okna świetlicy wypadł kawałek stłuczonej szyby.

Dotarli na miejsce. Główne wejście do bunkra, które wszyscy znali, znajdowało się między dwoma wysokimi krzakami. Należało jedynie odgarnąć gałęzie, a niscy i szczupli musieli właściwie tylko odsunąć blaszaną

zardzewiałą klapę. Zimą wejście do schronu było widać gołym okiem, latem przysłaniały je zielone liście.

- Zakryjcie klapę, żeby nie było słychać hałasów z zewnątrz - powiedział Karol do Mateusza i Majki, którzy stali najbliżej wyjścia.

Natychmiast zrobiło się całkowicie ciemno. Młodzi odnieśli wrażenie, że wchodząc do podziemia, przenoszą się w inne realia, gdzie panują odmienne prawa. Zmierzając w stronę głównego korytarza prowadzącego do trzech następnych tuneli, przeszli obok wąskich, stromych schodów. Karol włączył w telefonie funkcję latarki, aby dokładniej dostrzec, w którym kierunku zniżają się schody. Z przerażeniem odkryli, że kamienne stopnie schodzą w dół jeszcze głębiej pod ziemię.

- Nie wierzę! Ten bunkier ma kilka poziomów. My jesteśmy na samej górze! Wiecie, co to znaczy? - dopytywała Monika.

Mateusz natychmiast zareagował, mówiąc w imieniu reszty:

- Wiemy: jeżeli Olga się tu zgubiła, to właściwie nie mamy szans jej znaleźć.

- Zwróciliście uwagę, że nie słychać tu ulewy? - zapytała Majka, patrząc w górę.

- Masakra, czuję się jak w jakimś grobowcu... po prostu zamiast latarki zapalmy znicze... - mówiła ścisłym głosem Monika.

Schron okazał się większy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

- Zapamiętajcie drogę albo nawet zapisujcie w telefonie, po której stronie i co mijamy. Jeżeli będziemy gdzieś skręcać, też musicie to zanotować. Tylko, kurwa, bez pomyłek, bo skończy się to tragicznie! - ostrzegał Karol, który wyraźnie zaczynał pełnić rolę przewodnika.

- Po prawej stronie, na murku stoi doniczka... Zapisaliście?

- Doniczka? To ktoś tu mieszkał?! Skąd się tu wzięła doniczka?!

- Nieważne, człowieku, zapisuj po prostu! - denerwował się Karol.

Było zbyt ciemno, żeby zauważyli, że takich doniczek było w bunkrze więcej. Leżały porozrzucone zarówno po lewej, jak i po prawej stronie.

Doszli do końca korytarza. Musieli zdecydować, który obrać kierunek.

- Spójrzcie, ta droga jest zbyt niska i trzeba się schylać. Olga raczej by jej nie wybrała. Mamy pięćdziesiąt procent szans, że dobrze zdecydowaliśmy. Zapiszcie, że idziemy środkowym przejściem.

Środkowy korytarzyk okazał się krótki i prowadził do pomieszczenia przypominającego pokój bez okien. Miało ono kształt kwadratu o wymiarach cztery metry na cztery. Poza tym przy jednej ze ścian leżał wyleniał materac, obok którego stała otwarta puszka.

- Myślicie, że ktoś tu mieszka? - pytała z niepokojem Monika.

- Jak już, to mieszkał... Możliwe, że jakiś bezdomny, mało

to ich w naszym miasteczku? – odpowiedział Mateusz.

– Zauważyliście, że skądś wpada tu smuga światła? Wyłączcie telefony, żebym mógł się upewnić – zaproponował Karol.

Wszystkie ekrany komórek wygasły, wyraźnie unaoczniając, że gdzieś z sąsiedniego pomieszczenia, przez ledwie dostrzegalny wlot, docierała odrobina światła.

– Olga, to ty?! – krzyknęła Majka, ale nie było słyhać odzewu.

– Olga! Odezwi się albo, jak nas słyszysz, to mrugnij tym światełkiem, do którego masz dostęp! Nieoczekiwanie światełko mrugnęło, a zza ściany dobiegły kroki.

– Uff! – chyba złapaliśmy z nią kontakt! – ucieszyła się Monika.

– Gorzej, jeżeli to nie z nią... – powiedział Mateusz i natychmiast ugryzł się w język. Wiedział, że przez ten tekst Majka zacznie za chwilę panikować.

Nie spodziewał się jednak, że u wszystkich wywoła palpacje serca. Majka zrobiła się w momencie blado-sina, Monika słyszała oddechy każdego z obecnych, a Karol nie mógł uspokoić walącego mu w tej chwili jak młotem serca. Panowała przytłaczająca cisza.

Majka zaczęła uderzać pięścią o betonowy mur oddzielający ich pomieszczenie od tego obok. Natychmiast odskoczyła o trzy kroki wstecz, kiedy w odpowiedzi coś w identycznym rytmie zatłukło się z tamtej strony. Nie wiedzieć czemu, ale każdemu z nich instynkt podpowiadał, że to nie Olga odpowiedzialna jest za ten łomot.

Karol przyłożył ucho do ściany i palec do ust, dając reszcie do zrozumienia, że mają się nie odzywać.

- Mam wrażenie, że stamtąd dobiega... dziecięcy śmiech - powiedział.

- Wracajmy stąd, bo zaraz umrę, już czuję, że mam nogi jak z waty. Autentycznie.

- Majka dobrze się czujesz? - zapytała Monika, widząc słaniającą się na boki koleżankę. - Chłopaki przytrzymajcie ją, bo ona zaraz zemdleje!

Nie wrzeszcz teraz, bo tylko pogorszysz sytuację! Po prostu spadamy stąd.

- A co z hałasami zza ściany? A jeżeli to jednak Olga? Może najpierw sprawdzimy, jak tam dojść - zaproponował Mateusz. - Majka, dasz radę?

- Tak, tylko nie straszcie mnie bez potrzeby, nie opowiadajcie historii o duchach i nie podkreślajcie, że właśnie kręcę się po wielopoziomowym mrocznym bunkrze.

W pomieszczeniu, w którym się znajdowali, było jedynie ciasne przejście na wysokości pasa, zwykła wybita w murze dziura. Zdecydowali, że nie będą nią przechodzić, ponieważ skręca w zupełnie przeciwnym kierunku niż ten, w którym zmierzali.

Wrócili krótkim korytarzem, który doprowadził ich z powrotem do miejsca, gdzie teraz stanęli ponownie przed wyborem odpowiedniej drogi.

- Czy to nie są znowu te zielone drzwi? - zapytał Karol całkiem zdezorientowany.

Zaczął się im przyglądać. Ta sama mosiężna klamka

z głową meduzy, stara kłódka, do której przymocowano łańcuszek, to samo wykończenie półkolistym kształtem.

- Albo zwariowałem, albo wcześniej ich tu nie było, albo to są te same drzwi, które widzieliśmy zeszłym razem, schodząc wejściem przez odsłonięcie wjazdu. - Gdy odwrócił się, aby znaleźć potwierdzenie wśród przyjaciół, nikt za nim nie stał. - Chyba sobie kpicie! - wrzasnął, nie zdając sobie sprawy, że nogi drżą mu ze strachu, a czoło w ciągu sekundy pokryły krople zimnego potu.

- Tu jesteśmy! Cha cha cha - śmiali się jacyś ludzie, ale to nie był śmiech jego znajomych. Ci bowiem stali dwa metry dalej i otwartymi buziami nasłuchiwali złowieszczonego chichotu.

Mateusz, Monika i Majka podbiegli natychmiast do Karola i łapiąc go za ramię, ciągnęli głównym korytarzem w stronę wyjścia.

Nikt nie miał odwagi wydobyć z siebie głosu. Powoli, w milczeniu, cofali się z głębi bunkra.

- Kurwa! - krzyknęła Monika, potykając się o przedmiot leżący na podłodze. - Doniczka - wyszeptała, tym razem kontrolując ton głosu.

- Jak szliśmy w tamtą stronę, mieliśmy ją po prawej stronie, a teraz leży na środku... Słuchajcie, nie wiem, co się dzieje, ale nie jesteśmy tu sami - Mateusz wypowiedział w końcu coś, co każdy z nich już wiedział i co każdego z osobna przerażało.

Nagle wszyscy przystanęli. Usłyszeli, że parę metrów przed nimi ktoś szura butami o podłogę i wydaje się, że

zmierza w ich stronę. Zatrzasnęli klapy telefonów i czekali na rozwój wydarzeń. Majka natychmiast zaczęła się dusić. Z coraz większym trudem łapała powietrze.

- Majka, cicho, błagamy cię, wytrzymaj - szeptali jej do ucha znajomi, sami dysząc ze strachu.

Gdy jeden krok dzielił ich od szurającej postaci, usłyszeli charakterystyczne muśnięcie o papierowy kartonik. Ktoś usiłował rozpalić ogień za pomocą zapalniczki. Majka miała coraz większe problemy z oddychaniem, za każdym razem, gdy nabierała powietrza w płuca, pojawiał się świszczący odgłos. Mateusz, Karol i Monika łapali się wzajemnie za ręce i mocno je zaciskali. Kiedy buchnął malutki płomień, z ciemności wyłoniła się pomarszczona twarz kobiety, którą znał każdy z nich.

- Pani Wandziu! Co pani tu robi?! - pierwszy krzyknął Mateusz, nie spodziewając się, że widok obłąkanej kobiety sprawi mu kiedykolwiek tak ogromną ulgę.

- Czego tu szukacie?! - wrzasnęła. - Wróciła, a wy sami się o śmierć prosicie!

- Kto wrócił, o czym pani mówi? - dopytywał Karol, zapominając o wczorajszych oskarżeniach pani Wandy rzuconych w kierunku Pauliny.

- Ta dziewczyna mi go zabrała, niedługo ktoś umrze. Wiem to, umrze na pewno!

- My już musimy wyjść - wtrąciła Monika - Przepraszamy panią, ale nasza koleżanka źle się czuje - wyjaśniła i złapała Majkę za ramię, pomagając jej iść.

Obłąkana kobieta została sama w środku bunkra.

Gdy odsunęli klapę, poczuli się nadzwyczaj bezpiecznie. Tu, mimo nocy i braku świecącej latarni, wydawało się być wyjątkowo jasno. Wiatr ustał, słychać było latające w powietrzu owady i jadący w oddali pociąg. Największe emocje opadły, chociaż nie odnaleźli Olgi, a wrażenia z pobytu w bunkrze należały do tych najbardziej paranoicznych.

Na zewnątrz Majka pochyliła się i próbowała wyrównać i spowolnić oddech. Bała się – przez cały ten czas przeraźliwie się bała, do tego stopnia, że nie zorientowała się, kiedy wpadła w panikę.

- Przepraszam was – zaczęła, jakby czuła się winna – Po prostu chyba nie do końca spodziewałam się, że w środku jest tak koszmarne. Nie wiedziałam, że będę się tak bała. Odkąd tam weszliśmy, miałam wrażenie, że nie jesteśmy sami. To migocące światełko, czyjeś kroki, śmiech, zielone drzwiczki, a na końcu spotkanie obłąkanej Wandy – to mnie dobiło.

- Spotkanie obłąkanej Wandy to najcudowniejsza chwila, jaką przeżyłem w ciągu ostatniej godziny! – stwierdził Mateusz.

- Zgadzam się, ale w dalszym ciągu sędzę, że jest szalona – powiedziała Monika.

- Może i szalona, ale cholernie odważna! Pamiętajcie, że my stoimy sobie tutaj, na cudownie bezpiecznym gruncie, gdzie jedyne, co może cię w tym momencie zaskoczyć, to Majka puszczająca bąka – podsumował Karol.

- Ej! – obruszyła się Majka.

Gwałtowny i długotrwały stres opadł, a ogromne napięcie minęło, powodując, że na chwilę wszystkim poprawiły się

humory.

Chwilową radość przerwał dźwięk telefonu.

- Może to Olga! - krzyknęła Monika z nadzieją w głosie, w chwili, gdy zadzwoniła komórka Majki.

- To jej tata - zakomunikowała Majka i natychmiast przycisnęła zieloną słuchawkę.

Rozmowa nie trwała nawet minuty. Znajomi Olgi dowiedzieli się, że ta wciąż nie wróciła do domu, a ojciec zaczął się już martwić.

- Powiedział, że jeżeli nie wróci do rana, to pójdzie na policję - oświadczyła ze smutkiem Majka.

ROZDZIAŁ V

Po opuszczeniu przez młodzież bunkra, kobieta odczuła lęk silniej niż dotychczas. Była jedną z nielicznych osób dosyć sprawnie poruszającą się po schronie. Po śmierci syna całymi godzinami szukała jakiegokolwiek śladu, który pomógłby jej odnaleźć mordercę. Znała niemal wszystkie zakamarki bunkra, korytarze, przejścia - niemal, bo te poziomy znajdujące się kilka metrów pod ziemią były omijane i niezbadane. W środku zawsze panowała absolutna cisza. Do niedawna. Ostatnimi czasy kilka razy zdarzało jej się słyszeć śmiechy, kroki; docierały do jej uszu dźwięki, które nigdy wcześniej nie miały miejsca... Te zmiany obłąkana Wanda wiązała z przyjazdem dziewczyny.

Tego wieczoru pierwszy raz mocno się przeraziła; na tyle mocno, że na oślep, nie zważając na całkowity brak oświetlenia, biegła w stronę wyjścia, kierując się jedynie instynktem.

Gdy pierwszy raz usłyszała czyjeś szepty i postanowiła sprawdzić źródło hałasu, natrafiła na grupkę okolicznych dzieciaków, którzy byli sparaliżowani strachem. Ich reakcja uspokoiła ją, bo przypuszczała, że nigdy więcej tu nie wróca.

Ale po tym, co wydarzyło się tego dnia, sama nie miała pewności, czy jeszcze kiedyś wejdzie do bunkra.

Wszystko zaczęło się od delikatnego miarowego stukania w rurę znajdującą się tuż nad jej głową. Stukanie za chwilę zamieniło się w pukanie, uderzanie, łomotanie, a następnie w głośne dudnienie. Za moment hałas ustąpił całkowitej martwocie. Panował obłędny bezgłos, który zakłócił czyjś bieg dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia. Kobieta zastygła w bezruchu. Nasłuchiwała. Starła się nie wypuszczać powietrza z płuc. Następnie obróciła się wokół własnej osi i trzęsącymi dłońmi zapaliła małą latareczkę, której używała tylko wówczas, gdy potrzebowała oświetlić drugi koniec korytarza. Nie miała wątpliwości, że jakaś postać właśnie uciekła z jej pola widzenia. Była za daleko, aby obłąkana Wanda mogła ją rozpoznać. Choć przeczucie podpowiadało jej, że została tu celowo zwabiona, aby stać się ofiarą czyjegoś podstępny, nie cofnęła się. Przeszła korytarzem i dotarła do miejsca, w którym przed dwoma sekundami znajdowała się tajemnicza osoba. Już tu kiedyś była. Poznała komorę po rozrzuconych na ziemi kablach, drutach i przewodach. Mieszkańcy bunkra mieli dostęp do prądu. Te rzeczy to nic innego jak pozostałości po toczącym się tu życiu.

Izba przypominała średniej wielkości pokój. Sufit był tu wyjątkowo nisko osadzony - można było bez większego wysiłku wystawić rękę do góry i dotknąć podwieszonych belek. Nie zrobiła tego, ponieważ od iks lat na belkach gromadził się brud. Bardziej niż w innych pomieszczeniach czuć tu było unoszący się w powietrzu pył i kurz. W rogu,

między jedną a drugą ścianą, znajdowała się na tyle duża rozpadlina, że osoba chcąca przejść do kolejnej komory, musiała się jedynie pochylić. Właśnie za tym otworem kobieta usłyszała odgłosy przypominające jęk albo sapanie. Już była jedną nogą po tamtej stronie, kiedy poczuła, że ktoś oplata palcami jej łydkę, mocno ją ściskając. Przystanęła i zastanawiała się, co powinna zrobić – cofnąć nogę czy odwrotnie: szybko precyzyjnie się resztą ciała. W chwili, gdy stała w bezruchu, ktoś rozluźnił i odsunął pospiesznie dłoń. Pochwyliła uchem gwałtownie stawiane kroki. Domyśliła, że nie zobaczy już osoby, która razem z nią była w tej samej izbie. Wiedziała jedynie, że ten ktoś miał ciepłe, delikatne, niewielkie dłonie i z jakiegoś powodu szukał z nią kontaktu.

Pomieszczenie, do którego z trudem się precyzyjnie, miało kształt łuku i wyglądało na coś w rodzaju dosyć wąskiego holu czy tunelu. Przyspieszyła kroku, a światło latarki przesuwano się w każdym kierunku. Kobieta szukała osoby, która ją dotknęła. Miała jeszcze nadzieję, że jakimś cudem zdoła ją dogonić. Nie patrzyła pod nogi i szła nieostrożnie, dlatego gdy na jej drodze pojawiło się coś dużego leżącego na ziemi, potknęła się, upadła i dwa metry turlała się po posadzce, zanim jej bezwładne ciało zatrzymało się na sterczącym schodku.

Czuła ból zarówno w nogach, jak i w plecach, ale ostatecznie siłą zdołała się podnieść i cofnąć do leżącej na środku tunelu przeszkody.

- O Boże! - krzyknęła, gdy dostrzegła ciało dorosłego mężczyzny. Przerazona odskoczyła. Nie miała odwagi ani

spojrzeć mu w twarz, ani podejść bliżej.

Opierając się plecami o betonowy mur i chcąc być jak najdalej od nieprzytomnego mężczyzny, pomału, noga za nogą, cofała się ku rozpadlinie. Gdy znalazła się ponownie w niskiej izbie, coś – będąc bardzo blisko niej – gwałtownie huknęło. Nie miała wątpliwości, że był to wystrzał, podejrzewała, że ktoś zwabiał ją przez ten cały czas, aby ją zabić. W tym momencie nie myślała, chciała po prostu natychmiast uciec z pola widzenia mordercy. Musiała przeżyć, bo tylko ona jeszcze wierzyła, że oprawca jej dziecka zostanie ukarany.

Dostrzegła w oddali jasny punkcik, który robił się coraz większy i wyraźniejszy. Biegła, ile sił w nogach, w jego kierunku. Światło dostawało się z zewnątrz dzięki odsuniętej klapie służącej za wejście do bunkra. Kiedy od blaszanego wjazdu dzieliło ją już tylko parę kroków, światło znikło, a ona znów stała pośrodku niczego, w samym wnętrzu czarnej jamy. Poziom strachu i ogarniającej paniki sięgał zenitu. Nie kontrolowała już ani swojego postępowania, ani swoich odruchów, które stały się automatyczne i instynktowne. Dobiegła do klapy, próbując ją odsunąć. Nigdy nie stawiała oporu i zawsze z łatwością mogła odstawić ją na bok. Tym razem było inaczej – coś ją klinowało. Nie wiedziała, czy blokada znajdowała się od wewnętrznej, czy od zewnętrznej strony wjazdu i czy ktoś, kto ją założył, stał obok niej, czy była tu całkiem sama. Krzyczała, piszczła, uderzała w blaszaną pokrywę. W pewnym momencie zabrakło jej sił i kiedy myślała, że utknęła w bunkrze bez możliwości wydostania się, wjazd odsunął się, a przed nią pojawiły się twarze dwóch

miejscowych policjantów.

- Pani Wandziu... - zaczął pierwszy, podając kobiecie rękę.
- Nie jestem zdziwiony, że panią tu widzę... Dobrze się pani czuje? - zapytał, widząc przerażoną twarz obłąkanej Wandy. Spojrzał z niepokojem na kolegę.

- Panie Marku, musi mi pan uwierzyć... - Mówiła szybko, ale co chwila musiała robić przerwy, by złapać powietrze. Starszy policjant przytrzymał kobietę za ramię i uważnie jej słuchał. - W bunkrze leży martwy człowiek. Mężczyzna, nic nie zrobiłam, przepraszam, ja... Oni mnie gonili, później strzelali, nic nie zdążyłam zrobić, bałam się, bardzo się bałam... - mówiła.

Jej wypowiedź była bardzo chaotyczna, ale policjant wyłapał najważniejsze informacje.

- Pani Wandziu, nic się nie dzieje. Już jest pani bezpieczna... ciałem się zajmiemy, a teraz niech pani tu usiądzie - powiedział, wskazując kobiecie ławkę.

Gdy obłąkana Wanda odeszła, podszedł do młodszego kolegi i szepnął:

- Jest w szoku. Zadzwoń na pogotowie. Odszukiwaniem ciała mężczyzny zajmiemy się za chwilę.

- Stary, ty chyba żartujesz?! - będę łaził po podziemiach, bo jakaś wariatka o trupie mi tu opowiedziała - powiedział młody, gdy szli do samochodu po opatrunki.

- To tylko pozory, trochę nad sobą nie panuje, ale nie jest wariatką. Wie, co mówi, a ty tu jesteś praktykantem, więc rób to, o co cię proszę. Jak ją zabiorą, wchodzimy do środka.

Młodszy policjant zadzwonił po karetkę. Starszy opatrzył

kobiecie krwawiącą nogę.

- Nawet nie czułam bólu. Marek, wiesz, że ja... - zaczęła.
- Nie zawracałabym ci głowy bez powodu.
- Wiem, Wandziu, wiem - uspokajał ją policjant.
- Wpadłam na tego trupa, przewróciłam się, a później ktoś mnie gonił, i ten strzał... - powtarzała w kółko do momentu przyjazdu szpitalnego samochodu. Tym razem nie protestowała, wsiadła bez słowa z ratownikami do karetki pogotowia.

*

- Jest prawie północ...
 - No właśnie, jest już noc, a mieszkańcy zgłaszali, że słyszą z bunkra jakieś odgłosy. Trzeba to sprawdzić.
 - Panie komisarzu - zaczął młody - naprawdę będziemy szukać tego faceta?
 - Przejdziemy kawałek, żebym miał czyste sumienie, ale nie zamierzam urządzać sobie tu teraz pielgrzymek po schronie, bo obaj wiemy, jak jest... Tym bardziej, że moja noga dzisiaj rwie mnie niemiłosiernie.
- Policjanci weszli do środka. Panowała cisza. Nie było słyszeć żadnych kroków, strzałów, stuków i innych tajemniczych odgłosów.
- Ciemno tu jak w... - rzucił młody, nie kończąc.
 - Ostatni raz byłem tu dwadzieścia lat temu - przyznał komendant, masując obolałą nogę na wysokości kolana.
 - Naprawdę? Pracował pan przy tamtej sprawie? - dopytywał.

- A który z nas nie pracował. Syn naszej koleżanki zmarł. Każdy chciał pomóc, robił wszystko, żeby odszukać mordercę dzieciaka.

- Koleżanki? Pani Wanda była policjantką? - zdziwił się młody.

- Tak... była... Ale później już nigdy nie wróciła do pracy. Była szanowaną policjantką, twardą... Gdyby pracowała w większym mieście, na pewno rozwinęłaby skrzydła. Tu mieliśmy do czynienia ze złodziejaskami, pijaczkami i z nastoletnimi łobuzami. Raz trafiła się poważna sprawa i niestety do tej pory nie została zamknięta. Po pogrzebie Kacpra zaczęła się kręcić po tych bunkrach. Długo chodziła po schronie, szukając czegokolwiek. Straciła rachubę czasu. Potrafiła nie wychodzić na zewnątrz trzy dni, sprawdzając niemal każdy zakamarek. Myślała, że przegapiliśmy jakiś ślad, a my naprawdę skrupulatnie zajęliśmy się śledztwem. Poprosiliśmy profesjonalistów o pomoc, ale oni - podobnie jak my - niczego nie znaleźli. Dziwna sprawa...

Młody słuchał z zainteresowaniem opowieści komendanta. Nie miał pojęcia, że kobieta, którą od dziecka uważał za niezrównoważoną psychicznie, jest jednocześnie była policjantką.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś zobaczę takie drzwi - powiedział nagle starszy policjant, przyglądając się małym zielonym drzwiczkom umieszczonych w półkolistej framudze. - Brak klucza w zamku oznacza, że ktoś nie chciał, aby je otworzono - dodał i odszedł.

Szli głównym korytarzem, oświetlając drogę latarkami.

Nie czuli strachu.

- Panie Marku - zaczął młody - dlaczego ta pani Wanda, będąc policjantką, nie zrobiła wszystkiego, aby od razu zawiadomić policję? Przecież w takich przypadkach czas odgrywa kluczową rolę...

- Bo w tym momencie nie była policjantką, a zrozpaczoną matką - odpowiedział.

Funkcjonariusze przeszli przez pomieszczenie z niskim sufitem, precyzyjnie przeszli nawet przez lukę między dwiema ścianami, ale tunel był pusty. W miejscu, w którym Wanda przewróciła się o ciało mężczyzny, nikt teraz nie leżał, ale na piaszczystym podłożu dostrzegli ślady krwi.

- Za ciemno tu. Zgarnij po prostu tę krew do analizy. Pani Wanda miała zranioną nogę i chyba coś po sobie zostawiła, ale upewnijmy się.

Niedługo potem obaj funkcjonariusze wyszli na zewnątrz w przeświadczeniu, że kobieta miała przywidzenia.

ROZDZIAŁ VI

Tym razem dzień rozpoczął się dla policji nietypowo. W takim małym miasteczku rzadko zdarzają się tak poważne zgłoszenia. Ojciec Olgi Kwiatkowskiej stał przed komisariatem, chcąc zawiadomić o zaginięciu córki. Nie pierwszy raz był w takiej sprawie na policji. Siedem lat temu, niebawem po tym jak na świat przyszedł Mikołaj – żona bez słowa wyszła z domu. Mężczyzna był wtedy bardzo zaniepokojony, bo żona bardzo ciężko zniosła wiadomość o niepełnosprawności syna. Słyszał o przypadkach, kiedy stan psychiczny matek zaraz po porodzie bywa fatalny, czasami dochodzi nawet do samobójstw. Nie zwlekał z zawiadomieniem policji. Poszukiwania trwały niespełna dwa dni. Okazało się, że matka Olgi i Mikołaja opuściła ich, zostawiając dzieci pod opieką ojca. Sama natomiast wyjechała do Niemiec, gdzie mieszkał mężczyzna, z którym od ponad roku miała romans. Kiedy pan Kwiatkowski dowiedział się o zdradzie żony, wyjechał z dziećmi do swojej matki, która mieszkała tutaj – w małej miejscowości położonej w południowo-wschodniej części Polski. Nie wiadomo było, czy Mikołaj jest jego biologicznym synem, ale pan Kwiatkowski

nigdy nie zamierzał robić testów, które mogłyby to potwierdzić.

Stojąc przed niewielkim budynkiem, w którym mieścił się komisariat policji, był pełen obaw i złych przeczuć.

- Panie Kwiatkowski, proszę usiąść, muszę zadać kilka pytań - zaczął komendant.

- Proszę podać pełne dane personalne osoby zaginionej...

- Olga Kwiatkowska, urodzona dnia 25 maja 1993 roku - odpowiedział ojciec.

- Czy ma pan aktualne zdjęcie córki?

Ojciec Olgi wyjął z portfela fotografię Olgi i podał ją pracownikowi przyjmującemu zgłoszenie.

- Proszę opisać wygląd zewnętrzny córki z uwzględnieniem znaków szczególnych - prosił policjant i natychmiast nachylił się nad kartką papieru, zapisując oświadczenie ojca dziewczynki:

- Ma sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, czarne włosy, ostatnio farbowała pasemko grzywki na bordowo... szczupła, zawsze mocno pomalowana, oczy niebieskie, miała czternaście kolczyków na twarzy, w tym jeden w języku, i tatuaż w kształcie pająka na prawej skroni.

Na ostatnie informacje policjant podniósł wzrok znad protokołu i spojrzał na ojca dziewczynki.

- Olga sprawia kłopoty - wyznał pan Kwiatkowski.

- Wiem, znamy tu Olgę. Przyjmowaliśmy zgłoszenia od mieszkańców - przyznał policjant.

Komendant przypomniał sobie, że pewnego dnia odebrał telefon od dyrektora szkoły, do której chodziła Olga.

Oskarżono ją wtedy o próbę zatrucia nauczyciela matematyki.

- Chcę, żeby pan wiedział, że takie dziewczyny jak Olga łatwo wpadają w tarapaty... Jest za wcześnie, żeby osądzać, ale niestety powinniśmy wziąć i taką możliwość pod uwagę - wyjaśniał funkcjonariusz. - Proszę opisać cechy ubioru, uwzględnić znaki firmowe - oświadczył, zmieniając sposób mówienia na urzędowy.

- Miała na sobie czarne glany z metalowymi spinaczami przyczepionymi wzdłuż suwaka, czarne dżinsy porwane z przedniej strony ud, koszulkę z wizerunkiem zespołu *The Prodigy*, mnóstwo wisiorków, bransolet, rzemyków. Wiem, że na szyi, na czerwonym rzemyku, miała zawieszoną srebrną czaszkę. Paznokcie malowała czarnym lakierem.

- Jakies przedmioty typu torba, parasolka, czapka, plecak, komórka...

- Zawsze nosiła torbę w kształcie worka; sama sobie ją z czegoś przerobiła. Na niej też miała wyszytą białą czaszkę, a oprócz tego różnokolorowe napisy, cytaty z tekstów piosenek, podpisy znajomych... Komórkę też zabrała, ale ma wyłączoną.

- To nic, wezmę od pana numer telefonu córki, będziemy ją namierzać. Proszę dokładnie opisać okoliczności, może miejsca, które odwiedzała.

- Wyszła z domu o jedenastej trzydzieści. Wiem, że była umówiona ze znajomymi nad zalewem, ale już się tam nie pojawiła.

- Z jakimi znajomymi? - przerwał policjant. - Imię i nazwisko proszę podać...

- Z Moniką Krużel, Mają Domagałą, Mateuszem Frąkiem i Karolem Bieniem.

- Czyli zaginięcie nastąpiło przed południem. A miejsca, które odwiedzała?

- Olga kręciła się po całym miasteczku. Często bywała nad zalewem, na boisku szkolnym, nad rzeką.

- Chodziła nad rzekę? Wie pan, że teraz przybrało po tych deszczach i nad rzeką jest wyjątkowo niebezpiecznie? - ciągnął w taki sposób, jakby ojciec Olgi nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

- Wiem, panie władzo. Znam swoją córkę i wiem, że w różnych miejscach przebywa, nie zważając na konsekwencje.

- A bunkier? - pytał policjant.

- Bunkier? Możliwe. Dzieciaki ukrywają się tam z papierosami.

- Tej nocy słyhać było z bunkra jakieś odgłosy i pani Wanda zgłaszała jakiś problem... ale zeszło tam dwóch policjantów i nic niepokojącego nie zauważyli. Co prawda były ślady krwi, ale kobieta miała zranioną nogę, więc nie podejrzewam... wie pan - uspakajał funkcjonariusz, sugerując, że ta krew nie należy do Olgi, a do pani Wandy. - Wyniki będziemy mieli jeszcze dzisiaj. Przeszukiwania bunkra to byłby koszmar, więc miejmy nadzieję, że nie zgubiła się w podziemiach - dodał. - Jakieś nałogi, problemy z alkoholem, narkotykami, próby samobójcze...?

- Papierosy zaczęła palić już w podstawówce i chyba nie zamierza rzucać... Żadnej próby samobójczej.

- Czy córka miała problemy ze zdrowiem, brała leki, cierpiała na jakieś dolegliwości?

- Żadnych.

- Czy zdarzały się jakieś kłótnie? - pytał funkcjonariusz.

- Nie obyło się dnia bez kłótni - przyznał szczerze ojciec dziewczyny. - Obwinia mnie o wszystko: o brak matki, o upośledzenie Mikołaja, o złe warunki mieszkalne...

- To jest jej komputer? - zapytał policjant, wskazując palcem na trzymany przed ojca dziewczynki sprzęt.

Mężczyzna kiwnął potwierdzająco głową, a policjant sięgnął po laptopa.

- Bardzo dobrze, że pan pomyślał, żeby nam go przekazać. Nasi informatycy się nim zajmą.

Czy zauważył Pan, żeby brakowało w domu jakichś dokumentów, pieniędzy?

- Dokumenty, portfel i komórkę zawsze nosiła przy sobie. Ja pieniędzy w domu nie trzymam, ciężko mi powiedzieć, czy Olga miała jakieś swoje oszczędności. Przyznam się, że już dawno zrezygnowałem z kieszonkowego i po prostu jak mnie prosiła o pieniądze, to je dostawała. Nie były to nigdy duże sumy... ale nie kontrolowałem jej wydatków.

- Proszę zapisać tu, na tej kartce, numer telefonu Olgi - powiedział policjant i wręczył ojcu dziewczynki długopis i kartkę papieru. - Jaką córka ma grupę krwi?

- BRh+.

- No więc, panie Kwiatkowski, zapewniam, że zrobimy wszystko, aby odnaleźć Olgę. Za chwilę zarejestrujemy ją w policyjnym systemie osób zaginionych, będziemy

utrzymywać z panem stały kontakt oraz udzielać wszelkich informacji o stanie i przebiegu poszukiwań. Zaraz rozpoczniemy penetrację terenu zalewu, okolicznych lasów, skałek, rzeki, na końcu sprawdzimy bunkier. Postaramy się namierzyć telefon i przeszukać laptopa. Niech pan pamięta, że co jest dzisiaj w sieci, to tam zostanie, więc Internet może nam tu wskazać kierunek poszukiwań. Proszę się nie martwić na zapas. Wielu młodych ludzi udaje się odnaleźć, zdarza się też, że sami wracają do domów. Gdyby chciał pan z kimś porozmawiać, tu jest numer i adres ośrodka, w którym rodzina otrzyma pomoc psychologiczną - dodał i wręczył ojcu zaginionej wizytówkę z danymi placówki, ucisnął dłoń, troskliwie poklepał po ramieniu i odprowadził do drzwi wyjściowych.

*

Przezesywanie terenu rozpoczęto w okolicach osiedla baraków i otaczających ich lasów. Policjanci wyznaczyli przeszukiwany obszar biało-niebieską taśmą. Na tym terenie znajdowały się głównie drzewa, krzewy i zarośla. W akcji uczestniczyło dwudziestu policjantów z miejskiej komendy policji, dwa wyszkolone psy policyjne oraz specjalna grupa funkcjonariuszy, mająca ustalić, czy nie nastąpiło naruszenie struktury ziemi. W tym celu wykorzystano georadar wykrywający zakopane zwłoki.

Za taśmami wyznaczającymi przeszukiwany obszar stał ojciec Olgi z Mikołajem, przyjaciele dziewczyny oraz tłum przypadkowych gapiów. Jeden z funkcjonariuszy miał za

zadanie przyjrzeć się wszystkim ludziom, którzy obserwowali pracę policji. Musiał ich sfotografować. Trzeba było bowiem wziąć pod uwagę, że jeżeli ktoś w jakikolwiek sposób jest zamieszany w zaginięcie Olgi, to może pojawić się albo w miejscu popełnienia przestępstwa, albo tu, gdzie pracowała policja, w celu zbadania jej działań.

Uwagę policjanta przykuła grupka młodych chłopców, którzy podczas śledztwa bardzo hałasowali, a ich zachowanie pozostawiało wiele do życzenia. Byli to ci sami chłopcy, którzy wyśmiewali się z obłąkanej kobiety, gdy ta oskarżała Paulinę o morderstwo jej dziecka.

- Ale by była heca, gdyby znaleźli w naszej okolicy truposza! - krzyczał pierwszy, nie przejmując się, że metr przed nim stał ojciec zaginionej.

Chłopiec miał rudą czuprynę i piegowaną twarz. Spod opadającej kręconej grzywki wyłaniały się małe, nieco wężowate oczy. Wąskie usta wykrzywiały mu się na kształt szyderczego uśmiechu, ujawniając poważne wady zgryzu i brak niektórych zębów. Ręce skrzyżował na piersiach. Stał wyprostowany, rozglądając się na boki, jakby czegoś szukał albo badał wzrokiem pobliski teren.

Znajdowała się tu dziwna plątanina wąskich ścieżek i przejść. Częste opady deszczu spowodowały, że z każdej strony otaczała ich gęsta, dzika zieleń. Przez niektóre gąszcze trudno było się precyzyjnie przemieszczać. Powietrze pachniało wilgotną ziemią. Z baraków dobiegały wrzaski biegających łobuzów.

- Ej, Rudy, a kogo w ogóle szukają? - pytał kolejny, kompletnie nieświadomy zaistniałej sytuacji.

- Ale ty jesteś imbecyl - śmiał się rudy chłopiec. - Stoisz tu od dwóch godzin i nawet nie wiesz, co się dzieje!

Jego nadzwyczaj wyrośnięty kolega wyglądał na głupiego. Dryblas stał pochylony, trzymał ręce w kieszeni i nerwowo mrugał zielonymi oczami. Wydawało się, że jego prawa żrenica odchyła się w sposób skośny i mimo tego, że Dryblas patrzył na Rudego, to odnosiło się wrażenie, że jednym okiem obserwuje komin pobliskiego baraku. Ubrany był w brudne, przetarte na kolanach dresy. W kącikach ust zbierała mu się ślina, którą co jakiś czas wypluwał, starając się bić rekordy w odległościach. Na szyję zarzucił sobie słuchawki, z których najprawdopodobniej wydobywała się jakaś muzyka, bo Drağal co jakiś czas wymachiwał jedną ręką, próbując poruszać się w jej takt.

- Wiem, że stoję, nie? Przecież nie bez powodu tu jesteśmy, nie? Coś się dzieje, nie? - jego wypowiedź pogrążała go jeszcze mocniej. Dryblas nie potrafił sklecić pojedynczego zdania, nie wtrącając partykuły „nie”, która nie występowała w tym wypadku jako przeczenie.

- Zaginęła Czarna - wyjaśnił mu Rudy, przeżuwając w buzi kawałek nadgryzionej bułki kajzerki.

- Co, czarna? W sensie: audica Wojtasa?

Stojący obok Wojtas, czyli średniego wzrostu blondyn, spojrział porozumiewawczo w stronę Rudego i puknął się w czoło na znak, że najwyższy z nich jest jednocześnie najgłupszym.

- Jaka, kurwa, audica Wojtasa?! - Rudy nie rozumiał, co Dryblas miał na myśli, zadając to pytanie.

- No fura Wojtasa, nie?
- Myślisz, że fury Wojtasa policja szuka w lesie? - dopytywał Rudy załamany brakiem inteligencji kolegi.
- No... nie wiem, nie?! Tak się pytam, żeby wiedzieć...
- To dla twojej wiadomości: mówiąc Czarna, miałem na myśli Olgę.
- A, Olgę, co ma ograniczonego brata?
- Dokładnie - potwierdził Rudy i uderzył Drągala w tył głowy.

Dryblas albo nie zarejestrował tego faktu, albo był przyzwyczajony, że za brak bystrości umysłu koledzy biją go po głowie.

Nie ulegało wątpliwości, że ci chłopcy, a już na pewno Drągala, nie mieli nic wspólnego z zaginięciem Olgi.

*

Jeden z psów policyjnych, wyszkolony do wyszukiwania zwłok owczarek niemiecki, zaczął prowadzić swojego opiekuna w stronę wystającego otoczonego zaroślami pagórka, na szczycie którego znajdował się niewielki skalniak. Policjant prowadzący psa dał sygnał przechodzącemu obok koledze, żeby razem z nim poszedł w miejsce wskazane przez zwierzę.

- Coś tam mamy! - krzyknął tamten, pokazując palcem kierunek.

Ze wszystkich stron zaczęli schodzić się funkcjonariusze. Obserwujący ludzie domyślili się, że pies trafił na jakiś trop. W tej samej chwili wyłonił się jakiś facet.

- Chyba ją znaleźli - zaczął. - Pewnie nie żyje - mówił, nie

potrafiąc ukryć jakiegoś dziwnego niezdrowego podekscytowania. – Pewnie wracała tędy sama nocą i ktoś ją dopadł. – Mężczyzna tworzył na bieżąco przebieg wydarzeń. Ktoś mógłby pomyśleć, że był ich świadkiem. Facet bez skrępowania ciągnął swoją historię: – Okaże się, że leży tam goła z podciętym gardłem. Mało to u nas zwyrodnialców? Młoda dziewczyna, to być może ją zgwałcili.

Jego domysły były drażniące, ale nikt nie zwrócił mu uwagi, nie powiedział: „Weź stary, zamknij się, bo za tobą stoi ojciec tej dziewczyny i może nie chce tego słuchać”. Nie podejmowali tematu, nie komentowali, a może uznali, że to, co mówi ten przypadkowy gość, jest prawdą.

Ojciec Olgi przykucnął, chowając twarz w dłoniach. Zamknął oczy. Odkąd usłyszał głos policjanta krzyczącego „Chyba coś tam mamy!”, nie docierało do niego już nic więcej. Ani słowa gadającego za nim faceta, ani cudze szepty, ani odgłosy krzątania. Był blady jak płótno i śmiertelnie przerażony. Tylko on wiedział w tej chwili, jakie uczucia towarzyszą ojcu, którego dziecko zaginęło, a może nawet umarło.

Przyjaciele Olgi przestali rozmawiać, Majka złożyła ręce jak do modlitwy, Karol objął ramieniem Monikę, a Mateusz odwrócił się, aby nie patrzeć na to, co za chwilę mogło się wydarzyć. Bliskim Olgi wydawało się, że czas stanął w miejscu.

Z reakcji i rozmów policjantów trudno było wywnioskować, co właściwie zobaczyli na skalniaku. Coraz więcej funkcjonariuszy skupiało się wokół jednego miejsca.

Z daleka docierały jakieś okrzyki, później dał się słyszeć czyjś szept. Krzewy uginały się pod ciężarem chodzących ludzi i psów.

- Kto robi takie rzeczy?! Co za bestialstwo! - powiedział funkcjonariusz, który wychylił się z za zwierzęcia i jako pierwszy zobaczył, co zwęszył pies. Oparł dłonie na biodrach i przesuwając dłońmi po ustach, jakby zastanawiał się, co powiedzieć, albo nie wiedział, jak powinien zareagować. - Komendancie, co pan o tym myśli? - pytał, z niedowierzania marszcząc czoło.

- Podejrzewam sektę... albo... - Nie udało mu się dokończyć, bo praktykant, aż palił się, aby zadać kolejne pytanie.

- Przyjmowaliśmy jakieś zgłoszenia ostatnio?

- O działaniach sekty? Ostatnio nie, ale grupa wyznawców określonej ideologii pojawia się co pewien czas; moda - wyjaśniał komendant. - Dowiadujemy się o jej istnieniu, kiedy znajdziemy właśnie coś takiego jak dzisiaj. Wcześniej nie dostaniesz sygnałów. Ci ludzie się ukrywają, dopiero gdy grupa się wzmocni, manifestują światu swoje poglądy pod różnymi postaciami.

- Komendancie, to jest jakaś makabra! - wzdrygał się młody. Nie był jeszcze przyzwyczajony do widoków, do których większość przyzwyczaja się w pierwszym roku swojej pracy.

- Nierzadko grupa działająca wśród młodych ludzi bazuje właśnie na okrucieństwie, bo z założenia sekta prowadzi tak zwaną wojnę ze światem - tłumaczył funkcjonariusz, skupiając na sobie uwagę pozostałych policjantów. - Odrzuca zasady

moralne, gwałtownie zmienia wyznawane przez daną osobę wartości. Jej członkowie to osoby przeżywające wewnętrzny bunt, dlatego łatwo do danego światopoglądu przekonać młodzież... Sekta wytwarza się dzięki osobie o silnej charyzmie, przywódcy, dlatego aby na danym terenie powstała sekta, musi znaleźć się jej założyciel.

- A o jakich wyznaniach i jakiej ideologii może być mowa w tym przypadku? - zapytał młody policjant, patrząc na zmasakrowane ciało czarnego kota, który leżał w kałuży własnej krwi. Zwierzę miało ucięty ogon i tylne łapy, wydłubane oczy, a z pyszczka wystawał mu niedopalony papieros. Ten widok mroził krew w żyłach, bo ból, który zniósł zwierzak, musiał być niewiarygodnie dotkliwy.

- Nie wiem, ale w średniowiecznej Europie uważano, że kot jest siedliskiem diabła. Torturowano go i zabijano, bo wierzono, że w ten sposób unicestwiono szatana. Czasami koty palono, jak czarownice, bo uznawano je za przyjaciół wiedźmy. Gdyby przyjrzeć się symbolice kota, to trzeba przyznać, że wiązano z nim fałsz, zło, czarną magię, śmierć, niekorzystną wróżbę - tłumaczył komendant i przechylił się na bok, aby wymasować kolano, które od pięciu lat utrudniało mu poruszanie się, a ostatnio bywało tak obolałe, że komendant myślał o sprawieniu sobie podpórki.

Słowa funkcjonariusza brzmiały złowieszczo, ale nikt nie uwierzył, że w tym durnym mieście mogłaby powstać sekta. „Przecież te gnoje nie mają pojęcia o symbolice kota ” - pomyślał młody policjant. Sekta kojarzyła mu się z jakimś opętaniem, religijnym rytuałem, świecami i dziwnym gościem,

który przekraja zwierzę i wyciska z niego krew do jakiegoś kielicha. Nie chciało mu się wierzyć, że gdzieś w pobliżu znajduje się miejsce, w którym sprawowane są takie chore obrzędy.

Młody podziwiał jednak komendanta za niewiarygodną wiedzę i dociekliwość. Musiał przyznać, że starszy kolega potrafił zaskakiwać.

- Skąd pan to tym wszystkim wie?

- Bo w ciągu tylu lat służby takie widoki już mi się zdarzały. Za pierwszym razem można szukać informacji w bibliotekach, ale za którymś razem - po prostu już wiemy... To powiem wam też, jak najczęściej te sprawy się kończyły - mówił starszy policjant. - Najczęściej w pobliżu nie działała żadna zorganizowana sekta, tylko banda gówniarzy chcąca się bestialsko zabawić. Robili to dla frajdy, aby się popisać jeden przed drugim. Wyjmowali scyzoryk i kroili koty na części, ciesząc się, że zwierzak się szarpie albo biegnie bez przedniej i tylnej łapy. Taki widok to dla tych łobuzów spod trzepaka najciekawsza chwila, a dla pomysłodawcy - moment chwały. - Zadzwoń do służb, żeby sprzątnęli... kocura, bo widzę, że zapomnieli go jeszcze wykastrować - powiedział do stojącego obok praktykanta i odszedł.

Policjant dotknął taśmy i pochylił się nad kucającym ojcem zaginionej Olgi.

- Niczego, co miałyby związek z córką, nie znaleźliśmy - oświadczył. - To dobry znak, naprawdę.

Ojciec dziewczyny natychmiast się wyprostował, odsłaniając trupioblada twarz. Nie był w stanie wydusić słowa,

jedynie odetchnął z ulgą, wypuszczając z płuc długo przetrzymywane powietrze. Dopiero teraz poczuł ucisk w piersiach i gardle. Zwilżył zaschnięte wargi i przełknął ślinę. Gdy najgorsze przewidywania okazały się nieprawdziwe, odrętwienie ustąpiło. Złe wiadomości nie dotyczyły jego córki. Rozluźnił dłoń, którą przez ten cały czas obejmował Mikołaja. Wziął syna na ręce i dopiero po chwili zdołał zadać policjantowi pytanie:

- A ta krew, którą znaleźliście w bunkrze? Wiadomo, jaka grupa? Olga ma...

- Wiem, BRh+ - przerwał funkcjonariusz. - A ta krew z bunkra okazała się sokiem.

Pan Kwiatkowski na tę informację przykucnął. Wszystkie złe poszlaki znikły, ale najgorsze wciąż pozostawało niewiadomą i każdy zadawał sobie pytanie „Gdzie jest dziewczyna?”.

Im dłużej trwały poszukiwania Olgi, tym większy zyskiwały rozgłos - również medialny. Na miejscu pojawiła się grupa dziennikarzy, chcąc zrobić krótki materiał do lokalnej telewizji. Kamerzysta rejestrował działania policji oraz starał się uchwycić, możliwie jak najdokładniej, miejsce prowadzonego śledztwa. Komendant udzielał reporterce wstępnych informacji. W chwili kręcenia wywiadu operator zwrócił uwagę, że w tle pojawiła się postać dziewczyny przyglądającej się grupce hałasujących chłopców. Była nią Paulina, stojąca nieopodal czterech drewnianych kotów, których łby poruszają się zgodnie z kierunkiem wiatru. W chwili, gdy kamerzysta dojrzał dziewczynę, ona również

odwróciła twarz w kierunku obiektywu, ale gwałtownie się cofnęła, jakby obawiała się, że została sfilmowana.

Tymczasem Majka i Monika oddaliły się od miejsca poszukiwań i poszły nad zalew.

- Nie mogę tam stać. Zdałam sobie sprawę, że gdyby to Olgę odnaleźli, a nie zmasakrowanego kota, to wcale nie chciałabym na nią wtedy patrzeć. Nawet w czarnym worku. A już, nie daj Boże, gdyby jej nie zdążyli schować. W ogóle nie chcę nawet myśleć, że ona leży gdzieś martwa - powiedziała Monika.

- Przeczytałam ostatnio w Internecie, że rocznie policja odnotowuje ponad pięć tysięcy zaginięć osób w wieku czternaście-siedemnaście. W porównaniu z dziećmi i osobami dorosłymi, ludzie w naszym wieku znikają najczęściej. - Monika przywoływała przerażające dane statystyczne, choć nie przypuszczała, żeby Olga miała dołączyć do tych wszystkich młodych ludzi, których mimo poszukiwań nigdy nie udało się odszukać.

„Przecież ludzie tak po prostu nie znikają ” - myślała, ale za chwilę powiedziała głośno:

- Ludzie sami może i nie zapadają się pod ziemię, ale zawsze może im w tym ktoś pomóc.

- Oj, przestań! Uważasz, że ktoś na tym zadupiu mógłby kogoś zamordować?! - pytała Majka, nie dowierzając jej słowom, jakby pragnęła usłyszeć, że to miasteczko może i jest brzydkie, ale ludzie są tu normalni.

- A znajdź mi miejsce na świecie, gdzie ludzie się nie mordują - odpowiedziała Monika. - Nie ma takiego, bo utopia

nie istnieje, a popaprańcy i owszem – dodała.

Dziewczyny stanęły na pomoście. Rozejrzały się wokół siebie. Nad zalewem nie było żywej duszy. Choć pogoda sprzyjała opalaniu, to większość młodych ludzi stała wokół taśmy policyjnej i obserwowała postępy w śledztwie.

Powierzchnia wody drgała jedynie pod wpływem delikatnego wietrzyku. Dziewczyny usiadły na końcu pomostu i zanurzyły w wodzie nogi do połowy łydki. Siedziały obok siebie, ale już od pięciu minut nie prowadziły rozmowy, tylko ruszały stopami w zimnym jeziorze.

- Monika, coś mi się zaplątało w nogę, coś obrzydliwego jest pod wodą! Weź to, błagam! - krzyczała Majka.

- To wyciągnij nogę!

- Nie, boję się.

- Głupia jesteś! Myślisz, że to Olga!? Nie strasz mnie! Wyciągaj girę! - wrzeszczała zdenerwowana Monika.

- A jak zaplątałam się w jej włosy? Tak czuję, jakby coś cienkiego...

- Patrz lepiej tam, obok koła ratownika coś unosi się na powierzchni - przerwała Monika, a słysząc to, Majka gwałtownie wyjęła obie nogi z wody. Niemal się przewróciła, gdy jak najszybciej, bez zastanowienia chciała stanąć z powrotem na pomoście. - Wiedziałam, że tak zareagujesz. Wyciągnij sobie glona z paluchów!

- Bardzo śmieszne! A jakby to naprawdę były włosy Olgi?

- Ja wiem, że w takich chwilach wyobraźnia płata figle, ale nie przeginaj - odpowiedziała Monika i było w tych słowach sporo racji.

Majka tak mocno pragnęła dowiedzieć się, jaki los spotkał jej koleżankę, że widziała ją wszędzie – nawet czuła ją zaplątaną we własne stopy.

- Ale tam naprawdę coś unosi się na powierzchni... – zauważyła Majka.

- Wiem i jeżeli ma ci ulżyć, to podaj mi badył; wyciągnę to, co okaże się pewnie połamanymi gałęziami albo jakimiś wodnymi odpadami.

- Nie, nie trzeba – wolę żyć w niepewności. Niech nurkowie zajmą się przeszukiwaniem jeziora – odpowiedziała Maja i włożyła mokrą jeszcze nogę w trampek.

Wizja Majki była straszna, bo oczami wyobraźni widziała wędkarza, który łapie w sieć coś ciężkiego, coś, co później okazuje się dłonią, stopą albo inną częścią ciała Olgi. W filmach zwłoki porzucane są w jeziorze, by któregoś dnia wypłynąć na jego brzegi. Teraz, gdy spoglądała na mętłą wodę, Majce przychodziły do głowy podobne scenariusze.

*

Wracając znad zalewu, przechodziły obok skałek. Zmierzały w stronę przejścia kolejowego i baraków. Perspektywa spotkania wariatów, pijaków i ich dzieci, które można byłoby pomylić z małymi potworami, nikomu by się nie podobała. Była to chyba najbardziej znienawidzona przez dziewczęta trasa ze wszystkich możliwych w tym mieście.

- Nie lubię tędy przechodzić – powiedziała Majka, potykając się o leżące na żużlu gałęzie.

Idąc obok skałek, przypomniawszy sobie, że kiedyś po

większej ulewie spadła z tego stromego kamienistego zbocza i patrząc w niebo, zastanawiała się, czy będzie jeszcze mogła chodzić. Długo leżała, bojąc się poruszyć. Odwlekała chwilę, która mogłaby okazać się końcem jej świata. Widok tych śliskich kamieni przywoływał złe wspomnienia, więc gwałtownie zwolniła kroku.

Silny zapach bujnej roślinności, porastającej pobocza torów i ścieżki, nie był w stanie zabić odrażającej woni dzikich wysypisk. Dziewczyny zapomniały o nieprzyjemnym zapachu, gdy usłyszały docierające z daleka śmiechy i krzyki znanych im tutejszych trzech chłopaków. Przystanęły, zastanawiając się, czy powinny obok nich przechodzić. Wiedziały, że nie obejdzie się bez zaczepek. Nigdy się jeszcze nie obeszło. Zawsze ogarniała je złość, a może nawet wściekłość, bo żadna młoda dziewczyna nie mogła ich minąć tak po prostu, niezauważona. Zawsze znalazł się choć jeden, który próbował ją obrazić, rzucając pod jej adresem najobrzydliwsze obelgi.

- Wymiotować mi się chce, jak na nich patrzę - powiedziała Monika, chowając się za wysokimi krzewami.

- Ej, lalunie! - krzyknął jeden z nich. Drugi zawtórował mu gwizdnięciem.

Tym pierwszym był Rudy, ten sam chłopak, który hałasował ze swoimi kumplami podczas śledztwa. Drugim okazał się blondas o dziwacznej zaokrąglonej twarzy - nieco dziewczęcej, ale niepokojąco nieprzystępnej. Wszystko przez bladoniebieskie oczy, które zionęły oziębłością, jakby mówiły „Ludzie to gnidy”.

- Ale dziunie! - dodał Rudy, wydobywając z siebie dźwięk

pustego śmiechu.

Dziewczyny nie reagowały, ale nie dlatego, że nie usłyszały - ich uwagę przykuł trzeci z chłopaków, najwyższy, który ustawiał na szynach kamienie.

- Co on robi? - zastanawiały się, gdy nagle usłyszały za swoimi plecami staruszka na wózku, który jadąc, wyteżał wzrok, by zobaczyć to samo, co one.

- Zwariowaliście?! Takie sobie zabawy urządzacie?! Chcecie kogoś zabić?! - krzyknął Pan na Wózku.

Chłopaki ustawiali na szynach ogromne kamienie, licząc na to, że przejeżdżający pociąg nie poradzi sobie z przeszkodą i dojdzie do wykolejenia. Na domiar złego pomyśleli, że jak ustawią rząd takich kamieni, to będzie większe prawdopodobieństwo katastrofy.

- Wyluzuj, starcze, to tylko taki sprawdzian wytrzymałościowy - rzucił Rudy, chichocząc.

- To takie żarty tylko, no nie? - dodał Drągał.

- A jak doprowadzicie do wypadku, to też będą to żarty? - dopytywał staruszek.

- Wtedy to nie będzie zwykły byle jaki kawał, tylko prawdziwy dowcip zasługujący na medal w kategorii „Pociąg roku ” - odpowiedział za Drągała Rudy, patrząc na resztę i czekając na uznanie z ich strony.

Koledzy nie zwlekali z wybuchem śmiechu. Dryblas cieszył się najgłośniej.

- Rudy mistrz, co nie?! - krzyknął Drągał, mrugając całym czasem oczami.

Żaden z nich nie odsunął się od torów. Oni z niczego nic

sobie nie robili. Stali z szeroko rozstawionymi nogami, trzymając się za krocza i spoglądając raz na staruszkę, raz na dziewczyny, szczerzyli krzywe zęby. Nie zdawali sobie sprawy, jak ohydne jest ich zachowanie. Albo o to nie dbali, albo jedynym celem ich życia było oznajmianie całemu miasteczku, że wszystko wokół jest gównem, a im należy bić pokłony za to, że żyją.

Dziewczyny spoglądały na staruszkę z nadzieją, że powie coś, co wpłynie na wandalów, co zmyje z ich twarzy te parszywe uśmiešky, ale za chwilę odkryły, że i jego ogarnęła całkowita bezradność. Powiał wiatr i prócz chichotów tej bandy, był to jedyny odgłos, jaki zdołały odróżnić, i on był teraz najprzyjemniejszy.

Pan na Wózku odjechał. Do dziewczyn dotarł jeszcze okrzyk: „Ej, laski, zrobicie nam laskę?”. Nie reagując, pognały za staruszką.

Zanim zdążyły otworzyć usta, staruszek zaczął żalić się pierwszy:

- Ostatni raz świadkiem takich zachowań byłem dwadzieścia lat temu. Dzieciak skończył tragicznie, więc nie powinno się o tym mówić, ale był jeszcze gorszy od nich.

- Co się stało? - dopytywała Majka, nie wiedząc, co Pan na Wózku miał na myśli.

- Ten Kacperek, co go w bunkrach znaleźli, syn wtedy miejscowej policjantki, wrzucił własnego psa do worka, położył zdobycz na środku torów i poczekał, aż pociąg go przetnie. Schował się tu, za to drzewo, i po fakcie turlał się pięć minut ze śmiechu wraz z bandą wyrostków i pokazywał paluchem na

zwłoki swojego pupila.

- O Boże! - krzyknęła z przerażenia Majka. - Myśli pan, że ci chłopcy chcą go naśladować?

- Nie. Myślę, że oni nawet nie znają tej historii, bo o tym teraz, zważając na to, że tamto dziecko umarło, ludzie nie mówią. Sądzę natomiast, że nadeszły czasy, kiedy rodzic ma ograniczone możliwości w wychowaniu dziecka, a ono za źródło wartości uznaje gry komputerowe, w których przechodzi się do kolejnego etapu, jeżeli zabije się odpowiednią liczbę ludzi. Krótko mówiąc: im więcej ofiar, tym lepiej. Wiem, że myślicie, iż jestem kolejnym staruchem mówiącym „Za moich czasów było inaczej”. Wcale nie, bo to za moich czasów ludzie doprowadzili do masowych mordów - mówił, przesuwając powoli dłońmi po kołach wózka. Nie patrzył na dziewczyny. Wydawało się, że gdyby ich tu nie było, mówiłby sam do siebie. Będąc świadkiem takiego zdarzenia, takich zachowań, człowiek powinien snuć refleksje, nawet jeżeli samo mówienie niczego nie zmieni. - Świat zawsze był pełen zła - tłumaczył dalej staruszek. - I w każdej epoce, i w każdym pokoleniu inną to zło postać przybiera, a największym jego nosicielem jest człowiek. Dostosowujemy się do czasów, w których żyjemy, one nas kształtują i prędzej czy później najpierw świat kopie nas w zadek, bo to, co człowiek uznawał za postęp, okazuje się błędem, a później wszyscy obracamy się przeciwko sobie i dostrzegamy, że jesteśmy dla siebie wrogami.

Dziewczyny słuchały staruszka i jego wizje brzmiały niezwykle pesymistycznie. I choć nie do końca rozumiały, co

Pan na Wózku uznawał za błąd, to wiedziały, że problem dotyczył ogólnie pojętego zła na świecie i przemocy człowieka wobec człowieka, przewagi silniejszego nad słabszym.

- Bo widzicie, to, co odróżnia nas od zwierząt, to między innymi posiadanie sumienia, umiejętność okazywania emocji i ich odróżniania, wysoce rozwinięty umysł, który pozwolił nam na stworzenie kultury i cywilizacji. Tylko wciąż nie potrafimy pozbyć się pierwiastków natury, która w nas dominuje. Mam na myśli walkę o przetrwanie, chęć podporządkowania sobie innych w stadzie, czyli nic innego, jak dążenie do władzy poprzez siłę. Jest w nas pewna dzikość i prymitywizm, których do dzisiaj człowiek się nie wyzbył. Dlatego wciąż jesteśmy bardziej zwierzęcy niż ludzcy.

Każda z dziewczyn na swój sposób rozumiała i interpretowała słowa staruszka. Jego wykład uświadamiał im, że żyją wśród ludzi, którzy dążą do utrzymywania norm, gdy tymczasem nimi samymi rządzi instynkt.

Gdy byli na wysokości boiska szkolnego, Majka nie mogła się powstrzymać i postanowiła zapytać staruszka o historię bunkrów.

- A wie pan, kiedy zostały wybudowane te bunkry?

- Jeszcze przed pierwszą wojną światową - odpowiedział staruszek. - Mają przeszło sto lat. Początkowo była to zwykła kopalnia węgla brunatnego. Później nasze miasto zaczęło słynąć z produkcji broni. Tysiące ludzi pracowało w tutejszych zakładach, gdzie wytwarzano amunicję. Częściowo produkcję przeniesiono do podziemi, które zaczęto rozbudowywać, a z czasem zakłady zamieniły się w podziemną fabrykę broni.

Nasza wytwórnia stała się znana niemal na całym świecie. To oczywiście miało swoje plusy, ale też minusy. Największe zagrożenie stanowił dla wszystkich, ale w szczególności dla naszego miasta, wybuch wojny. Każdy wiedział, że jeżeli dojdzie do wojny, nasze miasto będzie pierwszym, które zostanie zaatakowane i zbombardowane. Ówczesny kierownik zakładów nakazał przekazać część zysków na ochronę miasta i jego mieszkańców. Pojawił się projekt wybudowania drugiego, podziemnego miasta. Mieszkańcy mieli mieć dostęp do wody i prądu. Pomysł od razu znalazł swoich zwolenników, bo był tworzony z myślą o ludziach. Bardzo szybko i z wielkim entuzjazmem zaczęto go realizować, i robiono to aż do czasu, aż jego pomysłodawca i główny architekt nie popełnił samobójstwa. Długo potem pojawiały się domysły, że ktoś mu w tej śmierci pomógł. W każdym razie na pewnym etapie pracę zakończono, co nie znaczy, że to, co zostało do tej pory wybudowane, tak po prostu nie było wykorzystywane. Wybuchła druga wojna światowa i to, co miało być pierwotnie schronieniem, okazało się nielegalnym miejscem niewolniczej pracy. Zapędzono do roboty ludzi wykształconych, którzy latami pracowali przy produkcji amunicji: inżynierów, projektantów i elektryków. Wykorzystywano ich do wytwarzania pocisków, granatów i bomb. W obozie przyfabrycznym zginęło kilkadziesiąt tysięcy robotników, dokonywano masowych egzekucji – to był rok 1940. Bunkier nigdy nie posłużył nikomu za schron.

- Czyli bunkier jest miejscem zbrodni? - dopytywała Majka.

- A co ty myślałaś, że tylko jeden chłopak tam zmarł? - odpowiedział staruszek. - Te bunkry pamiętają śmierć tylu ludzi, ilu ty przez całe życie nie poznasz.

Dziewczyny z przerażeniem spojrzały na siebie, bo dopiero teraz zdały sobie sprawę, że chodziły po masowym grobie. Przypomniały im się wszystkie nietypowe sytuacje, które miały tam miejsce: tajemnicze śmiechy, stukanie, czarna przesuwająca się plama, hałasy dochodzące znikąd. Po wysłuchaniu opowieści staruszka obie stwierdziły, że bunkier jest po prostu nawiedzony.

ROZDZIAŁ VII

Mijało popołudnie. Zza konarów wysokich drzew przedostawały się słabe promienie słońca. Dzień zaczynał powoli dogasać. Ślad po Oldze zaginał. Choć żadne znaki na niebie nie zapowiadały burzy, a wręcz byłoby to w tej chwili ostatnie zjawisko, jakiego mieszkańcy mogliby się spodziewać, to otoczenie sprawiało wrażenie szykującego się na najgorszą nawałnicę. Ptaki uleciały, jakby przeczuwały, że powietrze zmienia swój skład i zapach. A przecież nic takiego nie miało miejsca. Lecz z pobliskiego śmietnika wyleciał kawałek wygniecionej szmaty i mimo braku wiatru szurał po asfalcie, jakby miał za zadanie ogłosić mieszkańcom miasteczka, że zbliża się jakiś kataklizm.

Mikołaj siedział na jednej z huśtawek niedaleko boiska szkolnego i uderzał swoim plastikowym zegarkiem o poręcz; co pewien czas przerywał czynność i nieporadnie obracał się we wszystkie strony, jakby miał nadzieję kogoś zobaczyć. Często pocierał piąstką oczy, próbował poprawić bucik, który zsuwał mu się regularnie, ilekroć machnął zbyt gwałtownie nóżką w powietrzu. Chłopiec miał przyrumienioną buzię i załzawione oczy. Kiedy liść utknął mu między jednym

a drugim paskiem od sandałów, Mikołaj przykucnął i nieskoordynowanymi ruchami, nieco nieudolnie, usiłował wyjąć listek. Choć była to prosta czynność, z którą inne dziecko poradziłoby sobie bez żadnych problemów, dla Mikołaja okazała się ona udręką i przykrością. Samo zejście z huśtawki wymagało od niego dużego skupienia i wysiłku.

- Cześć, Mikołaj. Co robisz? - usłyszał znajomy głos, ale nie od razu był w stanie się odwrócić. - Widzę, że utknął ci listek w buciku. Pomóc ci go wyjąć? - zapytała Paulina, kucając naprzeciwko niego.

Chłopiec pokręcił przecząco głową, zmarszczył brwi i zacisnął mocno usta.

- Naprawdę nie będzie to dla mnie problem i potrwa chwilkę - zapewniała.

- Ja sam, nie ty, ja sam - powtarzał, uderzając Paulinę w nadgarstki.

Dziewczyna odsunęła ręce, ale nie odeszła.

- Jak skończysz, możemy iść nad jezioro pokarmić kaczuszki, chcesz?

- Ja nie pójdę, bo tu muszę być - wydusił i unikając wzroku przyglądającej mu się Pauliny, w dalszym ciągu walczył z kawałkiem małego liścia. - Pies to - powiedział, wyciągając palec w kierunku leżącego w cieniu białego kudłatego zwierzęcia.

- Chciałbyś go pogłaskać? - zapytała. Chłopiec tym razem wyraźnie się ucieszył i ignorując pijącą go gałązkę podszedł do psa, który nadstawił mu łeb do głaskania.

Gdy ten wbijał paluszki w gęstą sierść zwierzęcia, Paulina

delikatnie usunęła chłopcu liść z sandałka.

- To może pójdziemy z pieskiem na spacer? - zaproponowała.

- Ja nie pój de, bo tu muszę być - oznajmił stanowczo i wrócił na huśtawkę.

Dziewczyna przywołała do siebie psa i razem z nim oddaliła się w stronę zalewu. Odwróciła się jeszcze ku Mikołajowi, aby upewnić się, że chłopiec pozostał na placu zabaw. Malec bujał się na huśtawce, ale gdy tylko Paulina zdążyła zniknąć za zakrętem, chłopiec wystawił swoją jedną wykrzywioną stopę, wbił bucik w piach i powoli zsuwał się z delikatnie poruszającego się jeszcze siedzenia.

W tym samym czasie usłyszał głośny odgłos ocierającego się o siebie betonu i czyjś donośny śmiech.

Na twarzy chłopca pojawiła się radość.

- Olha tu, Olha wróciła, tata, Olha do domu - mówił niewyraźnie i zaczął biec w stronę odsuniętego już wjazdu. Gdy dotarł do miejsca, w którym kończy się ziemia, a zamiast niej zaczyna się czarny wlot do innego, ciemnego świata, chłopiec zatrzymał się.

- Mikol aj do bunkra nie może, tata mówił, że nie wol no Mikol ajowi tam - powiedział, stojąc przed dołem.

Gdy powoli zmieniał kierunek, usłyszał głos dobiegający ze środka.

- Tu jest Olga.

Chłopiec podniósł z ziemi patyk, odszedł o krok dalej i zaczął kreślić na czarnym piachu koło. Następnie poprawił raz jeszcze linię, aby była wyraźniejsza, potem narysował

postać w środku koła, wrócił do odsuniętego włązu, usiadł na ziemi, spuścił do środka obie nóżki i skoczył, nie wiedząc, jak długo będzie zlatywał i co będzie stanowiło grunt. Z ciemnego lochu wydobył się szloch i łkanie, gdy dziecko zetknęło się z betonowym podłożem mrocznego bunkra.

Tymczasem ulicą Staffa przejechał policyjny radiowóz. Zatrzymał się przy jednej z ośmiu kamienic. Z samochodu wysiadło dwóch funkcjonariuszy. Panowie weszli do środka kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie ojca Olgi. W klatce panował chłód, a z piwnicy wydobywał się zapach wilgoci. Policjanci weszli krętymi schodami na pierwsze piętro i zapukali do pierwszych drzwi z lewej strony.

- Dzień dobry - powitał ich pan Kwiatkowski. Z jego twarzy można było wyczytać narastający niepokój. - Proszę, wejdźcie do środka. Jakież wiadomości?

- Tak, i szczerze mówiąc, mamy nadzieję, że pomoże nam pan w ustaleniu szczegółów - powiedział jeden z policjantów.

Ojciec wskazał panom dwa krzesła, a sam stanął naprzeciwko stołu i cierpliwie czekał na więcej informacji. Jeżeli policja trafiła na jakikolwiek ślad i prosiła o wsparcie, to znaczyło, że Olga żyje.

- Chcieliśmy ustalić, czy Olga kontaktowała się z kimś e-mailowo, ewentualnie przez inny internetowy portal społecznościowy i okazało się, że chyba mamy trop - poinformował starszy funkcjonariusz. Ojciec dziewczyny nie odrywał wzroku od rozmówcy. - Zamieściła na forum ogłoszenie z prośbą o podanie adresu tańszego hotelu, ewentualnie akademika w Gdańsku. - Pan Kwiatkowski

natychmiast złapał się za głowę i głęboko odetchnął. – W tej chwili dzwoniemy do wszystkich noclegowni i skontaktowaliśmy się już z tamtejszą policją. Wie pan, po co ona mogłaby chcieć wyjechać do Gdańska i dlaczego nikogo o tym nie poinformowała?

– Mieszkaliśmy kiedyś w Gdańsku. Olga myśli, że odnajdzie matkę. Mikołajek nie pamiętał mamy w ogóle, więc dużo łatwiej zniósł jej brak, tym bardziej, że nie jestem pewien, ile Mikołaj jest w stanie pojąć... Ale Olga... Olga była do niej bardzo przywiązana – tłumaczył policji ojciec. – Jak urodził się Mikołaj, córka miała prawie dziewięć lat. To nie było już dziecko i właściwie wszystko rozumiała. Najpierw długie miesiące żona przebywała w szpitalu. Cięża od początku była zagrożona. Pamiętam, że Olga już wtedy chciała spać z mamą na oddziale i wpadała w szał, jak brałem ją na ręce i wsadzałem siłą do samochodu. Potrafiła całą drogę do domu płakać i prosić, żebyśmy wrócili. A Sylwia, moja żona, potrzebowała spokoju. Lekarze, ze względu na stan innych pacjentek, nie pozwolili na nocowanie dziecka w szpitalu. Później, zbyt wcześnie, urodził się Mikołaj. Lekarze od razu zwrócili uwagę, że chłopiec ma objawy świadczące o niepełnosprawności ruchowej. Ponieważ wady zostały w miarę wcześnie wykryte, rehabilitację zaczęliśmy od razu. Żona z wykształcenia była pediatrą. Nie wiem, jakie inne objawy zauważyła, ale szybko nas opuściła, zostawiając mnie z chorobą syna i z dorastającą córką – samego. Dzięki rehabilitacji dużo udało się wyeliminować, ale niebawem okazało się, że Mikołaj ma autyzm. Długo uczył się mówić, do

tej pory nie potrafi wyrazić słowami wszystkiego, jest zamknięty i nieufny, ma trudności z rozpoznawaniem uczuć i ich okazywaniem – ciągnął ojciec Olgi. – Nie mówiłem dzieciom, dlaczego ich matka nas opuściła, ani że wyjechała za granicę... Nigdy nie zdobyłem się na szczerość.

Jednemu z policjantów zadzwonił telefon.

– Marek Gawroński, słucham. – powiedział po odebraniu służbowej komórki.

Rozmowa trwała niespełna minutę.

– Znaleźli ją. Jeszcze dzisiaj zostanie przetransportowana do domu.

Ojciec uścisnął policjantom dłoń. Za chwilę wyszedł przed kamienicę, aby zawołać syna do domu.

Na ławce, na której Mikołaj zazwyczaj rysował, chłopca nie było. Jego rower stał oparty o niziutki płotek oddzielający niewielkie ogródki działkowe sąsiadów. Ojciec wyszedł na ulicę Staffa. Objął wzrokiem całą jezdnię, ale nie zobaczył nigdzie Mikołaja, za to z naprzeciwka zbliżała się obłąkana kobieta, szurając butami o asfalt.

– Pani Wandziu, widziała pani Mikołaja? – zapytał, gdy dzieliła ich niewielka odległość.

Kobieta szła pochylona i nie rozglądała się po okolicy, jak zazwyczaj. Wydawało się, że jedynym jej widokiem są rozkruszone płyty chodnikowe. Obie ręce zwisały jej wzdłuż ciała, a obwisłe zszarzałe policzki poruszały się, ilekroć kobieta mamrotała pod nosem. Pan Kwiatkowski wzdrygnął się, gdy pani Wanda uniosła głowę, obrzucając go ponurym spojrzeniem, które porażało obłędem. Cała jej postać budziła

przerażenie i litość.

- Ich jest tam kilku, ona nie działa w pojedynkę - zaczęła, a jej charczący głos z trudem wydobywał się z udręczonego ciała. - Tu szykuje się coś nadzwyczajnego... tu dojdzie do tragedii - mówiła, ocierając dłońmi o poszarpane ubranie.

- Moja córka została odnaleziona - wtrącił, jak gdyby chciał ją pocieszyć.

- Już może się pan zacząć modlić - powiedziała, wlepiając z powrotem wzrok w chodnik.

Odchodząc, bełkotała i wymachiwała rękami. Wydawało się, że przez ostatnią dobę objawy szaleństwa nasiliły się, a to, co mówiła, nie miało sensu:

- Pod ziemią świat czernieje, mrok pochłania światło, źli ludzie urastają w siłę, mrok pochłania światło, źli ludzie... - powtarzała w kółko.

*

Upadek z dwóch metrów sprawił chłopcu ból. Mikołajowi ciekły po policzkach łzy. Odkąd był w środku, nie ruszył się z miejsca. Usiadł na zimnym betonie i kiwał się w przód i w tył. Gwałtownie machał rączkami, uderzał się w kolano, które krwawiło mu od momentu, gdy upadł. Niczego przed sobą nie widział. Wydawało się, że chce po coś sięgnąć, ale przed nim była tylko przestrzeń. Denerwował się i nie rozumiał, dlaczego nie dostrzega żadnych przedmiotów i żadnych postaci. Dręczył się, bo nie miał się czego chwycić. Myślał, że zobaczy Olgę, a tymczasem nie widział nawet własnej dłoni. Mikołaj nie stanął na obie nogi, bo nie mógłby

równocześnie czuć ziemi pod rękami, a to dawało mu w tej chwili poczucie bezpieczeństwa – chłopiec czuł pod sobą grunt. Potrzeba utrzymywania kontaktu dotykowego z czymkolwiek była tak ogromna, że dziecko nie zdawało sobie sprawy, że jego rana na kolanie coraz bardziej powiększa się i zabrudza. Zadrapanie powodowało, że drobinki piachu, a nawet rozkruszonego kamienia, dostawały się pod przetartą skórę. Mikołaj był jednak zbyt dezorientowany, aby wrócić, zbyt przestraszony, aby krzyknąć, zbyt niesamodzielnny, aby sobie poradzić, zbyt upośledzony, aby przewidywać, ale miał instynkt, dzięki któremu czuł zagrożenie.

Musiało minąć trochę czasu, żeby chłopiec przywykł do sytuacji, w której się znalazł, i żeby zaczął w jakikolwiek sposób reagować. Upośledzone dziecko też zna ból, wie, czym jest cierpienie i strach, często jest świadome swoich ograniczeń, dlatego wie, że aby przetrwać, potrzebuje czyjeś pomocy.

- Olha, Miko laj tu! Olha Miko laj tu! Olha Miko laj tu! Olha Miko laj tu! - powtarzał coraz głośniejsze i coraz częściej rozglądał się, czując niebezpieczeństwo. Nie rozumiał, dlaczego słyszy kroki, ale nikt do niego nie podchodzi, czuje czyjeś spojrzenia, ale nikt nie patrzy mu w oczy, wie, że ktoś go otacza, ale nikt go nie dotyka. - Olha, tata, Olha, tata - powtarzał, machając rączkami w powietrzu. Nie był świadomy, że właśnie się zmoczył i lży wciąż ciurkiem kapią mu na ubranie.

Chłopiec przesuwiał się centymetr po centymetrze, nie

wiedząc, że za chwilę straci kontakt z ziemią. Kiedy następnym razem wystawił rączkę do przodu, nie dotknął betonu. Mimo tego nie cofnął ręki i sięgnął nią głębiej, powodując, że pozycja ciała gwałtownie się zmieniła i chłopiec przechylał się w przód. Kiedy wyczuł, że zrobił błąd, było już za późno. W bunkrze rozległ się ryk. Słysząc było obijanie się ciała o mury. Następnie wrzask zamienił się postękiwanie, by za moment zapadła całkowita cisza, którą przerwał dźwięk obracanego krzesiwa. W bunkrze pojawił się płomień. Ktoś trzymał w ręku zapalniczkę i oświetlał nią schody prowadzące w dół. Przy ostatnim stopniu leżało ciało małego chłopca, który nie wydobywał z siebie głosu, ale położył całą dłoń na betonie i delikatnie poruszał palcami.

- Spadł - oznajmił ktoś obojętnym głosem. - Weźcie go za nogi i ręce, znieśliśmy go niżej, gdzie nikt go nie znajdzie.

W bunkrze rozległ się pogłos szurających butów, dochodzący z coraz to niższych poziomów.

- Spróbuj otworzyć te zielone drzwi - powiedział ktoś, kto stał na samym dole.

- Zamknięte.

- To zostaw go tu...

- Nie dokończymy?

- Na razie nie. Po co? Przecież on się stąd nie wydostanie.

Z zielonych drzwi emanowała dziwna ciemna plama, która przedostawała się przez framugi i jakby sunęła za chłopcami, dosięgając ich pięt.

*

Pan Kwiatkowski im dłużej krążył po okolicy, tym bardziej był zaniepokojony. Przed chwilą policja odnalazła jedno dziecko, teraz zaginęło drugie. Zanim zdecydował się na powiadomienie funkcjonariuszy, sam rozpoczął poszukiwania syna. Nie podejrzewał, aby stało mu się coś poważnego. Przypuszczał, że Mikołaj za bardzo oddalił się od domu i nie potrafi wrócić.

Gdy był na placu zabaw mieszczącym się obok szkolnego boiska, jego uwagę przykuł odsunięty właz. Jeszcze dwa dni temu fakt ten nie wzbudziłby w nim podejrzeń, ale po spotkaniu pani Wandy i po rozmowie z policją – omijany jak dotąd bunkier, stawał się głównym powodem do obaw. Ojciec powtarzał Mikołajowi wielokrotnie, aby nie zbliżał się do schronu. Tłumaczył, że jest tam niebezpiecznie. Jak dotąd chłopiec słuchał i zawsze trzymał się od schronu z daleka. Najbardziej dziwiło mężczyznę odkryte wejście – od lat nikt oprócz obłąkanej kobiety nie krążył po bunkrze. A przecież panią Wandę spotkał przed chwilą idącą ulicą Staffa, nie przypuszczał zatem, aby zdążyła dotrzeć tu przed nim. Miał zamiar zamknąć właz, ale dostrzegł narysowane patykiem, na czarnym piachu koło, w środku którego ktoś narysował postać. Wiedział, że jedną z form komunikacji Mikołaja z otoczeniem było malowanie, dlatego coś go tknęło i niemal natychmiast zdecydował się na wejście do bunkra. Gdy zeskoczył na dół, ogarnęło go przerażenie, ponieważ po włączeniu komórki zobaczył leżący na ziemi żółty plastikowy zegarek. Nie miał wątpliwości – chłopiec wszedł do podziemi. Ojciec pamiętał słowa policjanta, który powiedział, że

przeszukiwanie bunkra to koszmar. Ów koszmar spotęguje wiadomość, że zaginiony chłopiec jest w dodatku upośledzony i niekoniecznie zareaguje na własne imię. Nie miał wątpliwości, że obco brzmiące głosy i nawoływania dodatkowo pogłębią strach dziecka i tym samym utrudnią porozumienie się z nim. Nie wiedział, co powinien zrobić. Stał w podziemiach, trzymając w dłoni zegarek syna, kiedy usłyszał czyjeś szepty.

- Jest tu ktoś? - zapytał. Przez chwilę panowała martwa cisza.

- Jesteśmy, ale tylko się bawimy - usłyszał. - Ała! - krzyknął ktoś stojący w głębi bunkra.

- Miałeś się zamknąć, matole - odpowiedział mu drugi. - W podchody gramy, a co, nie można?

- Można, chciałem zapytać, czy widzieliście mojego syna.

- Pańskiego syna? A kim pan jest, bo gdyby pan nie zauważył, trochę tu ciemno...

Chłopcy nie zorientowali się, że ojciec Mikołaja jest coraz bliżej nich. Tymczasem on zapalił ponownie ekran telefonu dopiero, gdy ich głosy stawały się coraz wyraźniejsze, i dostrzegł ich twarze. Chłopcy natychmiast spuścili głowy, jeden wsunął pospiesznie kaptur, drugi natychmiast zaczął uciekać do sąsiednich pomieszczeń, a trzeci, który był z nich najwyższy, stanął w rogu i dopiero, gdy od mężczyzny dzieliły go dwa kroki, zdecydował się na wyciągnięcie środkowego palca i parsknięcie śmiechem, po czym popchnął gwałtownie mężczyznę i zniknął w korytarzu.

Po bunkrze rozległy się odgłosy krzątania, szybko

stawianych kroków, gdzieś pierwsze rozmów. Z twarzy ojca Mikołaja można było wyczytać zaskoczenie i zdenerwowanie.

- Mikołaj, synku, odezwij się! - krzyczał.

- A, to o Mikołaja chodzi. Trzeba było tak od razu - usłyszał głos dochodzący z jego prawej strony.

Gdy skierował tam telefon, któryś z chłopców schował się za kolumną.

- Co masz na myśli? Widziałeś go?

- Może... jeżeli to był on - taki mały, trochę ułomny - to niezły z niego pędziwiatr! - zaśmiał się nastolatek.

- Nie strój sobie żartów, gówniarzu!

- Taki ton nie przekonuje mnie do dalszej konwersacji - odpowiedział arogancko i pogardliwie chłopak. Ktoś stojący nieopodal zareagował głośnym rechotem.

Ojciec wiedział, że brnięcie w tę dyskusję nie ma sensu i ze strony swoich rozmówców może spodziewać się jedynie gwałtownego ataku szyderczych śmiechów.

- Co jest? Tatusiek zamilkł, to już wiemy, po kim synuś bełkocze! - powiedział chłopak stojący za kolumną i natychmiast zaczął wydawać z siebie dziwne dźwięki, naśladowując mowę Mikołaja.

Pan Kwiatkowski nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Miał w tej chwili ochotę chwycić za gardło całą trójkę, ale wiedział, że w tym bunkrze byłoby to niemożliwe i zakończyłoby się zabawą w chowanego. Odpuścił. Cofnął się do wjazdu i wyszedł z bunkra, po czym wziął głęboki oddech, schował twarz w dłoniach i poczuł, jak pot ścieka mu po czole.

Wewnątrz gotował się ze wściekłości, na zewnątrz cały dygotał. Nie do końca docierało do niego to, co właśnie się wydarzyło. Miał wrażenie, że przed chwilą rozmawiał z potworami, nie z młodymi ludźmi.

ROZDZIAŁ VIII

- Mówi pan, że była ich trójka? - powtórzył pytanie funkcjonariusz.

- Tak. Znam ich. Było zbyt ciemno, abym przyjrzał się wszystkim, ale jednego z nich, takiego wysokiego, poznałem. Mieszka tu, w baraku. Zazwyczaj prowadzi się z jeszcze dwoma kumplami, ale teraz nie jestem w stanie opisać ich wyglądu.

- Podejrzewa pan, że oni mogli mieć coś wspólnego z zaginięciem Mikołaja? My oczywiście sprawdzimy i ich odnajdziemy, tylko musimy brać pod uwagę, że ci chłopcy się tam po prostu bawili. Ten bunkier jest owiany różnymi legendami, dla tych nastolatków to atrakcja...

- Rozumiem, ja wszystko rozumiem - tłumaczył spokojnie ojciec Mikołaja. - Tylko gdyby pan ich słyszał... Oni cały czas rechotali, jakby byli w teatrze na jakiejś komedii albo w cyrku na występie klauna - mówił wciąż wstrząśnięty wydarzeniami pan Kwiatkowski.

W tym samym czasie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła Olga z młodym policjantem.

- Musiałeś wysłać po mnie eskortę?! Po co ta szopka?! -

krzyczała, nie zwracając uwagi ani na policjantów, ani na zmartwioną minę ojca.

Pan Kwiatkowski natychmiast wstał z krzesła, chcąc podejść do córki, ale zawahał się i usiadł z powrotem.

- Olga, proszę cię, usiądź obok na chwilę - odpowiedział spokojnie ojciec.

- A nie możemy już stąd pójść?! - pytała. Nie przyszło jej do głowy, że jej ucieczka miała o wiele poważniejsze konsekwencje, niż jej się wydawało.

Pan Kwiatkowski spojrzał w stronę policjanta.

- Jak tylko czegokolwiek się dowiemy, od razu damy panu znać. Jest późny wieczór, zanim znajdziemy i przesłuchamy dzieci... obawiam się, że dopiero nad ranem wejdziemy do bunkra.

- Do bunkra?! - wtrąciła nagle Olga, tym razem domagając się wyjaśnień.

- Proszę wrócić z córką do domu - zaproponował komendant, wstając zza biurka i podając ojcu rękę.

Po wyjściu z komisariatu, Olga ze swojego czarnego worka wyjęła papierosa, ale ojciec natychmiast wyciągnął jej go z ust.

- Co ty robisz, człowieku?! Myślisz, że fajki są tanie i rosną na drzewach?

- Dziewczyno, opanuj się wreszcie! - krzyknął ojciec i na środku ulicy potrząsnął Olgą, trzymając ją za ramiona.

Dziewczyna z przerażeniem przyglądała się zdenerwowanemu ojcu.

Pan Kwiatkowski puścił za chwilę córkę i w milczeniu

szedł w stronę kamienicy.

- Teraz nie będziesz się odzywał?

- Olga, musimy porozmawiać, ale najpierw się opamiętaj.

- Wiedziałam, że wcale nie zależało ci na moim powrocie.

Mój wyjazd był ci na rękę.

- Co ty opowiadasz?! - pytał ojciec, zatrzymując idącą coraz szybciej Olę. - Nie darowałbym sobie, gdyby coś ci się stało - mówił, trzymając ją za ramiona i patrząc jej prosto w oczy.

Olga miała ochotę krzyknąć „Gówno prawda!” i zapewne zrobiłaby to, ale wyczuła, że coś się stało, bo ojciec był jakiś nieobecny.

Przechodząc obok bunkrów, dziewczyna zmieniła temat.

- O co chodziło z tym bunkrem, ktoś zaginął? - zapytała, tknięta przecuciem, że podziemia mają coś wspólnego ze złym samopoczuciem jej ojca.

- Mikołaj - odpowiedział, a Olga natychmiast zwolniła kroku. Pan Kwiatkowski cofnął się i obejmując córkę, ruszył powoli ulicą Staffa w stronę kamienicy. - Cieszę się, że jesteś zdrowa i nic ci się nie stało - powiedział nagle, jakby wcale nie chciał opowiadać córce o zaginięciu jej brata, uznając to za zbyt bolesne, przede wszystkim dla samego siebie.

- Jak to Mikołaj? - pytała. Poczula, jak głos jej się załamuje. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Przyłożyła drżącą dłoń do ust, bo zdała sobie sprawę z tego, że Mikołaj, na którym wyżywała się za wszystkie swoje nieszczęścia, którego obwiniała za to, że tu mieszkają, który był dowodem na to, że świat bywa okropny, może umrzeć

w zimnych podziemnych lochach, sam, nie wiedząc o tym, że w głębi duszy bardzo go kochała. – Boże, to moja wina! Wszedł tam za mną...

– Olga, to nie twoja wina. To ja go nie dopilnowałem.

Oboje zaczęli winić samych siebie za zaginięcie Mikołaja. Ten wieczór był inny niż wszystkie do tej pory. Olga pierwszy raz poczuła, że ogarnia ją wstyd. Wstydziała się własnego zachowania. Żałowała każdego złego słowa wypowiedzianego pod adresem brata. Marzyła o tym, aby się odnalazł, żeby móc go przytulić.

– Tato, on sobie nie poradzi. Jeżeli go nie znajdziemy...

– Wiem – odpowiedział cicho ojciec.

Znikli w klatce i nie zauważyli, że gdy oni zwalniali kroku, idąca za nimi dziewczyna również to robiła, odprowadzając ich do samej kamienicy. Szła za nimi, odkąd ci opuścili komisariat policji, i przysłuchiwała się ich rozmowie. Teraz położyła bladą chudą dłoń na klamce furtki i weszła do jednego z ogródków działkowych. Usiadła na niskiej ławce i trwała w bezruchu, jakby dręczyła się nadchodzącą przyszłością. Letnie powietrze powinno wypełniać jej płuca, ale one wydawały się zastygłe. Gdyby ulicą przejechał samochód i rzucił na siedzącą dziewczynę światło reflektorów, stwierdzono by, że któryś z sąsiadów wniósł do ogródka muzealny posąg. Jej skóra przypominała białe aksamitne prześcieradło, które mogłaby podrzeć malutka szpilka. Nie miała najmniejszej skazy, nawet jednej krostki, zwykłego pieprzyka – niczego, co mogłoby zniszczyć ten niecodzienny widok. Nie było w tym krajobrazie nic bardziej nierealnego.

Dochodziła północ. W bunkrze nie było słycać żadnych śmiechów ani tajemniczych odgłosów, żadnych kroków ani zagadkowych szmerów. Schron składał się z około pięćdziesięciu korytarzy, kilkuset pomieszczeń różnych kształtów i rozmiarów. Do niektórych komór można było przedostać się, kucając albo turlając się po ziemi. W bunkrze znajdowały się ślepe zaułki, małe przejścia prowadzące donikąd, wnęki w ścianach, tunele przypominające studnie, nagłe spadki w dół. Jego niewielka część była natomiast zrujnowana i wypełniona gruzami.

Na górnych poziomach można było odnaleźć ślady po przebywających tu ludziach. Większość z nich stanowiły zwykłe śmiecie: puszki, butelki, konserwy, ale też materace i buty. Na niższych poziomach schronu do tej pory mieściły się pozostałości po produkcji maszyn i broni, ślady po wybuchu bomby; w murach utknęły pociski. Bunkier miał swoją własną historię - historię, która nigdy nie zostanie opowiedziana i ujawniona, a jedynie pobieżnie zinterpretowana.

Ściany były poobdrapywane, gdzieś znajdowały się czyjeś podpisy, słowa modlitwy albo wyryte ostrymi narzędziami tajemnicze kontury. Często można było natrafić na schowki, zamknięte skrzynie, puste skrytki. Bunkier wyglądał jak oczyszczone miejsce zbrodni.

W tym w tej chwili zimnym lochu, na samym dole, za krętymi schodami, w jednej z wielu wnęk, leżał nieprzytomny chłopiec, ogrzewając ziemię swoim płytkim oddechem.

*

- Proszę, aby państwo poczekali tutaj - powiedział komendant do rodziców nieletnich chłopaków.

W tym samym czasie zaatakował go chór ochrypłych głosów.

- Długo potrwa to przesłuchanie? - pytała pierwsza z matek.

- Jest noc, jutro idę do pracy - żaliła się druga.

- Gdzie to tak dzieci po nocach zgarniać na komisariat - wtrąciła trzecia.

- Przykro mi, ale zaginęło dziecko. Są podejrzenia, że ci chłopcy mieli z tym coś wspólnego - mówił komendant.

Był przyzwyczajony do tego, że najwięcej problemów sprawiają matki, bo albo są zbyt zatroskane i niedowierzające w winę dziecka, albo zmęczone ciągłymi nocnymi awanturami, których prowodyrem jest ich nastoletni syn.

- Co pan mi tu za głupoty opowiada! Mój Wojtek nie skrzywdziłby muchy - denerwowała się matka, a pozostałe dwie wtórowały kobiecie, kręcąc ze zniecierpliwieniem głowami.

Tym razem w poczekalni siedział trzeci typ matek: próbujące wcisnąć policjantowi kit o wzorowym zachowaniu swoich dzieci, gdy tymczasem od kilku lat przeżywają w domach piekło.

Wszystkie trzy kobiety były do siebie w pewnym sensie podobne. Każdej z nich zwiotczałe powieki opadały na niewielkie zamglone oczy. Pociągłe, żółte twarze, zwisające policzki, uwydatnione nosy powodowały, że każda z matek miała w sobie pewną ostrość. Szorstkie, ziemiste skóry,

brązowe od nikotyny palce, zbyt wcześnie pojawiające się zmarszczki wokół bladych ust świadczyły o wieloletnim igraniu z własnym życiem.

W pokoju numer jeden siedział rudy chłopak. Wyglądał na znudzonego, przynajmniej chciał robić takie wrażenie. Powieki pokryte pomarańczowymi piegami opadały mu powoli, a on równie wolno unosił je z powrotem. Patrzył komendantowi prosto w oczy i przykładał dłoń do ust, bawiąc się przy tym nosem i wykrzywiając go we wszystkie strony. Drugą rękę opierał o udo, czasem pukał palcami o blat biurka.

- Emil Trojecki, tak?

- Tak - odpowiedział szybko. W jego twarzy była jakaś sprzeczność. Chłopięca twarz nie pasowała do wężowatego, odpychającego spojrzenia. Podobnie jak nastoletni wiek nie pasował do jego dojrzałego i szorstkiego głosu - głosu starego faceta.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś? - zapytał komendant.

- Nie mam zielonego pojęcia, ale może pan mi to wyjaśni...

- Zginęło dziecko, a ciebie i twoich kumpli widziano wtedy w bunkrze.

- I? - pytał Rudy, unosząc brwi.

Oczy chłopaka rozszerzyły się. Teraz można w nich było dojrzeć nieukrywaną satysfakcję - radość, że komendant zadaje mu te wszystkie pytania.

- I może macie z tym zaginięciem coś wspólnego?

- Nie sądzę, abym miał z tym zaginięciem coś wspólnego - odpowiedział i zsunął się niżej po oparciu krzesła, lekko pochylił się do przodu i wysunął głowę. Jedną nogę oparł na

drugiej. Komendant odniósł wrażenie, że ten chłopak mógłby przesiedzieć tu całą noc i zrobiłby to z przyjemnością.

- A może wyjaśnisz mi, co tam robiliście?

- Nie ma tu nic do wyjaśniania. Graliśmy w piłę.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko.

Komendant przeczuwał, że Rudy coś ukrywa, ale zdawał sobie też sprawę z tego, że nic mu nie powie.

- Ale widziałeś tam chłopca?

- Gdzie „tam”? - pytał, wykrzywając kpiąco usta.

- W bunkrze - odpowiedział komendant, nie reagując na złośliwość małolata.

- A, w bunkrze... to trzeba było tak od razu. Tak, widziałem tam dzieciaka.

- Co robił, gdy go zobaczyłeś?

- Turlał się po betonie - powiedział, jakby mówił o turlającej się po kuchennych kafelkach szklance.

- I nie przyszło ci do głowy, aby wyciągnąć go z bunkra?

- Nie, a dlaczego miałoby mi to przyjść do głowy? - odpowiedział.

Przez chwilę wydawało się, że role zostały odwrócone i teraz to Rudy domagał się wyjaśnień od pochylonego nad nim komendanta. Oczy chłopaka nabrały jeszcze większej ostrości, swoją oziębłością niemal gromiły otoczenie.

- Bo chłopiec jest niepełnosprawny i sam nie dałby rady wyjść? - policjant tłumaczył coś, co dla każdego powinno być oczywiste.

- A skąd ja miałem wiedzieć, że mały jest

niepełnosprawny?

- To nie widziałeś, kto turlał się po betonie, czy widziałeś?

- No, dzieciak jakiś.

- Nie dzieciak, tylko chłopiec. Sam to wcześniej powiedziałeś.

- Może i tak, ale jakie to ma znaczenie? - pytał Rudy, śmiejąc się.

Ten nienaturalny, wymuszony chichot przerażał, bo udowadniał, że chłopak jest bardziej podły, niż może sobie to wyobrazić jakakolwiek normalna osoba posiadająca kod genetyczny odpowiedzialny za uczucia.

- Skoro wiesz, że był to chłopiec, to znaczy, że widziałeś go dosyć dokładnie. A skoro widziałeś go dokładnie, to wiesz, że jest niepełnosprawny...

- No, może i to wiedziałem, ale co z tego...

- To z tego, że na razie jesteśmy na etapie następującym: Byłeś w bunkrze i widziałeś niepełnosprawnego chłopca, tak?

- Tak - odpowiedział Rudy, patrząc na policjanta jak na dziwoląga.

- I mu w żaden sposób nie pomogłeś, tak?

- Nie widziałem potrzeby, żeby mu w czymkolwiek pomagać.

- No co ty nie powiesz? Dzieciak jest upośledzony, wpadł do bunkra, a ty nie widziałeś potrzeby, żeby mu pomóc?

- Dokładnie...

- A przyszło ci do głowy, że może sobie nie poradzić?

- Nie. Nie analizowałem stanu umysłu tego chłopca. Miałem go w dupie.

- Miałeś go w dupie, czyli generalnie masz ludzi w dupie? Czy tylko tego chłopca? - pytał policjant.

- W tamtym momencie miałem go w dupie - mówił Rudy i wciąż patrzył na policjanta wzrokiem, z którego była satysfakcja i nienawiść jednocześnie.

- Czyli tylko tego chłopca? Dlaczego? Bo jest upośledzony?

- Pan to powiedział.

- A ty potwierdzasz?

- Nie.

- Przecież na pierwszy rzut oka widać, że chłopiec jest upośledzony. Nie zauważyłeś tego?

- Zauważyłem, ale miałem to w dupie...

- A może pomogliście mu z kumplami zgubić się w tym bunkrze?

- Nie. Graliśmy w piłkę.

- Płakał?

- Nie wiem, nie słyszałem.

- A w jakiej odległości od niego staliście?

- Nie wiem, trzech, czterech metrów - powiedział Rudy.

- To nie jest jakaś wyjątkowa odległość, żeby nie słyszeć, że dzieciak płacze.

- Ile razy mam panu powtarzać, że miałem w dupie tego dzieciaka i gówno mnie obchodziło, co on w tym bunkrze robi - mówił.

Przez chwilę policjant miał nadzieję, że Rudy traci cierpliwość, ale były to tylko pozory. W rzeczywistości nie drgnął mu nawet policzek ani powieka. Wciąż wpatrywał się

swoim jadowitym wzrokiem w twarz policjanta.

- I czy przeżyje - dokończył komendant.

Dzieciak milczał, wykrzywiając jedynie usta w półuśmiechu. Wsadził rękę do kieszeni. Nagle chrząknął i powiedział:

- Nic pan na mnie nie ma. Kulturalnie grałem sobie w piłkę i nie mam obowiązku zwracać uwagi na każde dziecko, które spotkam w bunkrze. Zajmuję się sobą. To się nazywa brak podzielności uwagi. Umówmy się, że cierpię na tę dolegliwość, dobra?

Komendantowi trudno było walczyć z taką argumentacją.

- Myślę, że masz obowiązek zareagować, jeżeli wiesz, że dziecko jest niepełnosprawne, bo to świadczy o tym, jakim jesteś człowiekiem. Dla mnie rozmowa z tobą jest dowodem na to, że nim nie jesteś, a to duży postęp w tej sprawie...

- Duży postęp w sprawie? Czy to ci pomoże w znalezieniu upośledzonego bachora? Facet... dopóki nie udowodnisz mi, że zrobiłem coś złego, konkretnie złego, to możesz pocałować mnie w tyłek, rozumiesz? - mówił przeciągle, jakby chciał pokazać światu, że jest tym wszystkim znudzony i nikt nigdy nie będzie w stanie niczego mu zarzucić. Czuł się bezkarny.

Po dłuższej chwili milczenia, komendant powiedział:

- Udowodnię ci jeszcze, że mogę więcej, niż pocałować cię w tyłek. Wrócimy do tej rozmowy.

Drzwi trzasnęły, a Rudy siedział w pokoju już sam... Z uśmiechem na ustach.

Po rozmowie z chłopakiem o imieniu Emil, komendant poszedł do drugiego pokoju, w którym siedział najwyższy

i zarazem najgłupszy z całej trójki. Na pierwszy rzut oka wydawał się najłatwiejszym celem, najsłabszym ogniwem. Gdy policjant wszedł do pomieszczenia, ten bujał się na obrotowym krześle z otwartą jadaczką, jak gdyby chciał łapać latające nad sufitem muchy.

- Imię i nazwisko możesz podać?

- Drągal.

- Nie proszę o podanie pseudonimu, tylko prawdziwego nazwiska, rozumiesz? Takiego, jakie zapisano w twoim akcie urodzenia.

- Robert Nowicki.

- To dziwne, bo ja mam tu zanotowane Nowacki - powiedział komendant.

- A, to może się pomyliłem - odpowiedział, a jego prawa żrenica uciekła w prawy górny róg pokoju.

- Drągal... tak cię będę nazywać, dobra?...

- No proste, no nie?! Siema! - wykrzyknął i wyciągnął w stronę komendanta wielką jak grabie rękę.

- Darujmy sobie uściski, kolego... Powiedz mi, co robiłeś w bunkrze...

- Grałem z chłopakami w gałę. Rudy mistrz! - krzyknął, klaszcząc w dłonie.

- Rudy dobrze gra?

- Najlepiej, orzynałby pana w sekundę.

- Tak myślisz...? No dobra. To w tej kwestii się poddam i nie będę polemizował. Ale twój Rudy kolega powiedział mi, że zrobiliście w bunkrze krzywdę małemu chłopcu...

Drągal wyprostował się, uniósł głowę do góry i patrzył na

latające wokół żyrandola muchy.

Chłopak był bardzo chudy, może dlatego wydawało się, że jest wyższy niż w rzeczywistości. Miał pociągłą bladą twarz, małe oczy, płaski nos i niewielkie usta, którymi cały czas poruszał, jakby wciąż miał coś w buzi.

- Nie wiem, o czym pan mówi, komendancie - wyrecytował jakby z pamięci wyuczony tekst.

- Powiedz mi: a często wchodzić do bunkra?

- Ostatnio częściej - powiedział i zaczął się śmiać.

- Dlaczego częściej? Są jakieś powody?

- Nie ma żadnych.

- Nie no, muszą jakieś być... Tym bardziej, że się zaśmiałeś - wtrącił policjant, a chłopiec o przezwisku Drągał zachichotał, pokazując dziurawe zęby, po czym zrobił jeden obrót krzesłem i zaczął mówić:

- Bawimy się w podchody.

- W podchody? Sami?

- No... czasem jeszcze w ganianego! - wydusił, wybuchając śmiechem.

- Kogo ganiacie? - pytał policjant, ignorując zachowanie dryblasa.

- Siebie nawzajem - odpowiedział, po czym dodał: - I czasem tę walniętą babę.

Wtedy policjant się wyprostował i otarł dłonią usta. Zeznania zmieniały swój dotychczasowy tor.

- Panią Wandę? - dopytywał policjant, ale Drągał wzruszył ramionami.

- Nie wiem, no nie? Może Wanda, a może Krysia -

powiedział i znów pokładał się ze śmiechu. Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał kogoś, kto mu zawtóruje.

- To wy strzelaliście w bunkrze?

Po tym pytaniu Dryblas zarechotał, robiąc na krześle trzy piruety.

- Rudy mistrz! Tak ją wykurzył petardą, no nie, że baba podskoczyła! Myślałem, że sufit rozwali!

Drągał wstał z krzesła i zaczął naśladować uciekającą po wystrzale kobietę. Ubarwił swoją grę aktorską gestem, jakoby pani Wanda, biegnąc, trzymała się za pośladki. Im dłużej komendant rozmawiał z chłopcami, tym bardziej współczuł siedzącym w korytarzu matkom.

- Możesz przestać się, kolego, śmiać? - odezwał się bezbarwnym tonem policjant.

- No właśnie nie bardzo, no nie, bo tego, no... później Wojtas klapę zakrył jej przed nosem i ona tak wrzeszczała, że tego... nawet nie słyszałem muzy - powiedział i wycierał sobie wilgotne od łez kąciki oczu.

Komendant nie był do końca przekonany, czy Drągał udaje ograniczonego, a w rzeczywistości jest po prostu zdemoralizowanym gnojem, czy naprawdę siedzi przed nim totalny głab, mający problemy z zapamiętaniem własnego nazwiska.

- A mężczyzna? - zapytał policjant, przypominając sobie opowieść pani Wandy o leżącym w schronie facecie.

- Cha cha cha - w pomieszczeniu rozległ się ryk. - To było bez kitu najlepsze! Rudy mistrz!

Komendant wiedział, że z jednej strony z Dryblasa może

łatwo wydusić prawdę, z drugiej natomiast nie powie mu on niczego konkretnego, co pomogłoby w odszukaniu Mikołaja, nawet jeżeli wie, gdzie dziecko się znajduje.

W trzecim pokoju siedział Wojtas. Chłopiec, który miał blond włosy i dziewczęcą urodę, otworzył usta i wywalił na wierzch język. Oblizął się, później mrugnął nerwowo dwa razy oczami, zsunął się z krzesła, wsadził ręce do kieszeni.

- Wojtek, tak?

- Tak - powiedział nastolatek, nie zmieniając pozycji ciała.

- Twój kolega Drągal już wiele mi powiedział...

- Mój kolega Drągal jest tak tępy, że nie warto słuchać tego, co mówi.

- Kto z kim przestaje, takim się staje - odpowiedział komendant, na co Wojtas wzruszył ramionami. - Skoro jesteś od niego mądrzejszy, w co nie wątpię, to powiedz mi, gdzie mamy szukać chłopca.

- Nie wiem, komendancie. Nie widziałem, gdzie poszło to dziecko.

- Ale jesteś mądrzejszy od Drągala, tak? - Wojtas ponownie wzruszył ramionami. - Zdajesz sobie sprawę z tego, co się z wami stanie, jeżeli mieliście coś wspólnego z jego zaginięciem?

- Poprawczak.

- Nie martwi cię to?

- Nie, bo nie mieliśmy nic wspólnego z zaginięciem dziecka - odpowiedział, przygryzając wargi.

- No dobrze... to zmieńmy temat... Czy możesz mi wyjaśnić waszą zabawę z panią Wandą?

Nie było tym razem wybuchów śmiechu, a chłopak wydawał się skupiony i zdecydowanie bardziej zrównoważony od Drągala.

- Baba ma nie po kolei w głowie. Drze się na obcych ludzi na środku ulicy, kręci się nocami po bunkrze i gada do siebie. Wariatka. Nikogo już nie obchodzi na historia - ciągnął i nie zamierzał przerywać, jakby nie potrzebował przerwy na zaczerpnięcie powietrza. - Byliśmy właśnie w bunkrze, kiedy usłyszeliśmy czyjeś kroki. Byliśmy pewni, że to ta baba, a to byli ci frajerzy z kamienicy i ta, co przy rzece mieszka, Majka czy coś. Szukali Czarnej, w sensie Olgi. Chcieliśmy się zabawić i zaczęliśmy pukać w ścianę i tak dalej. Później zapaliłem latarkę i oni myśleli, że to ta ich koleżanka - generalnie pośmialiśmy się, bo oni srali ze strachu po gaciach i gadali o duchach. Potem przypałętała się stara - to ją też postraszyliśmy i tyle.

- A mężczyzna?

- Zorientowaliśmy się, że walnięta jest w bunkrze - zaczął Wojtas. - Rudy wyszedł szybko po Mietka spod trójki, co to zawsze z Drągala starym chodzi. Koleś właśnie stał przed sklepem Doroty i Rudy powiedział, że kupi mu browar, jak uda umarlaka. Gość trzymał w brudnych łapach jakiś soczek w kartoniku - to go nim pochlapał i zaprowadził do środka, tyle.

- Wróćmy w takim razie do chłopca... Czy wiesz, gdzie powinniśmy go szukać?

- Nie, jego nie dotknęliśmy, nawet się nie odezwaliśmy, jak łaził na czworakach po betonie. Łkał tylko i ryczał cały czas.

Komendant nie wiedział, na ile chłopcy robią sobie żarty, z tylko sobie znanych powodów, a na ile są zdolni do okrucieństwa.

- No dobrze... chciałbym wyjaśnić ostatnią sprawę - powiedział policjant i usiadł na blacie biurka.

- Opowiedz mi, proszę, czym pomysłem było zabicie kota.

- Jakiego kota? - zapytał Wojtas po dłuższym namyśle.

- Tego, którego znaleziono na skałkach?

- Nie ja.

- Nie pytam się, czy byłeś to ty... Tylko kto to był?

- Nie wiem, nie ja.

- Wiesz, że okrucieństwo wobec zwierząt jest przestępstwem?

- To nie byłem ja, panie władzo - powiedział, lekko się czerwieniejąc.

- Ale wiesz, kto to był?

Chłopak przygryzł wargi, spojrzał na stojącą w pobliżu komodę i odpowiedział:

- Nie wiem.

Gdy komendant wszedł do pokoju, w którym siedział Drągal, chłopak właśnie wsadzał do buzi kawałek znalezionej na biurku kartki i zaczął ją rzuć.

- Drągal, twoi koledzy mówią, że zabiłeś kota...

- Ja?! Ja nie! To był pomysł Rudego!

- To chyba teraz musisz wyśpiewać, jak to wszystko wyglądało, bo na razie twój mistrz wskazuje na ciebie. A wiesz o tym, że okrucieństwo wobec zwierząt to przestępstwo?

- Wie pan, że czarne koty przynoszą pecha, no nie? Tak mówią - powiedział.

- Słyszałem... Ale nie jestem przesądny.

- A ja jestem, tym bardziej że przez tego kocura kiedyś mama dowiedziała się, że nie poszłem do szkoły.

- „Poszedłem ” - poprawił go komendant. - Dlaczego przez tego kocura?

- No bo dzień wcześniej szłem sobie spokojnie drogą, słuchałem ulubionej muzy, no nie? A on mi ciach! Wyskoczył, nie wiadomo skąd! To w niego rzucałem kamieniami, bo co mnie będzie straszył. Wie pan, że on... tego... nogi nie miał. Przecież to nienormalne, nie? Każdy ma nogi, a on na trzech kuśtykał.

- A dlaczego postanowiłeś go zabić?

- Nie ja przecież, no nie! Rudy był... tego... wkurzony, bo coś tam się stało... nie wiem i go... tego... zabił - mówił niewyraźnie, po czym dodał, krzycząc i śmiejąc się jednocześnie: - Ale ten pet! Rudy mistrz! Jarał i stwierdził, że kot po tym wszystkim chce się zaciągnąć... A on... tego... ogona już wtedy nie miał i w ogóle nie żył!

- A chłopiec? Też Rudy go zabił?

- Nie zabił! Co to, to nie!

- Na pewno? - pytał komendant. Nie chciał dodawać, że za składanie fałszywych zeznań grozi więzienie, bo Drağal i tak nie zrozumiałby, co to znaczy.

- Nie zabił go, no nie! Na pewno nie!

Komendant patrzył na kręcącego się na obrotowym krześle chłopaka, któremu wciąż uciekała prawa źrenica

i który wybuchał śmiechem nawet wtedy, kiedy nikt nic nie mówił.

- Pewny jesteś, że nie miałeś nic wspólnego z zabiciem tego kota? - zapytał raz jeszcze.

- No przecież, że nie, no nie! Ja tylko nagrywałem Rudego telefonem! - szczerzył się Drągał, wyraźnie dumny, że otrzymał od swojego mistrza tak ważną funkcję.

*

Rudy nie zmienił swojej pozycji. Wciąż siedział pochylony, z głową wysuniętą do przodu, i gdy tylko komendant pojawił się w drzwiach, spojrzał mu prosto w oczy.

- Odpowiesz za znęcanie się nad zwierzętami. Mówiłem, że mogę więcej, niż pocałować cię w tyłek. Chcesz jeszcze odpowiadać za składanie fałszywych zeznań?

- Nie składałem fałszywych zeznań - odpowiedział Rudy, wzruszając ramionami. - Przecież nie pytał mnie pan o kota.

- Ale pytam się teraz o dziecko, więc dobrze zastanów się, co odpowiesz... Twoi koledzy twierdzą, że dziecko jest w bunkrze i ty wiesz, gdzie...

Chłopak bez chwili namysłu, uniósł rude brwi do góry.

- Nie wiem, kurwa, gdzie jest dzieciak! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Gdyby chłopak trzymał w rękach jakąkolwiek dającą się zgnieść rzecz, właśnie zostałaby zniszczona jednym nerwowym i gwałtownym uściskiem dłoni. Rudy doskonale potrafił nad sobą panować, wręcz uwielbiał swoją ignorancją doprowadzać ludzi do obłędu, ale umiał też na potrzeby chwili

perfekcyjnie zagrać. Uznał, że pokazanie komendantowi swojego rzekomego zdenerwowania spowodowanego rzekomym wciskaniem mu kitu, oddali go od podejrzeń i policjant będzie musiał przyznać przed samym sobą, że się mylił.

Ale komendant na te słowa oparł ręce o blat biurka, pochylił się w kierunku Rudego i powiedział stonowanym głosem:

- Sprawą zajmie się sąd rodzinny i sąd nieletnich. Odpowiesz za znęcanie się nad zwierzęciem ze szczególnym okrucieństwem. Tyle mogę. A ten telefon, który miętosisz w łapie, oddasz mi. Film posłuży nam za materiał dowodowy. Zostajecie na noc zatrzymani w areszcie - dodał.

*

Kiedy trwały przesłuchiwanie trzech nastolatków, w jednym z mieszkań kamienicy paliło się światło. Telewizor był wyłączony, jedynie o szyby obijały się tłuste muchy. Przy kuchennym stole siedziała Olga z pochyloną głową i łokciami położonymi na blacie, a naprzeciwko niej stał ojciec. Od dwóch godzin dziewczyna płakała i słuchała opowieści ojca o przeszłości rodziny i o powodzie, dla którego matka wyjechała za granicę.

- Czy ty jesteś pewien, że Mikołaj to twój syn? - zapytała nagle.

Mężczyzna o śniadej karnacji i ostrych rysach twarzy usiadł obok córki.

- Nie jestem pewien, ale tak go traktuję. To nie ma

znaczenia, córciu. Gdyby matka nie wyjechała i nie zostawiła listu, w którym opowiedziała mi o zdradzie, nie przyszłoby mi do głowy, że Mikołaj nie jest moim dzieckiem.

- A teraz? Nie chcesz wiedzieć?

- Nie ma znaczenia, w kim jaka krew płynie. Wiem, że niektórzy twierdzą inaczej... Moja i jego matki czy matki i jej kochanka... Człowiek jest człowiekiem i tak należy go traktować. Sprawy tak się potoczyły, że Mikołaj został pod moją opieką, a ja staram mu się tę opiekę zapewnić. I cieszę się, że Mikołaj został ze mną.

Gdy kolejna mucha obijała się od kuchennej szyby, Olga przeżyła nowe olśnienie. Zrozumiała, że jej ojciec jest skrytym, nieco dziwnym człowiekiem, ale ma wielkie serce.

- Dlaczego o tym wszystkim nie powiedziałeś wcześniej?! Zatrzymywałeś się na opowieści dotyczącej ucieczki matki, ale nie wyjaśniłeś, z jakiego powodu dała dyla! Nie powiedziałeś, że była na tyle zimną suką, aby opuścić chore dziecko!

- Pomyślałem, że lepiej, abyście mieli wizję mamy jako lepszej, niż była w rzeczywistości...

- Ty jej jeszcze bronisz?! Gdybym tylko mogła stanąć z nią twarzą w twarz, nie oszczędziłabym jej w ogóle! Wygarnęłabym wszystkie brudy!

- Nie bronię jej. Wiele książek przeczytałem, aby zrozumieć, że życie w gniewie jest gorsze. Już dawno jej wybaczyłem, bo dzięki niej mam was i jestem szczęśliwy.

- Ty naprawdę jesteś z innej planety - stwierdziła Olga.

- Może i masz rację... gdyby każdy był taki sam, świat byłby nudny - powiedział i pocałował córkę w czoło.

Wydawało się, że w ciągu tego jednego wieczora Olga mentalnie dojrzała, zmieniła się, a przede wszystkim spojrzała na swoją rodzinę z zupełnie innej perspektywy.

*

Był środek nocy, kiedy drzwi od klatki otworzyły się i Olga wybiegła na ulicę Staffa. Na końcu drogi, zaraz za komisariatem, skręciła w prawo i znalazła się na wąskiej, nieoświetlonej ścieżce. Właśnie przechodziła ulicą Reymonta i mijała dwie ogromne posiadłości, ale była zbyt zamyślona, aby przestraszyć się nieboszczki stojącej rzekomo na spiczastym dachu jednej z nich. Gdzieś w głębi, bliżej rzeki, woda przedostawała się przez tamę. Znikąd nie docierało tutaj światło ulicznych lamp, dlatego dziękowała Bogu, że księżyc tej nocy przybrał niemal pełny okrągły kształt, uprzyjemniając jej drogę, o ile było to w ogóle możliwe.

W głębi duszy Olga najbardziej na świecie pragnęłaby teraz wrzeszczeć. Gdyby nie środek nocy i prawdopodobieństwo, że obudzi któregoś z mieszkańców, darłaby się na całe gardło. Dopiero pośród chwastów i wysokich zarośli schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać, naprawdę głośno ryczeć. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była egoistyczna, jak bardzo uprzykrzała życie ojcu i jak mocno zaniedbywała brata. Dopiero teraz pojęła, że najłatwiej obwiniać innych i znęcać się nad najsłabszymi, a najtrudniej nauczyć się żyć, gdy to życie nas rozczarowuje, okazuje się trudniejsze, a my oczekujemy od niego więcej. Minęło dziesięć minut zanim wysunęła się z zarośli, ocierając

mokrą od łez twarz.

Przeszła kilka metrów wzdłuż rzecznego wału i stanęła naprzeciwko budynku, który nie miał swojej drugiej części. Otworzyła furtkę i depcząc po rosnących pod parapetem kwiatach, zapukała w szybę jednego z okien. Ponowiła swoją czynność dwukrotnie i dopiero wtedy po drugiej stronie pojawiła się zaspana twarz Majki. Na widok Olgi Majka niemal wyskoczyła przez okno. Za chwilę obie tuliły się na środku podwórka.

- Nic ci nie jest! Mam ochotę cię zabić! - mówiła Majka. - Dlaczego nie odbierałaś telefonów, nic nie powiedziałaś?! Gdzie byłaś w ogóle?!

- Chciałam matkę znaleźć, ale w sumie dobrze, że jej nie odnalazłam, bo była zwykłą...

- Nie kończ. Ważne, że masz świetnego ojca! - powiedziała Majka, jakby wyczuwając przygnębienie Olgi. - Wie, że wróciłaś?

- Tak, wie - szepnęła.

Majka nigdy nie widziała koleżanki w takiej rozsypce. Wiedziała, że musiało stać się coś ważnego, ale przeczuwała również, że nie jest to najlepszy moment na zwierzenia.

Olga powiedziała Majce, że Mikołaj zaginął w bunkrze, a jej ojciec wskazał policji trzech podejrzanych chłopaków, którzy mieszkają w pobliskich barakach. Majka od razu żywo zareagowała.

- Spotkałam ich ostatnio. Olga, nie chcę cię straszyć, ale sama wiesz, że oni są popierdoleni - mówiła, nie ukrywając przerażenia. - Czekał tutaj. Wezmę wszystkie latarki, jakie

mam w domu, i powiem, że razem z twoim tatą idziemy szukać Mikołaja.

Gdy wracały ulicą Staffa, idąc w stronę kamienicy, ojciec Olgi już na nie czekał.

Zegary wskazywały godzinę trzecią. Odkąd Mikołaj wszedł do bunkra, minęło około ośmiu godzin. Noc była ciepła i cicha. Spokój zakłócał jedynie przejeżdżający od czasu do czasu pociąg.

Weszli na szkolne boisko, minęli plac zabaw i parking, następnie skręcili obok starego budynku, który służył za szkolną świetlicę, i dotarli na miejsce. Ojciec Olgi pochylił się nad wjazdem i mocno szarpnął za wystający metal. Beton oderwał się od podłoża i odkrył czarny wlot.

- Trzymajcie, dziewczyny, latarki, ja zeskoczę pierwszy.

Za chwilę cała trójka znalazła się w środku bunkra.

- Mikołaj! - jako pierwsza krzyknęła Olga. Będąc tu z ojcem, oświetlając latarkami wnętrze, w ogóle nie czuła strachu.

Podobnie Majka, na ogół strachliwa, niechętna do podziemnych wycieczek - teraz pragnęła odnaleźć małego chłopca, którego znała odkąd rodzina Kwiatkowskich pojawiła się w miasteczku. Za każdym razem, gdy przychodziła do Olgi, Mikołaj był w pobliżu i zajęty swoimi sprawami, w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Ale wystarczyło do niego podejść i usiąść obok, a chłopiec, nie patrząc nigdy w oczy, podawał kredki i kładł pod nos kartkę. W ten sposób zapraszał do wspólnej zabawy.

- Mikołaj! - krzyknęła ponownie Olga.

Wszyscy stanęli nieruchomo i nasłuchiwali jakiegokolwiek innego odgłosu niż własnych oddechów.

- Nie mam pojęcia, gdzie mam go szukać. Gdyby szedł tu o własnych siłach i na własnych nogach, oddaliłby się od wjazdu kilka metrów - twierdził ojciec. - Ci gówniarze mu pomogli. Tak naprawdę może być wszędzie, możliwe, że go stąd w ogóle wyciągnęli i zamknęli nie wiadomo gdzie... Nie wiem, boję się myśleć - przyznał i przykucnął, zasłaniając twarz rękami.

- Tato, odnajdziemy go - jestem tego pewna!

- To dlaczego nie płacze, nie woła, nic!

Pod ziemią było kilka stopni mniej niż na dworze. Chłód ciągnął od dołu.

- Mikołaj! - krzyknął mężczyzna.

Nie przypuszczał, że kilkadziesiąt metrów pod jego stopami, za krętymi schodami, mały chłopiec najpierw poruszył paluszkami, później, wciąż leżąc na ziemi, obtarł krwawiące kolano o podłogę. Na końcu otworzył oczy, ale w ciemnościach niczego nie dostrzegał. Słyszał znajomy głos, pragnął być jak najbliżej niego, ale docierał do jego uszu z daleka i zaraz niknął. Chłopiec dygotał z zimna, na całym ciele czuł ból i nie rozumiał, z jakiego powodu znalazł się tak daleko od głosu, który go woła. Próbował otworzyć usta, zdawało mu się nawet, że mówi „Mik laj tu”, ale tak naprawdę buzię miał cały czas zamkniętą. Dziecko nie było świadome, że ponownie przymknęło oczy. Chłopiec myślał, że krzyczy i płacze, a tymczasem leżał skulony i gdyby nie ledwie dostrzegalne ruchy klatki piersiowej, nie dawałby już oznak

życia. Co jakiś czas słyszał swoje imię, wtedy robiło mu się cieplej i czuł się spokojniejszy. Zasypiał.

Oświetlali właśnie schody, z których spadł Mikołaj. Nie zauważyli, że przy ostatnim stopniu leżą małe okularki. Szli coraz głębiej. Nie mieli żadnego planu poszukiwań. Po prostu chcieli dotrzeć do jak największej liczby pokoi. Wszyscy starali się zapamiętać drogę. Świadomie wybierali korytarze, zatrzymywali się przy wnękach i tunelach, dokładnie oświetlali przejścia, dlatego nie bali się, że nie trafią z powrotem do wjazdu. Nie spieszyli się, poruszali się ostrożnie i za każdym razem, kiedy wchodzili do jakiegoś pomieszczenia, mieli nadzieję, że znajdą Mikołaja. Niestety mijali kolejne izby i komory, a nie trafili na żaden ślad. Za to co pewien czas pojawiały się małe zielone drzwi; za każdym razem były zamknięte.

Zeszli na niższe piętro, ale w dalszym ciągu od Mikołaja dzieliły ich cztery poziomy.

- Już szósta - powiedział ojciec Olgi. - Musimy zawracać.

- Dlaczego? Przecież go nie odnaleźliśmy.

- No właśnie. Sami nie mamy rady. Trzeba znać te bunkry, wiedzieć, w którą stronę iść, na co można trafić. Muszę porozmawiać z policją. Możliwe nawet, że już się ze mną kontaktowali. Powinienem być cały czas pod telefonem, zgłosić się na komisariat. Niepotrzebnie was narażam. Tu jest niebezpiecznie, łatwo można spaść, zgubić się - mówił ojciec. Wydawało się, że jest coraz bardziej zdenerwowany i zaczyna tracić nadzieję.

Kiedy wyszli z podziemi, wjazd był już otoczony taśmami.

Po okolicy kręcili się policjanci. Rozpoczęto poszukiwania.

- Dziewczyny, idźcie odpocząć, ja tu z panami zostanę - powiedział ojciec Olgi.

Moment wcześniej zobaczył idącego w jego kierunku komendanta i po wyrazie twarzy funkcjonariusza domyślił się, że zaraz otrzyma złe wieści.

- Panie Kwiatkowski, jesteśmy po przesłuchaniach chłopców, których nam pan wskazał. Wszyscy są nieletni. W takim wypadku niewiele możemy zrobić, tym bardziej, że wypierają się i twierdzą, że widzieli Mikołaja w bunkrze, ale nawet do niego nie podeszli - tłumaczył policjant. - Skierowaliśmy sprawę do sądu rodzinnego i sądu dla nieletnich, ale na razie to wszystko...

- Czyli wypuściliście ich?

- W postępowaniu wobec nieletniego prawo nakazuje nam kierować się przede wszystkim ich dobrem. Wzięliśmy pod uwagę stopień ich demoralizacji, w przypadku jednego z nich dostrzeżliśmy zakłócenia funkcji psychicznych, ale takie sprawy prowadzi sąd rodzinny, nie my.

- Rozumiem...

- Rozmawialiśmy z profesorem Lewandowskim... z tym starszkiem, który mieszka w tym domu na Reymonta.

- Tak...

- On kiedyś wykladał nauki historyczne. Myślałem, że pomoże nam stworzyć jakiś plan działania i powie, jak rozległe są te bunkry, ale niestety, nie potrafił nam pomóc. Dał nam jednak kontakt do swojego przyjaciela, który prowadził tu kiedyś jakieś badania. Dobra wiadomość jest taka, że mamy

projekt schronu i możemy podzielić się na zespoły. To na pewno usprawni i przyspieszy nasze działania.

- A zła?

- Że nawet mając do dyspozycji pięć, dziesięć, piętnaście zespołów... Nasz schron jest jednym z największych w Europie i najmniej o nim wiadomo... Poszukiwania mogą potrwać... Ze względu na to, że miejsce jest zbyt niebezpieczne, nie możemy zaangażować ochotników i pana też prosiłbym o zostawienie tej sprawy nam. Niech pan nie szuka syna na własną rękę. My zrobimy wszystko, co trzeba - zapewniał komendant.

- Co powiedziałaś ojcu? - zapytał komendanta jeden z policjantów zaraz po tym, jak ten oddalił się od pana Kwiatkowskiego.

- Prawdę... Przekazaliśmy sprawę do sądu i tyle... Co miałem powiedzieć? Że najprawdopodobniej banda wyrostków zabiła mu dziecko? Że jeden z nich nie powinien opuszczać szpitala psychiatrycznego i nie ma pojęcia, że zrobił coś złego, a drugi to świadomy, wyrachowany, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów socjopata?

- Myśli pan, że szukamy już tylko zwłok?

- Jestem pewny... Najgorsze jest to, że wypuściliśmy na wolność chłopaków, którzy dopiero się rozkręcają. Widziałem film w telefonie jednego z nich. Gnoje nakręcili, jak znęcają się nad tym kotem, co go przy skałkach znaleźliśmy.

- Filmowali to?! - dopytywał policjant, nie mogąc uwierzyć w okrucieństwo nastolatków.

- Gdybyś widział, ile im to sprawiło radości... Prześcigali się, który z nich jest większym sadystą, który z nich powinien

odgrywać główną rolę, dzięki komu kot bardziej krwawił i głośniej ryknął z bólu. Ten Emil, rudy chłopak, użył worka, jakiegoś ostrego scyzoryka, w ręce trzymał nawet młotek. Gdy już było po wszystkim i wydawało się, że koniec zabawy, Rudy krzyknął: „Czekaj! Czekaj! ”, wyciągnął z ust papierosa i wsadził kotu do pyska – opowiadał komendant. – Prawdziwy świr, szef całej tej chorej bandy, do szpiku kości przesiąknięty złem.

Młodszemu policjantowi odjęto mowę. Widział zwłoki zwierzęcia, więc potrafił sobie wyobrazić, co musiało je spotkać.

- A ten dzieciak... co im zawinił? Co się dzieje z tymi młodymi ludźmi? – głośno myślał.

- Zadaję sobie to pytanie, ilekroć zaglądam na portale informacyjne albo włączam telewizję – zaczął swoją odpowiedź komendant. – W ostatnich latach przestępczość wśród nieletnich gwałtownie wzrosła. Zaczyna się od kradzieży, pobic, agresji wobec zwierząt, a kończy na gwałtach i zabójstwach, często brutalnych. Myślisz, że te trzy mamusie, które czekały w korytarzu, nie wiedziały, że ich dzieci to młodzi bandyci? Zapytaj się jej, ile razy po pysku od synalka dostała? A gdzie najczęściej jest jej mąż? – pytał komendant i nie czekając na reakcję młodego policjanta, sam udzielił odpowiedzi: – W knajpie. Matki usprawiedliwiają swoje dzieci przed policją, nauczycielami, sąsiadami... Wiesz dlaczego? – Policjant pokręcił głową. – Bo czują się winne. Te często wrażliwe i zapracowane panie są w środku kłębkami nerwów. Jak mąż wracał pijany, kto obrywał? Syn. Dziecko po

raz pierwszy dowiaduje się, czym jest przemoc od własnych rodziców. Dorasta, staje się silniejsze i używa jej, bo agresji zostało nauczone, odkąd przestało robić w pieluchy...

- A dlaczego dziecko?

- Bo jest od nich słabsze, po prostu - bezbronne. Może jest to rodzaj odwetu: „Ja zostałem skrzywdzony, teraz ty doświadczysz na własnej skórze, czym jest ból ”. Nie wiem, psychologiem nie jestem, w głowie tych nastolatków nie siedzę, ale widzę skutki codziennie, więc nic dziwnego, że zastanawiam się nad przyczyną.

Dobra, panowie, rozpoczynamy! - krzyknął i zaczął organizować przeszukiwanie bunkrów.

ROZDZIAŁ IX

Chłopak o rudych włosach zszedł ze ścieżki, która prowadziła nad jezioro, i skręcił w wąską żwirówkę. Po lewej stronie mijał trzepak, a po prawej i rozwieszane pranie sąsiadów. Dotarł do murka, wzdłuż którego stali od rana osiedlowi pijaczkowie. Przechodząc obok nich, można zaczerpnąć zapachu alkoholu, papierosów i brudnych przepoconych ciał. Na końcu murka znajdowały się czterostopniowe schody, prowadzące do – jednego z wielu w tych okolicach – baraku.

Budynek był bardzo długi, ale do środka można się było dostać tylko przez jedne drzwi, które zawsze stały otworem. Za otwartymi drzwiami wejściowymi wchodziło się w korytarz przechodzący przez całą długość baraku. Na końcu korytarza mieściła się łazienka – wspólna dla wszystkich mieszkańców. Po jednej stronie korytarza znajdowało się czworo drzwi, po drugiej troje – w sumie barak zamieszkiwało siedem rodzin. Niemal każda z tych rodzin była rodziną wielodzietną – w efekcie z łazienki jednego dnia korzystało prawie pięćdziesiąt osób. Na korytarzu nie wisiała karta dyżurujących, którzy zobowiązują się do sprzątnięcia toalety.

- Ej, Krzychu, stara cię do mieszkania nie wpuściła? -

zapytał Emil śpiącego na podłodze sąsiada, kopiąc go w żebra.

- Wstaw gaz, czajnik i wodę... - bełkotał pijany sąsiad.

- Chyba wodę w czajniku na gaz - cieszył się Rudy.

W tym samym czasie, gdy to mówił, drzwi od mieszkania sąsiada otworzyły się i wybiegło z nich dwuletnie dziecko w samej pielusze. Dziewczynka biegła bosą, nie spodziewała się, że śpiący na korytarzu tata postanowi wyprostować nogi akurat w momencie, gdy będzie przechodziła obok. Dziecko przewróciło się i uderzyło czołem o ścianę. Zaczęło płakać, ale nikogo oprócz dziewczynki i jej pięcioletniego braciszka nie było w jednopokojowym mieszkaniu. Z minuty na minutę guz nad jej brwią robił się coraz większy, a pijany mężczyzna przewrócił się na drugi bok, podłożył rękę pod głowę i chrapnął głośno dwa razy.

Matka Rudego wyszła na korytarz.

- Znowu ryczy, nikt tego dziecka nie pilnuje! A ty do domu, ale już! - krzyknęła. - Myślisz, że będę się za tobą po komendach włóczyła?! - wrzeszczała i uderzała Rudego szmatą w tył głowy.

Mieszkanie Rudego składało się z kuchni, w rogu której stał biały kafłowy piec. Do pieca przylegało krzesło, a do krzesła zlew umieszczony w szafce, której zawartość zasłaniał kawałek podartego prześcieradła. Chłopak nabrał powietrza w usta, robiąc bańki z własnych policzków. Usiadł na krześle, odchylił głowę do tyłu i ruszał wypełnioną powietrzem buzią, wydając dźwięki przypominające beknięcie. Matka stała nad nim i darła się, że sprawia same problemy, mówiła coś o pracy i braku pieniędzy, później wyzwalała go od śmierdzących leni

i sępów. Rudy przyknuł powieki, zamknął usta, po czym otwierał je i wyginał na różne sposoby. Raz wydawało się, że otwiera jadaczkę, żeby coś powiedzieć, innym razem, żeby ziewnąć, a jeszcze innym, aby pokazać matce, jak bardzo ją ignoruje.

Drugi pokój służył za sypialnię dla całej rodziny. Przez małe, jedyne w tym mieszkaniu okienko przedostawało się ostre południowe słońce. W tej chwili na wersalce siedziała ruda ośmioletnia dziewczynka i oglądała bajkę. Przerwała oglądanie w chwili, kiedy matka tłukła jej starszego brata po głowie. W mieszkaniu zrobiło się głośno, dlatego paromiesięczny chłopiec obudził się i zaczął drzeć się na całe gardło. Dziewczynka zerwała się na równe nogi i podeszła do stojącego wózka. Im gwałtowniej bujała wózkiem, tym niemowlę głośniej ryczało.

- Odejdź! - krzyknęła matka i odepchnęła rudą ośmioletkę na bok. - Taki jak ojciec! Do roboty idź, zajmij się czymś! Myślisz, że będziesz tu wiecznie za darmo siedział!? - darła się do Rudego. - Rachunki niezapłacone! Kto to ma zrobić, ja?! Zapytaj swoich kolegów, może ci pieniądze dadzą, skoro tak chętnie wyciągają cię z domu! Widzisz, co narobiłeś?! Brata obudziłeś, teraz go usypiaj! Darmozjad! - krzyczała, trzymając niemowlę w rękach, po czym odłożyła dziecko do wózka, poszła do kuchni i odpaliła czwartego dzisiejszego dnia papierosa.

W kuchni bez okien, dym szczypał w oczy. Nikt nie zwrócił uwagi, że dziewczynka, która dwie minuty wcześniej oglądała bajkę, wyszła z mieszkania.

*

- Spóźniłeś się, człowieku! - powiedział oparty o trzepak Wojtek.

- Wiem, matka od rana świra dostaje! - tłumaczył się Rudy. - Gdzie głąb?

- Też już idzie. Nieźle nas wczoraj przetrzymali...

Rudy wzruszył ramionami.

- Co oni mogą?! Nic na nas nie mają. Niepotrzebnie Drągał wygadał akcję z kotem, ale po tym baranie można było się tego spodziewać - powiedział, wsadzając źdźbło trawy między zęby.

- Siema, mistrzowie! - krzyknął z daleka Drągał, zdejmując słuchawki z uszu.

- Siema, matole! - przywitali go koledzy.

- Co tam?

- Tam to nie wiem, ale tu to trzeba jakąś kasę skołować - stwierdził Rudy, a Drągał zaczął się śmiać. - Gdzie Grubasa możemy znaleźć? - Na po pytanie Dryblas znów parsknął.

- Dzisiaj go jeszcze nie widziałem, ale kasa by się przydała - przyznał Wojtas, oglądając swoje dziurawe adidasy.

- Poczekamy tu, w końcu wyłoni się z mieszkania. Obżartuch wstrętny - dodał Rudy.

- Beczka łoju! - wykrzyczał Drągał.

Chłopiec, którego przezywano na osiedlu Grubasem, miał na imię Kuba i był jedynym otyłym nastolatkiem w tym miasteczku, co nie uszło uwadze jego rówieśników. Przeprowadził się tu z rodzicami osiem lat temu z Poznania

i najprawdopodobniej każdego rana, gdy się budził, przeklinał ten dzień w myślach.

Właśnie wyszedł na spacer ze swoim jamnikiem, kiedy doskoczyło do niego trzech bardzo dobrze znanych mu tutejszych chłopaków.

- Widzisz, jamnik taki pociągły i długi, a ty taki krótki i gruby! - zaczął Rudy.

- Bolek i Lolek - dorzucił Wojtas.

Kuba natychmiast poczuł gwałtowny skurcz żołądka, a w gardle utknęła mu ogromna gula. Na policzkach od razu pojawiły się rumieńce, jeszcze mocniej uwypuklające okrągłą buzię chłopca. Gdy widział tych chłopaków, za każdym razem nogi się pod nim ugiwały i nieświadomie przyjmował pozycję obronną.

Jedna z najbardziej drastycznych sytuacji miała miejsce zimą ostatniego dnia 2004 roku, kiedy rodzice Kuby zostawili swojego jedynaka, a sami wyjechali za miasto świętować Nowy Rok. Chłopiec specjalnie nastawił sobie budzik parę minut przed północą, żeby nie przegapić corocznego widoku sztucznych ogni. Gdy tylko któryś z sąsiadów wystrzelił pierwszą petardę, on uchylił drzwi i wyszedł na zewnątrz. Nie spodziewał się przebywać na dworze dłużej niż dziesięć minut, więc nie włożył zimowych butów ani czapki. Wsunął nogi w kapcie, narzucił na pasiastą piżamę puchową kurtkę i wyszedł z domu. Śnieg mocno zacinał, więc za chwilę szczypała go z zimna buzia i pierzchły zmarznięte wargi, które oblizywał za każdym razem, gdy wiatr dmuchał mu w twarz, zdejmując przy okazji naciągnięty na głowę kaptur.

Wybiła długo oczekiwana północ. Kuba dygotał z zimna, ale nie zamierzał wracać do domu dopóty, dopóki sąsiedzi nie wystrzelą wszystkich rac, które przygotowali na tę noc. Ogromna radość wstąpiła w chłopca, gdy każda po kolei sunęła do góry, czyniąc na niebie taniec świateł i błysków. Ludzie stojący wokół niego stukali się kieliszkami i przechylali do ust butelki z szampanem. Ta chwila była wyjątkowa; nie tylko dla niego.

Dopiero przeszywający go do kości mróz, uprzytomnił mu, że koniec tego corocznego przedstawienia i czas wracać do ciepłego domu. Gdy się odwrócił, zobaczył stojących nieopodal chłopaków, którzy wskazywali palcami w jego kierunku. Mieli prawo być rozbawieni, bo rzeczywiście wyglądał dosyć śmiesznie. Krytycznym okiem spojrzął na swoje kapcie i dopiero teraz dotarło do niego, że wsunął na stopy dwa puchate niedźwiedzie. Na domiar złego oprócz brązowych misiów, założył pasiastą frotową piżamkę w kolorze niebieskim, co nieco gryzło się z ciepłą barwą kapci. Nie dało się nie zauważyć tego niefortunnego zestawu, który nieświadomie dobrał w sylwestrową noc. Pluł sobie w brodę – w końcu otyłość, z której zdawał sobie sprawę, nie musiała iść w parze z totalnym brakiem gustu. Zrobił się na twarzy trochę bordowy, ale nie sądził, że jego strój może kimś tak bardzo poruszyć i być początkiem najgorszej nocy w życiu.

- Grubas sam w domu! - zaczął któryś z nich. Kuba nie pamiętał później który, bo ich śmiechy zlewały się w jeden wielki ryk.

- Pewnie ogląda *Grubego i chudego*.

- A może dzisiaj ktoś go zaprosił na pizama party!

Kuba postanowił zignorować zaczepki chłopaków. Wtedy jeszcze nie wiedział, że zrobił właśnie największy błąd - oni nienawidzili być ignorowani.

- Nie chcesz, żebyśmy dołączyli do twojej pizama party? - zapytał najprawdopodobniej Rudy.

- Nie ma żadnej pizama party - odpowiedział Kuba i szedł na skróty, aby jak najszybciej oddalić się od złośliwej grupki rówieśników. Nie zwracał już uwagi na to, że wchodzi materiałowymi kapciami w śnieżne zasy. Gdyby miał teraz rower, zapewne pedałowaliby najszybciej, jak to możliwe. Czuł, jak jego wnętrzności zaczynają się oplatać, tworząc supeł i podchodząc mu do samego gardła.

- Może w twoim ciepłym domu znajdzie się miejsce dla trzech nowych przyjaciół? Chętnie byśmy zobaczyli, gdzie Grubasek tak syto jada...

Kuba już wiedział, że nie będzie łatwo wrócić do mieszkania, unikając problemów. Pomyślał, że najlepiej będzie, jak nie odpowie ani nie spojrzy już w ich stronę. Tak robił do momentu, kiedy poczuł gwałtowny ból przeszywający jego ramię. Ktoś z tyłu ścisnął go za mięsień, coraz mocniej wbijając paluchy w ciało i powodując, że wreszcie Kuba klęknął na śniegu, wyjąc z bólu. Dopiero teraz zrozumiał, że jego taktyka polegająca na ignorowaniu jest nieskuteczna, bo trafił na kogoś, kto uważa siebie za Boga.

- Czy twoi arystokratyczni rodzice nie nauczyli cię szacunku? Jak cię o coś pytamy, to ty odpowiadasz, jasne? - pytał rudy chłopak, uderzając Kubę w twarz.

To nie było silne uderzenie, ale Kuba myślał, że takie będzie, więc zawczasu położył się na ziemi. Wiedział, że w ich oczach stał się teraz najbardziej żalonym grubasem chodzącym po tym świecie. Okazało się to dla niego jeszcze dotkliwsze. Wolałby, żeby porządnie mu przyfasolili, żeby zbili go na kwaśne jabłko, niż aby zobaczyli na własne oczy ogromny strach, który go ogarnął. Ujawnił przed chłopakami swoją słabość: był tchórzliwy i nie zamierzał się bić.

- Widzieliście to?! - śmiał się Rudy. - Nawet się nie zamachnąłem, a Grubas przeturlał się po śniegu!

Kuba odwrócił głowę i spojrzał w stronę chłopaków. Widział ich oczy - te błyszczące, zabójcze spojrzenia, pełne nienawiści i zła. Nachylali się nad nim, trzymając ręce w kieszeniach. Klasyczny widok - trzech zwyrodnialców znęcających się nad jednym kozłem ofiarnym. Zamknął oczy. Wbijał palce w śnieg i niczego nie pragnął bardziej, jak tego, żeby sobie poszli. Mogą nawet na niego splunąć, uderzyć go dwa razy w brzuch, ale niech dadzą mu spokój. Wokół słychać było wystrzały petard, śmiechy innych ludzi stukających się kieliszkami, napojonych alkoholem. Miał wrażenie, że tylko on z jakiegoś powodu nie może obchodzić tej radosnej nocy tak, jakby chciał. Musi drzeć, kuląc się na śniegu i czekając na to, co z nim dalej zrobią.

Kuba myślał w swojej naiwności, że nowi znajomi pozwolą mu odejść. Uderzyli go, poniżyli - wystarczająco dużo jak na początek nowego roku. Ponieważ od świętujących ludzi dzieliło go tylko kilkanaście metrów, postanowił ich zawołać.

- Pomóżcie mi, ci chłopcy mnie biją! - krzyknął, nie do

końca świadomy, że coraz bardziej się pogrąża.

Nikt ze świętujących obok nie zareagował, bo piskliwy i błagalny ton Kuby wydawał się jednocześnie podszyty przedwczesną, nieuzasadnioną paniką.

Nikt tak nie podsyca agresji nieobliczalnych chłopaków jak ktoś, kto jest jej całkowicie pozbawiony. W ich mniemaniu ten jest potężniejszy, kto ma siłę i potrafi w każdej chwili z niej korzystać. Kuba, jak każdy przeciętnie rozwinięty nastolatek, tę siłę posiadał, ale zawsze ukrytą pod warstwą rozsądku, spokoju i łagodności. Na dodatek spod pasiastej piżamy wylał mu się potężny kałdun. Policzki poczerwieniały: ze wstydu, złości, bezsilności i od uderzenia. Wyglądał, jak pasiasta tocząca się kula, którą chłopcy zamierzają dla zabawy kopać, a ona ostatkiem sił próbuje wyslizgnąć im się spod nóg.

- Postawcie Grubasa na nogi i chodźcie z nim nad zalew - zarządził Rudy. Jego głos brzmiał dobitnie i stanowczo.

Stojący Drągał aż dygnął, jakby to jego miała za chwilę spotkać kara. Rudy stał nieruchomo; odchrząknął i splunął na śnieg flegmą. Obserwował kolegów, którzy chwycili Kubę za ramiona i chwiejąc się na nogach, powoli go unosili. Po krótkiej walce z nadwagą postawili wystraszonego chłopaka na nogi. Kuba stał z otwartą buzią. Oddychał szybko i płytko, łakomie chłonąc powietrze. Jeden kapeć zsunął mu się ze stopy, ale na razie mróz przegrywał ze strachem i chłopak nie czuł zimna, bólu ani nie był świadomy, że dotyka nogą wilgotnego śniegu.

Termometry wskazywały temperaturę kilka stopni poniżej zera, a trzech nastolatków prowadziło Kubę w środku nocy

nad zalew, z im tylko wiadomych powodów i w sobie tylko znanym celu.

Strach nie ustępował, a dodatkowo w drodze nad jezioro Kuba zaczynał coraz lepiej pojmować, w jakiej sytuacji się znajduje. I im więcej rozumiał, tym bardziej go to przerażało. Szedł ze spuszczoną głową, patrząc tylko pod nogi, ale intuicyjnie wyczuwał niebezpieczeństwo. Bał się unieść wzrok, jakby domyślał się, że zostanie za to natychmiast skarcony. Miał wrażenie, że idzie między potworami, którzy nawet nie rozumieją ludzkiej mowy. Słyszał jedynie, jak wypuszczają ze swoich trzewi kłęby powietrza. Szli milczący, jak strażnicy prowadzący skazańca na krzesło. Śnieg trzeszczał pod ich buciorami, ale tym razem ten odgłos brzmiał jakoś złowieszczo, bo oznaczał jednocześnie, że potwory są blisko niego.

Stopy chłopca zaczynały go szczypać i coraz mniej reagowały na dotyk. Z dala docierał do niego huk pojedynczych petard, ale nie próbował nawet spojrzeć w niebo, wbijał wzrok jedynie w śnieg i próbował omijać wystające ponad białą warstwę spiczaste przeszkody. Sterczące zamrożone gałęzie czy pourywane z dachów sople utrudniały mu drogę. Gdy zwalniał, natychmiast czuł uderzenie w plecy i słyszał krzyk: „Szybciej tłusćochu! ”.

- Widzisz, Grubasie, do czego doprowadziłeś? Trzeba było po prostu zaprosić nas do siebie.

- A to wy nie macie swoich domów? - zapytał Kuba, nie mając nic złego na myśli. Po prostu nie rozumiał, z jakiego powodu miałyby przychylić się do propozycji nieznanym

chłopaków.

- Czy ty coś sugerujesz?! Myślisz, że jesteśmy bezdomni? Grubasie wstrętny?! Masz się za lepszego, bo starzy karmią cię schabem i chipsami?! - pytał Rudy.

- Nie, ja nie miałem nic takiego... - przerwał napastnikowi Kuba, ale nie zdążył powiedzieć niczego więcej, bo Wojtas uderzył go w brzuch. Kuba zakwilił.

- Ledwie się przebiłem przez te zwały.

Idący obok Wojtasa wysoki chłopak śmiał się ze wszystkiego, co powiedzieli jego koledzy.

Całkiem przypadkiem, zupełnie niechcący - Kuba naraził się trzem osiedlowym zwyrodnialcom.

- Powiedz nam, drogi Grubasku, dlaczego jesteś dla nas taki nieuprzejmy? A może nie chcesz się z nami dzielić swoimi tłustymi potrawami, które przygotowali ci na dzisiejszy dzień rodzice?

Tym razem Kuba już nic nie odpowiedział, bo zdawał sobie sprawę, że jakkolwiek chciałby się wytłumaczyć z braku chęci zawierania z nimi znajomości, nic nie byłoby w stanie powstrzymać ich od gromu wyzwisk i chęci rozładowania siły.

Gdy dotarli nad zalew, Kuba spoglądał wokół z nadzieją, że nie są tu sami. Niestety otoczenie wydawało się jeszcze bardziej obumarłe niż za dnia.

- Mamy dla ciebie propozycję - mówił Rudy. - Teraz cię puścimy, a ty pomaszerujesz na sam środek zalewu.

Kuba miał wrażenie, że właśnie stanęło mu serce. Błagał w duchu, aby ten dzień okazał się zwykłym sennym koszmarem. Jeszcze chłopcy nie zdążyli pchnąć go w kierunku

brzegu, a on już zapierał się z całej siły piętami o zaspę.

- Przecież zalew jest zbyt słabo zamarznięty! - wykrztusił przerażony.

- Obawiamy się, że z powodu swojej tuszy, nawet gdyby od dna stanowił lodowisko, to przedostałbyś się do wód podziemnych - powiedział Rudy. Za chwilę z obu stron dotarł do jego uszu wybuch śmiechu. - Tak czy siak, powodzenia. Liczymy do stu, a ty szurasz.

- Ale dlaczego?! Co ja wam takiego zrobiłem?! - wydusił, nie potrafiąc powstrzymać wybuchu płaczu.

Było to od niego zupełnie niezależne. Skrępowane przez własny supeł wnętrzości zaczynały zaciskać się jeszcze mocniej i mocniej, jakby żołądek dostał się między przedsionki serca i próbował wydostać się krtanią na zewnątrz.

- Sam sobie jesteś winien... Nie rozumiesz? Jeżeli dostaniesz się pod lód, to tylko i wyłącznie dlatego, że jesteś gruby. W innym wypadku po prostu pójdziesz na drugą stronę i za trzy minuty znajdziesz się w domu - usłyszał w odpowiedzi.

Kuba nie wiedział, co powinien zrobić. Domyślał się, że jeśli się sprzeciwi, chłopaki pobiją go i zostawią tu nieprzytomnego, a do rana zamarznie. Zdecydował się na drugie rozwiązanie, równie niebezpieczne. Wokół chłopców panowała idealna cisza. Krajobraz wyglądał na martwy, nic nie szeleściło, w powietrzu nic nie fruwało, jedynie lekko drgały i skrzypiały cztery obracające się drewniane kocie łby.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć... - zaczął liczyć Wojtas, a Kuba zrobił pierwszy krok w kierunku zalewu.

Gdy chłopaki wykrzyczeli siedemdziesiąt, chłopiec sprawdzał stopą prawdopodobieństwo pęknięcia ledwie zamarzniętej wody.

Początek był dosyć prosty i Kuba bez problemu przeszedł dwadzieścia, może trzydzieści metrów. Szurał jedną gołą stopą po lodowatej powierzchni. Gdy odwrócił się za siebie, chłopcy, rechocząc, opuszczali teren zalewu – przynajmniej tak mu się wydawało. Pomyślał, że wróci tą samą trasą, którą przyszedł. Pomysł wydawał się tak genialny, że Kuba zbyt gwałtownie i nieostrożnie odwrócił się i natychmiast usłyszał pod sobą trzaśnięcie. Już był pewien, że leci w lodowatą wodną otchłań.

„Boże, błagam, żeby ta szczelina nie zaczęła się rozprzestrzeniać” – szlochał, będąc zbyt daleko od brzegu, aby tak po prostu się cofnąć.

Niejednokrotnie widział na filmach, że lód w ciągu sekundy potrafi pęknąć na całej swojej długości. Człowiek nagle wpada do wody, a następnie uderza z całej siły w coś, co przed chwilą stanowiło warunek przetrwania, teraz zaś jest podwodną pułapką.

Na zgiętych kolanach przesuwiał się o centymetr w każdą stronę. Zaczął panikować i nie wiedział, w którym kierunku powinien właściwie iść. Kręcił się w kółko i obserwował pęknięcie, które na tę chwilę przestało się rozgałęziać. Lód jest zdradliwy i jeden nieuważny ruch potrafi doprowadzić do przekształcenia się malutkiej ryski w rozpadlinę.

Dygocący ze strachu chłopiec stał na powierzchni, nie mogąc skupić myśli i zdecydować się na krok w którąkolwiek

ze stron. Bał się krzyknąć, wezwać pomocy. Gdy stał w bezruchu, ktoś z drugiej strony brzegu rzucił kamieniem. Kuba nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że znajduje się na samym środku zamarzniętego zalewu tylko dlatego, że komuś nie spodobała się jego pasiasta piżama. Kamień okazał się zbyt mały i nie doleciał do miejsca, w którym znajdował się chłopiec.

- Ej, Grubasie, może się przeturlaj, to będzie ci łatwiej! - krzyczeli tamci.

Ani w lewo, ani w prawo, ani w przód, ani w tył - żaden kierunek nie wydawał się bezpieczny. Kuba stał więc w jednym miejscu i postanowił poczekać na pomoc. To było chyba najlepsze z możliwych rozwiązań. Oddalony od grupki bezwzględnych nastolatków, którzy w tym momencie nie mieli już wpływu na jego bezpieczeństwo, modlił się o jak najszybsze pojawienie się nad zalewem kogokolwiek innego.

Gdy decyzja została już podjęta, przyjrzał się stanowi swojej stopy. Nie czuł jej, co było bardzo złym znakiem, bo kiedy coś boli, to znaczy, że jest. Pochylił się i zaczął ją trzeć dłońmi. Skóra nabierała różowego koloru, więc nie przestawał. Wydawało się, że pobudził krążenie, więc wsunął stopę do drugiej, którą miał zakrytą kapciem, i stał... jedną, drugą, trzecią godzinę - prawie na jednej nodze. Wszystkie mięśnie zaczynały mu sztywnieć. Odnosił wrażenie, że za chwilę całym ciężarem wygrzmoci się prosto do wody, że nie wytrzyma tego bólu, zimna i strachu. Chłopaków już dawno na brzegu nie było. Kuba poświęcił te trzy godziny na modlitwy, dlatego gdy usłyszał czyjś krzyk: „Tam ktoś jest! ” - uznał, że

zawdzięcza przetrwanie Bogu. O piątej nad ranem ktoś wyprowadził psa na spacer.

Za chwilę przyjechała karetka i policja. Po szybkim rozmowach zdecydowano, że jeden ratownik przyczepi się liną do drugiego, który będzie stał na brzegu, i pójdzie po chłopca. Tak też się stało, dlatego w ciągu piętnastu minut Kuba znalazł się na szpitalnym oddziale. Mimo wielu prób dowiedzenia się, kto jest odpowiedzialny za tę straszną sytuację, chłopiec nie wskazał winnych. Myślał, że w ten sposób zdobędzie odrobinę uznania w oczach trzech bandytów, którzy nie będą mieli powodów do zemsty i zostawią go w spokoju. W rezultacie stało się jednak tak, że od czterech lat wypłaca im regularną zapomogę, dzięki której jeszcze jest wśród żywych.

Dlatego gdy wyszedł nad ranem w piękny słoneczny dzień na spacer ze swoim jamnikiem i zobaczył trzech podchodzących do niego chłopców, wiedział, że będzie miał problemy – tym bardziej, że od dwóch tygodni nie dostawał od rodziców kieszonkowego.

- Daj dychę, a na dzisiaj masz spokój – oznajmił łaskawie Rudy, modelując swój głos na pełen łagodności.

- Nie mam – wybełkotał Kuba, coraz mocniej się czerwieniąc. – Przysięgam chłopaki, że nie mam – dodał, gdy Rudy przygwoździł go do ściany jednego z baraków.

Drągał w tym czasie palił, więc postanowił przybliżyć do ramienia chłopca żarzącego się papierosa. Chłopiec krztusił się, nie mogąc wytrzymać smrodu palonej fajki.

- Weź z domu!

- Nie mam w domu, mama wyszła do urzędu i nie zostawiła mi dzisiaj pieniędzy!

- To samo mówiłeś wczoraj, a tłuszcz od nadmiaru żarcia wylewa ci się ze spodni. Jesteś obrzydliwym spasielcem, który jak za moment nie przyniesie całej kasy, jaką ma, będzie łykał zapalonego papierosa naszego wysokiego kolegi, jasne?

Jamnik czekał, więc Wojtas go kopnął. Pies pisnął i uciekł w głąb pobliskiej ścieżki.

- To jak, kasa się znajdzie? - dopytywał się Rudy.

- Przysięgam na Boga... - Nie skończył, bo Rudy uderzał go w brzuch, po czym rzucił się na Kubę i okładał go pięściami po całym ciele.

Chłopak zwijał się po ziemi, chowając twarz w dłoniach.

Nikt nie zauważył, że przy ścianie jednego z baraków stoi Paulina. Dziewczyna wlepiła swój zimny zastygły wzrok w grupę chłopaków. Wydawało się, że nie oddycha, jakby nie potrzebowała zaczerpnąć powietrza, jakby wszystkie jej narządy wewnętrzne były tak samo lodowate i nieżywe jak spojrzenie.

- Przestańcie.

Rudy odskoczył od Kuby jak rażony piorunem i spojrzał w kierunku, z którego docierał głos. Dźwięk jak echo niósł się po barakach, lesie i skałach, by za chwilę wrócić i z opóźnieniem dotrzeć do ich uszu. To był głos Pauliny, która wyłoniła się nagle zza pleców Drągała. Dzielila ją już od nich tylko długość wystawionej ręki.

Chłopaki stanęli jak wryci, zapominając o leżącym na ziemi grubasie, i obracali głowami we wszystkie strony, byle

nie patrzeć na dziewczynę.

Paulina nie oderwała wzroku od żadnego z nich i choć wydawało się to niemożliwe, patrzyła głęboko w oczy wszystkim trzem jednocześnie. Odnosiło się wrażenie, że czas się zatrzymał. Nastąpiła jakaś sztuczna, pełna napięcia cisza. Nawet gołębie kłębiące się na dachu pobliskiego budynku przestały się poruszać, jakby odrętwiały. Rudy z tylko sobie znanych powodów nie odezwał się ani słowem i odszedł, Wojtas wsadził ręce do kieszeni i poszedł za Rudym, a Drągal włożył na uszy słuchawki i zaczął pod nosem nucić coś niewyraźnie, a za moment odwrócił się i dogonił swoich dwóch kolegów. Paulina pochyliła się nad Kubą, który nie patrzył na nikogo, tylko zwrócił się twarzą do ziemi.

- Wstań - powiedziała i podała chłopcu rękę.

Wszystkie ptaki odfrunęły.

ROZDZIAŁ X

Aby dotrzeć do rzeki, należało przebić się przez chaszczę, wysoką trawę i dziko rosnące polne rośliny. Nieliczni wiedzieli, że istnieje przejście, które pozwala uniknąć kontaktu z zaroślami, a znajduje się ono przy samym moście kolejowym.

Dawno temu któryś z lokalnych dziennikarzy uznał, że o tym moście kolejowym powinno się napisać artykuł; brzmiał on mniej więcej tak:

Stalowy most był pierwszą konstrukcją powstałą po roku 1945 i rozpoczynał żmudną odbudowę miasta, które zostało niemal doszczętnie zniszczone w trakcie wojny. W świadomości szczególnie osób starszych przyjęła się jego potoczna nazwa „Żelazny”, młodsi nazywają go „Topielcem”, ponieważ istnieje legenda, która głosi, że w trakcie jego budowy zdarzył się wypadek i do wody wpadł jeden z robotników, którego nie udało się uratować. Od rodzaju śmierci, jaką poniósł nieszczęśnik, most zyskał więc miano „Topielca”.

Jest to najprawdopodobniej most, przez który przetacza się dziennie największa liczba pociągów w Polsce.

Gdy patrzyło się na liczbę graffiti umieszczonych pod Topielcem, wiadomo było, że nie jest się pierwszym, który dostrzega przyjemność spędzania tu czasu. Obrazy, podpisy, rysunki pod mostem były anonimowe i posłużyły ich autorom do prezentacji poglądów na przeróżne tematy: począwszy od poglądów religijnych, skończywszy na nazwie piłkarskiego klubu. Widniały napisy typu: „*Bóg, honor, ojczyzna*”, „*Pedały i Żydzi do gazu*”, „*Janek kocha Kaśkę (lato 1990)*”.

Znajdowała się tu cała mozaika różności. Jakikolwiek jednak byłby cel schodzenia do rzeki przejściem obok żelaznego mostu, należało się tu spodziewać hałasu przejeżdżających nad głowami pociągów oraz samotności.

Olga dzisiaj wyjątkowo nie była samotna, bo siedziała pod Topielcem w towarzystwie trojga przyjaciół. Usiadła na kamieniu, krzyżując nogi i spoglądała w pieniającą się na tamie wodę. Próbowwała długim patykiem wyłowić pływające po powierzchni gałęzie, które zahaczały o rosnącą przy brzegu wysoką trawę.

- A jeżeli on już nie żyje? Minęło dwanaście godzin, odkąd jest w bunkrze. Wyobrażacie sobie, jaki on musi być przerażony? - pytała i dziobała patykiem w dno rzeki. - Nienawidzę tego miejsca! Zadupie, w którym policja nie daje rady odnaleźć jednego dzieciaka! Ale ja byłam głupia! Wiecie, że miałam do niego pretensje o to, że jest upośledzony!? Jakby to była jego wina!

- Olga, to akurat normalne. Miałaś prawo być wściekła. Łatwo osądzać kogoś, kto na co dzień nie miał do czynienia z kalectwem. Perspektywa nieco się zmienia, gdy kaleką jest

ktoś bliski, z kim w dodatku mieszka się pod jednym dachem – próbował ją pocieszać Mateusz, rzucając znaleziony przed chwilą kamień do wody.

- Wiecie, że nie chodził do drugiego roku życia, a dopiero od roku mówi na tyle wyraźnie, że można go zrozumieć? Nie jest w stanie wykonać czasami podstawowych czynności, a jak chcesz mu pomóc, to krzyczy, szarpie, bije cię – robi wszystko, bylebyś przestała go dotykać. Kosmos... Nigdy nie byłam w stanie zapanować nad jego nagłym atakiem złości. Pamiętam, jak kiedyś w Wigilię ubieraliśmy choinkę. Mikołaj sięgnął do pudełka z bombkami i uparł się, żeby zawiesić bombkę na samym czubku. Tłumaczyłam mu, że tam zawsze zawieszamy specjalną, nieco większą i spiczastą bombkę i jeżeli chce, może w tym roku zrobić to on. Ale zaczął skakać, płakać i krzyczeć: „Miko laj tom chce zwiesić, tom! ”. Wierzgał rękami i zahaczył rękawem bluzki o gałązkę żywej choinki, która w sekundzie runęła razem z nim na podłogę. Zostaliśmy na święta bez choinki i z ogromnym bałaganem, który musiałam posprzątać – opowiadała Olga, chowając pukiel czarnych włosów za ucho.

W jej głosie słychać było ogromny żal. Z jednej strony wiedziała, że z niepełnosprawnością brata nie wygra i choćby wykazywała się w stosunku do niego wielką cierpliwością, choćby tłumaczyła, że pewnych rzeczy robić mu nie wolno – on i tak robi, jak zechce. Mikołaj nie przewidzi konsekwencji, bo nie umie tego robić. Nienawidziła tej jego niepoczytalności i ułomności, ale najbardziej na świecie – bezradności w stosunku do tej choroby, dlatego za każdym razem

reagowała złością i krzykiem. Z drugiej zaś strony to był jej brat, którego kochała, o którego powinna się troszczyć. Żywiła do niego dwa najpotężniejsze uczucia: miłość i nienawiść.

Tego dnia słońce grzało mocno, delikatny wietrzyk poruszał wysoką trawą, a pod stopami Olgi i jej przyjaciół gromadziło się pokaźne mrowisko. Dłubała patykiem w ziemi, zmieniając mrówkom wytyczoną przez nie trasę. To była idealna pora, aby wydusić z siebie więcej.

- Zawsze ciekawiło mnie, o czym myśli albo jak patrzy na świat... - zaczęła.

- Po swojemu... tak myślę - odpowiedziała Majka. - Inaczej, nie gorzej, po prostu inaczej - dodała. - Myślę, że są zjawiska, obok których ty przejdziesz obojętnie, a on, gdyby umiał, napisałby o nich książkę - powiedziała jeszcze, delikatnie się uśmiechając. Nie było w tym uśmiechu radości, raczej współczucie i próba pocieszenia. Znalezienia w chorobie chłopca czegoś pozytywnego.

Nastała cisza. Karol i Mateusz, którzy siedzieli blisko dziewczyn, nie potrafili powiedzieć niczego więcej, co mogłoby oderwać ich koleżankę od tych przygnębiających myśli. Patrzyli po sobie. Obaj czuli skrępowanie. Wydawało się, że rozmowa o chorobie ich onieśmiela, a może po prostu brakowało im słów.

- Sądzę, że on wszedł tam za mną - wypaliła nagle Olga. - Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, żeby zejść do bunkra. Mój ojciec codziennie mu to powtarzał, on wiedział, że nie może, mówił: „Miko laj do bunkra nie”. Stał przed

drzwiami i dokładnie tak mówił – wspominała dziewczyna, wycierając spływające jej po policzkach łzy.

Majka spoglądała to na Karola, to na Mateusza, bo wiedziała, że przypuszczenia Olgi są prawdziwe. Nie kto inny jak właśnie Mikołaj powiedział, że widział siostrę obok bunkra. Chłopaki poczuli się jeszcze bardziej zakłopotani.

- Olga... a czy to możliwe, żeby Mikołaj widział cię przy bunkrze, zanim uciekłaś? – dopytywała Majka.

- Niestety możliwe... dlatego uważam, że to moja wina. Zeszłym razem, gdy tam byliśmy, zgubiłam łańcuszek... głupia rodzinna pamiątka, teraz już bez znaczenia... Chciałam go odzyskać, co zresztą mi się nie udało. Mikołaj jeździł w pobliżu rowerem z tą nową, Pauliną czy jak jej tam...

- Obłąkana Wanda uważa, że ona właśnie zabiła jej syna – oświadczył nagle Karol. – Nie twierdzę, że to prawda i że jest to na teraz idealny temat do rozmowy, ale może ta dziewczyna jest też wplątana w zaginięcie Mikołaja.

- Daj spokój, ona jest niewiele starsza od nas, może nawet w naszym wieku. Wanda ją z kimś pomyliła i tyle – stwierdziła Majka.

- A ja bym do niej poszedł i spróbował z nią porozmawiać. Od razu zauważę, jeżeli będzie coś kręcić – powiedział Mateusz.

- To ja pójdę z tobą... Siedźcie tu, dziewczyny, bo może uda nam się ją tu przyprowadzić – zaproponował Karol i razem z Mateuszem poszli waleń w kierunku ulicy Staffa.

*

Tymczasem trzech chłopaków siedziało na schodach jednego z baraków.

- Myślę, że powinniśmy kogoś dopisać do listy... - zaczął Rudy.

- Wiem, Grubasa - odpowiedział natychmiast Wojtas.

- Dokładnie. Drągal, weź kartkę i napisz pod numerem czwartym Grubasa - powiedział Rudy i nachylił się nad Drągalem.

- Ja nie będę pisał - obruszył się dryblas.

- W sumie zapamiętamy cztery osoby... ale słyszałem, że skrupulatni, dokładni i ci, którzy mają wszystko od początku do końca zaplanowane, są najbardziej skuteczni. A przecież nam właśnie o to chodzi...

- Rudy ma rację. Trzeba być przygotowanym. Poza tym powinniśmy ustalić kolejność, miejsca - wszystko. Drągal, zapisuj.

Wysoki chłopak nie sięgnął po kartkę, którą podawał mu właśnie Wojtas.

- Co jest?! Chcesz się wycofać? Znasz zasady...

- Nie chcę, no nie? Nie w tym rzecz...

- Ja pie... on pisać nie umie! Człowieku, mamy XXI wiek! - krzyczał Rudy i wydarł z rąk Wojtasa kartkę. - Wiecie, że musimy wrócić jeszcze do bunkra? I to w miarę szybko.

- Którędy wejdziemy? Oba wloty są zajęte przez policję. Tyle glin się tam kręci, że nie ma szans się prześlizgnąć, a do nocy nie będziemy chyba czekać - mówił Wojtas i spoglądał na Rudego.

Opinia Rudego miała dla pozostałej dwójki największe

znaczenie.

- Nie możemy czekać. Za duże ryzyko. Jest w dobrym miejscu ukryty, ale trzeba pamiętać, że gliny sobie wszystko dokładnie przeanalizowały i mają projekt bunkra. Jeżeli podzielą się na zespoły, to do wieczora powinni go odnaleźć, a jak wiadomo - my musimy być pierwsi.

- Staniemy na podium! - cieszył się Drągal, ale tym razem ani Wojtas, ani Rudy nie spojrzeli w stronę kolegi.

- Nie wejdziemy ani przez właz, ani przez klapę... ale przez warszawiak.

- Przez warszawiak? - dopytywał Wojtas, nie wiedząc, do czego zmierza Rudy.

Warszawiakiem nazywano dom, którego budowa z niewiadomych przyczyn została przerwana. Właścicielem tej działki mieszczącej się niedaleko zalewu był przedsiębiorca z Warszawy. Mężczyzna zaczął budowę domu w tym samym czasie, w którym powstawały kamienice na ulicy Staffa, i nigdy nie wrócił. Domu ani nie rozebrano, ani nie sprzedano. Piętrowy budynek stał w stanie surowym. Mieszkańcy potrafili wykorzystać go dla własnych celów: dzieci uznały warszawiak za idealne miejsce do zabaw, młodzież najczęściej ukrywała się tam przed rodzicami i sąsiadami, przychodząc na wagary, a dorośli, których można było spotkać w warszawiaku, to pijacy albo bezdomni, chcący zimą schować się przed mrozem.

- Do bunkra można się dostać przez piwnicę - tłumaczył Rudy.

- Skąd wiesz?

- Nieważne, uwierz mi, nie chciałbyś wiedzieć... Po

wszystkim może ci opowiem - zaśmiał się tajemniczo Rudy i mrugnął do Wojtasa.

Warszawiak nie był ogrodzony, wokół niego właściciel ustawił jedynie prowizoryczną siatkę, która od dawna była pourywana, gdzieniegdzie podziurawiona - na pewno nie chroniła domu przed niechcianymi gośćmi. Gdyby właściciel dokończył budowę, byłby to z pewnością najbardziej oryginalny i nowoczesny - możliwe, że do tej pory - dom w tym miasteczku. Dach warszawiaka miał kształt czteroramiennej gwiazdy, okna miały być różnych kształtów i rozmiarów. Na froncie znajdował się okrągły otwór, od strony północy trzy podłużne prostokąty, od wschodu cztery małe kwadraciki, a od zachodu nieco większe, ale standardowe framugi dwóch okien. Poddasze nie miało podziału na pomieszczenia, a cała jedna ściana była lustrem, dlatego wyglądało na to, że ta część domu była niedoszłą salą taneczną. W tej chwili to właśnie na lustrze znajdowało się najwięcej podpisów, sentencji i rysunków, ale w niektórych miejscach lustro było popękane i brakowało jego fragmentów. Nocą na poddaszu nikt nie miał w zwyczaju przebywać, bo w ciemnościach odbicie człowieka wyglądało groźniej i mroczniej niż za dnia.

Rudy miał rację, twierdząc, że w piwnicy znajduje się wejście do bunkra, nie zdawał sobie jednak sprawy, że tak naprawdę mógłby się przedostać do bunkra przez piwnicę każdego niemal budynku w tym mieście. Wszystkie kamienice, każdy barak, domy z ulicy Reymonta, sklepy i domy z innych osiedli - wszystkie budynki powstałe między rokiem 1920 a 1939 łączyły się ze schronem. Fundamenty mieszkań były

zatem jednocześnie sufitem bunkra. W pierwotnym zamyśle bunkier miał być schronem dla mieszkańców w razie wybuchu wojny. Projektant postanowił ułatwić ludziom ucieczkę i połączył ich piwnice z podziemiami. Ponieważ bunkier nigdy nie spełnił swojej podstawowej funkcji, żaden mieszkaniec nie dowiedział się, że żyje bliżej legendarnych podziemi, niż przypuszczał.

Trzej chłopcy właśnie przedzierali się przez siatkę otaczającą dom, kiedy z drugiej strony warszawiaka przejeżdżał staruszek na wózku.

- Znowu to próchno bez nogi - rzucił Wojtas w momencie, kiedy staruszek ich mijał.

- Już niedługo - zaśmiał się Rudy. - No chyba że mu do jutra odrośnie.

Drągał wybuchnął śmiechem.

- Gdybym był waszym rodzicem... - zaczął rozgoryczony starzec.

- To, co?! - krzyknął Rudy, podbiegając do wózka. Zaczął potrząsać nim z taką siłą, jakby chciał zrzucić z niego staruszkę.

- To bym was nauczył szacunku do starszych i chorych - powiedział Pan na Wózku, nie zdając sobie sprawy, że ci młodzi chuligani wykorzystają te słowa przeciwko niemu.

Na twarzy Rudego było w tej chwili widać mieszankę furii i zawiści.

- Szacunku?! - wrzasnął Rudy. - Ja chyba się przesłyszałem... Ty mnie będziesz, kaleko, nakazywał darzyć cię szacunkiem?! Weźcie go stąd, bo nie wytrzymam. Wojtas...

ja idę zgodnie z planem dokończyć sprawę z małym, a ty pójdiesz z Drągalem na Topielca...

- No jak nie, jak tak - zaśmiał się Drągala i pierwszy podskoczył z tyłu do wózka, pchając go żuźlową ścieżką w stronę mostu.

- Co wy, gówniarze, wyprawiacie?! - krzyczał starzec. - Puśćcie mnie! Zabierajcie te łapy od mojego wózka! - wrzeszczał zdenerwowany, ale chłopcy nie reagowali i szli w stronę rzeki, z dala od mieszkań i innych ludzi. - Ratunku, niech ktoś ich zabierze!

- Stul dziób! - odpowiedział Wojtas. Nie był zdenerwowany, raczej podekscytowany.

Wojtas miał z natury delikatne, dziewczęce rysy, ale w tej chwili jego twarz nabrała ostrego wyrazu. Zaciśnął szczęki, poczerwieniał, przymrużył oczy i wydawało się, że za chwilę eksploduje od gniewu. W tej chwili przypominał porywacza czekającego na okup, któremu sprytem odebrano licytowane trofeum.

Staruszek szamotał się, odwracał i próbował oderwać zaciśnięte dłonie chłopców z uchwytów wózka.

- Opowiedz nam, dziadku, w jaki sposób straciłeś swoją kończynę - zaproponował Wojtas.

- Kończyna! - powtórzył Drągala, śmiejąc się, bo dostrzegł w nazwie coś zabawnego.

- Zachorowałem i... - zaczął staruszek, ale Wojtas nie pozwolił mu dokończyć.

- No właśnie, zachorowałeś... Może gdybyś tę nogę stracił na wojnie albo w jakimś wypadku, ale nie, ty po prostu

w naturalny sposób zostałeś kaleką - dedukował chłopak. - Tu nas nikt nie widzi... powiemy ci, o co w tym wszystkim chodzi. Robimy to dla dobra ogółu. Społeczeństwo będzie nam za to kiedyś wdzięczne - powiedział Wojtas. - Wszyscy przestaną w końcu na was płacić.

- Obliczyliśmy kiedyś, że średnio co dwanaście minut przejeżdża tędy pociąg - oświadczył, gdy zbliżali się do Topielca.

Z dala most wyglądał przerażająco. Jego stalowa konstrukcja sięgała wyżej niż przewody elektryczne, a pordzewiała kratownica oblepiona była wronami, które nie odlatywały nawet wówczas, gdy pod nimi przetaczał się pociąg.

- Ostatni przejeżdżał, jak byliśmy na tej ścieżce, czyli mamy około dziesięciu minut - oznajmił i spojrzał w stronę Drągala, mówiąc: - Za tymi krzakami jest wszystko, co będzie nam potrzebne. Przynieś mi to.

Drągala wrócił za moment, trzymając w rękach dwa sznury i długi kabel. Wojtas odebrał jeden sznur i chciał opleść nim dłoń starca, ale dziadek nie dał się tak łatwo unieruchomić.

- Proszę, jaki waleczny! Dziadku... daj spokój, bo przed wrzuceniem cię na tory utnę ci drugą nogę - powiedział i z całej siły skręcił staruszkowi dłoń w nadgarstkach i zawiązał z tyłu pętle.

Dziadek zawył z bólu. Tym sposobem siedzące pod mostem dziewczyny zorientowały się, że nad nimi dzieje się coś niedobrego. Wychyliły się, ale nie na tyle, aby ktokolwiek mógł je dostrzec.

- To ci goście z baraków! - ze zgrozą powiedziała do Olgi Majka, po tym jak rozpoznała twarze dwóch chłopaków. - Ci sami, którzy układali kamienie na szynach, żeby pociąg się wykoleił, i ci sami, których wskazał twój ojciec jako podejrzanych w sprawie zaginięcia Mikołaja! Olga, oni przywiązują staruszkę na wózku do mostu! - mówiła głośnym szeptem Majka, patrząc na Drągala i Wojtasa, którzy obwiązywali staruszkę linami.

W głowie miała totalną płataninę myśli. Rozglądała się wokół, chcąc dostrzec kogokolwiek, kogo mogłaby wezwać na pomoc, ale zdziczały teren świecił pustkami.

- Olga, co robimy!?! - pytała drżącym głosem, nie potrafiąc powstrzymać narastającej paniki.

Olga, w przeciwieństwie do Majki, nie straciła głowy. Rejestrowała fakty i równie szybko je analizowała.

- Nie możemy się ujawnić, bo nas przywiążą obok. Na wzywanie pomocy jest za późno. Cicho! Nie ruszaj się i słuchaj, co mówią - powiedziała Olga i przetrzymała podskakującą z nerwów koleżankę.

Majka była bliska płaczu, a jej wybuch rozpacz z pewnością zwróciłby uwagę małoletnich przestępców.

Na moście rozlegało się niemożliwe do opisanego darcie.

- Pomocy! - krzyczał staruszek. - Pomocy, oni mnie zabiją!

Pan na Wózku nie miał połowy włosów na przedniej części głowy, dlatego spod siwych cienkich kosmyków wyłaniała się czerwona skóra, a na czole widoczne były granatowe pulsujące żyły.

- Zatkaj mu czymś mordę! - wrzasnął Wojtas

zdenerwowany na Drągała, że ten nie reaguje na krzyki staruszka.

Drągał, nie zastanawiając się zbyt długo, zdjął koszulkę i wepchnął ją starcowi do ust. Dziadek nie był w stanie wypluć materiału. Hałas ucichł. Wojtas drugim sznurem obwiązał dziadka wokół brzucha, obejmując siedzenie i uniemożliwiając tym samym staruszkowi wydostanie się z wózka. Drągał z kolei wskoczył na tory i obwiązał kablem stalowe przęsło mostu, po czym wraz z Wojtasem chwycił za wózek i ustawił go między szynami, a następnie wsadził kabel w środek kół i wysunął go po drugiej stronie, ponownie zaczepiając o przęsło mostu.

- Ta dam! Gotowe! Rudy byłby dumny!

- Rudy mistrz! Jego pomysł! - przyznał Drągał i w geście uznania dla nieobecnego kolegi klasnął w dłoń.

Staruszek znajdował się na samym środku torów, między jedną o drugą szyną, czekając na śmierć. Cały czas próbował uwolnić się z lin, ale nie miał tyle siły ani czasu, aby walczyć o życie. Liny wbijały mu się w skórę tym mocniej, im bardziej starał się wyrwać z ich uścisku. Nie zważał na ból, póki nie pojął, że przegrana jest nieunikniona. Później poczuł, że przez uporczywy wyścig z czasem, nieubłaganą i bezskuteczną szamotaninę palą go nadgarstki, jakby włożył je do żywego ognia. Nastął moment, kiedy odpuścił. To był znak, że ogarnęła go bezradność - bezradność wobec oplatającej go liny, wobec własnej bezsilności, wobec okrucieństwa i makabrycznego końca. Wlepił wzrok przed siebie, modląc się o cud. Błagał w duchu o to, aby pociąg nie przyjechał.

Patrzył na dwóch stojących tuż obok chłopaków. Nie rozumiał, dlaczego właśnie jemu chcą zadać tak bestialską śmierć i nie wahają się ani chwili.

Majka z Olgą, które z dołu przyglądały się całej sytuacji, bały się oddychać i z zamkniętymi oczami kucały za filarem Topielca.

- Boże, zrób coś - szeptała Majka! - Błagam, nie każ mi na to patrzeć! - mówiła, nie mogąc powstrzymać płaczu.

W chwili gdy Majka zaciskała dłonie jak do modlitwy, Olga otworzyła oczy i podeszła jeszcze bliżej, aby dokładnie usłyszeć toczącą się rozmowę. Miała nadzieję, że w ten sposób dowie się czegoś więcej, czegoś, co pozwoli jej odszukać Mikołaja. Imię jej brata nie padło w rozmowie, ale wypowiedź ułomnego Drągala, który do tej pory zachowywał się jak ograniczony umysłowo klaun, pozwolił jej poznać motyw morderstwa, które zamierzali popełnić.

- Społeczeństwo zawsze eliminowało najśłabsze jednostki - oświadczył nagle z powagą, jakby nauczył się tej mowy na pamięć. - Nie będziemy patrzeć, bo to byłoby zbyt okrutne i nie o to w tym wszystkim chodzi. Wybraliśmy dla ciebie szybką śmierć, bo nie chcemy zadawać ci bólu.

Wypowiedź Drągala brzmiała jak kara śmierci za niewinność. Staruszek zaczął rozumieć, dlaczego to właśnie on został przywiązany kablem do mostu. Choć na usta cisnął mu się potok słów, nie wypowiedział ani jednego. Wbijał paznokcie we własne dłonie, zaciskał oczy, nie będąc świadomym, że po szyi ściekają mu jednocześnie pot i łzy.

- Jeszcze raz powtórzę: nie chodzi nam o zadawanie bólu,

tylko o wykluczenie - powiedział tym razem Wojtas i wraz z Drągalem oddalali się od żelaznego mostu, idąc w stronę ścieżki.

Zostawili starca samego na pewną śmierć, ale nie zdawali sobie sprawy, że pod Topielcem znajdowały się dwie roztrzęsione dziewczyny.

- Majka, rusz się - poszli! Musimy zdjąć z torów staruszka! - krzyczała Olga, szarpiąc za ramię kucającą i płaczącą ze strachu koleżankę. - Mamy nie więcej niż minutę, bo ja już czuję, że nad naszymi głowami drgają szyny! - powiedziała, patrząc nad mikroskopijne ruchy torów.

Olga śmieiej ruszała na pomoc. Wiedziała, że liczy się każda sekunda. Za moment będzie toczyła walkę z czasem i z lękiem, ze zwykłym ludzkim strachem przed śmiercią, w końcu z egoizmem. Miały do pokonania wąską ścieżkę pnącą się w górę, wprost na żelazny most. Przejścia powstałe przy rzekach mają zazwyczaj na powierzchni drobne kamyczki, które zsuwają się w dół razem z butem, utrudniając dojście i grożąc upadkiem. Olga nie patrzyła pod nogi, wlepiła wzrok w próbującego rozwiązać liny staruszka i biegła ile sił w nogach, aby go uratować. Jedynym dźwiękiem, oprócz stukotu butów o podłoże, był szum wody przelewającej się przez sztuczną zapórę i dochodzący z oddali intensywny dźwięk stykającego się ze sobą żelastwa.

Jako pierwsza na most wbiegła Olga, zaraz za nią Majka, która w tej chwili pragnęła uciec i nie była zdecydowana, czy dla obcego człowieka chce narażać własne życie. W tym momencie dostrzegł ich staruszek. Jeszcze nigdy nie widziały

kogoś, kto miał tak przerażony wzrok.

- Zostaw ten kabel! - krzyczała do Majki Olga. - Wózka nie zdążymy stąd ściągnąć! Pomóż mi odwiązać tę linę, która przytwierdza staruszka do oparcia! Majka, spójrz, ta lina, nie ta wokół dłoni! - tłumaczyła Olga, ale zdolności logicznego myślenia Majki były w tej chwili wyłączone. - Odsuń się! - wrzasnęła Olga, widząc, że koleżanka jej nie pomaga, a jedynie nieświadomie utrudnia zadanie.

Majka stanęła na poboczu i nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Widziała jak pociąg, który jeszcze niedawno był ledwie dostrzegalny, zbliża się do mostu. Spoglądała na przyjaciółkę i nieprzytomnego staruszka, następnie obserwowwała z osłupieniem zmniejszającą się odległość między Olgą a trąbiącym pośpiechem, którego reflektory rzucały w ich kierunku groźny i ostry blask. Pociąg sunął po szynach i nie było mowy, aby zdążył zahamować. Wyglądał, jak wielka ciężka skrzynia przecinająca z hukiem krajobraz. Majka drżała na całym ciele, zaciskała powieki, później ponownie je otwierała, jakby za każdym razem miała nadzieję, że to tylko senny koszmar. Niestety, hałas dobiegający z lewej strony rozwiewał wątpliwości.

- Olga, pospiesz się, wracaj, chodź tutaj! Olga nic nie poradzisz! - darła się w niebogłose, ale jej przyjaciółka nie usłyszała ani słowa. Jak zahipnotyzowana pochylała się nad staruszkiem.

Olga rozwiązała już linę, ale najgorsze było przed nią: Dziewczyna ważąca pięćdziesiąt kilogramów, mająca mniej siły niż przeciętna nastolatka, musiała podnieść dorosłego

mężczyznę i zdążyć znieść go z torów, zanim maszyna rozpruje na kawałki i ją, i jego. Była tak skupiona na ratowaniu życia tego człowieka, że nie zauważyła jego zamkniętych powiek i zwisającej bezwładnie głowy. Staruszek nie był już świadomy tego, co dzieje się wokół niego.

Pociąg wjechał na most. Olga miała cztery sekundy na dokonanie niemożliwego. Mówi się, że w takich chwilach, gdy życie człowieka jest zagrożone, potrafi on pod wpływem adrenaliny odnaleźć w sobie nadnaturalne pokłady siły i skumulować całą energię, aby ratować siebie. Maszynista trzeci raz dawał sygnał, że nadjeżdża. Kierujący zauważył przeszkodę na moście i zaczął hamować, wiedział jednak, że prędkość pojazdu w ciągu tych paru sekund niewiele się zmniejszy. Gdyby w tym czasie Olga zdecydowała, że jej życie jest najważniejsze, mogłaby w każdej chwili bezpiecznie opuścić most, ale ona kątem oka obserwowała zmniejszającą się odległość między nią a pociągiem i wiedziała, że nie podda się i albo uratuje nieprzytomnego staruszka, albo wraz z nim zginie. Zacisnęła powieki, żeby nie patrzeć na wielką maszynę, pod ciężarem której całe przesło mostu drgało, a stopy - z powodu ruchu szyn - traciły styczność z podłożem. Czowała gwałtowny podmuch powietrza na twarzy, ale w tym samym czasie szarpnęła bezwładnym ciałem mężczyzny. Usłyszała huk, trzask i ciągłe, nieustające trąbienie pojazdu. Okazało się, że w jej przypadku poziom adrenaliny nie osiągnął swojego apogeum, bo ręce i plecy odmawiały jej posłuszeństwa. Mimo tego pociąg przejeżdżał, a ona runęła na ziemię. Koła nie sięgnęły jej nóg. Otworzyła oczy i zobaczyła

oprócz siebie jedno leżące ciało, którego głowa przylgnęła do rozrzuconych obok torów kamieni. Staruszek powoli odzyskiwał świadomość i otwierał oczy. Olga przeczesywała wzrokiem cały teren i z przerażeniem odkryła, że nie ma obok niej Majki. Ostatni raz gdy Olga ją widziała, Majka stała na poboczu i dygocąc z nerwów, obserwowała to zbliżający się pociąg, to rozplątując sznury koleżankę, a teraz jej tu nie było. Zamiast przyjaciółki, dostrzegła dwóch chłopaków, którzy chowali się za pniem dużego drzewa rosnącego przy żuźlowej ścieżce, ale w tym momencie w ogóle o nich nie myślała. Intuicja podpowiadała jej, że nie podejną ani do niej, ani do staruszka, któremu przed chwilą próbowali odebrać życie. Dlatego tylko przez ułamek sekundy zatrzymała na nich swoją uwagę, po czym dalej szukała wzrokiem Majki.

Pociąg wciąż przejeżdżał, rozrzucając na wszystkie strony elementy wózka. Ten dzień był najgorszym dniem, jaki dziewczyna kiedykolwiek przeżyła. Mimo tego, że maszynista próbował zatrzymać pojazd, koła wciąż w ogromnym tempie toczyły się po szynach. Olga usiadła na poboczu, schowała twarz między nogami i zaczęła wymiotować. Wymiotowała resztkami jedzenia, rozpaczą i strachem.

W tym czasie milion myśli przebiegło jej przez głowę. Jedną z nich było wspomnienie, jak szarpnęła za ramię roztrzęsioną przyjaciółkę i kazała jej wbiec na most, aby pomogła jej ratować staruszka. Nie przypuszczała, że doprowadzi do tego, że Majka umrze pod kołami pociągu. Wciąż rozlegał się pisk hamującego pojazdu. Wagony jeden za drugim mijały most, coraz wolniej przesuwał się tuż obok

Olgi. W końcu pociąg skończył bieg, zdążywszy odsłonić drugie pobocze. Zalała ją po raz kolejny w ciągu tych paru minut fala gorąca, ale tym razem spowodowana była ogromną i gwałtowną ulgą. Ostatni wagon odsłonił siedzącą i wpatrującą się w nią ze łzami w oczach Majkę. Jej przyjaciółka, która w ostatniej chwili pomogła dźwignąć ciało mężczyzny i zepchnęła ją i nieprzytomnego starca z torów, sama nie zdążyła zeskoczyć na tę samą stronę co Olga i starzec, po czym straciła równowagę, upadając dokładnie tam, gdzie stała. Dziewczyna nie była już w stanie zareagować, gdy pierwsze koło pociągu miało uciąć jej stopę. Wtedy zdawało jej się, że ktoś ją wyręczył, odsuwając za nią jej własną nogę z szyny... Rozejrzała się wokół siebie, ale nikogo nie spostrzegła, a jedynie poczuła na swoim ramieniu delikatny dotyk...

Majka przez okrągłą minutę przypatrywała się, jak maszyna pędzi kilka centymetrów od niej. Ciężkie, obracające się koła sunęły jej przy samej twarzy.

Pociąg stanął, a za chwilę wszystkie okna odsunęły się pod naciskiem zaniepokojonych gwałtownym hamowaniem pasażerów. Maszynista wybiegł z pierwszego wagonu, upewnił się, że nikogo nie przejechał i wrócił pośpiesznie do pociągu, aby zawiadomić odpowiednie służby.

Za moment na miejscu pojawiła się policja. Kierowca pociągu opowiedział funkcjonariuszom o zdarzeniu i wskazał palcem siedzące na trawie trzy osoby: dwie nastolatki i starszego mężczyznę.

Policjanci podeszli do Olgi, Majki i staruszka, którzy

potwierdzili zeznania maszynisty. Funkcjonariusze pozwolili na odjazd pociągu, po czym zaczęli zbierać wstępne informacje od trzech powoli uspakajających się osób.

- Jest pan w stanie opisać ich wygląd? - pytał pierwszy policjant. - Zna ich pan? Imię, nazwisko? Po reakcji staruszka można było domyślić się, że jeszcze nie doszedł do siebie, bo odkąd odzyskał przytomność, nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Z relacji dziewczyn i urywków wspomnień wiedział, że gdyby nie one, to funkcjonariusze właśnie szukaliby przytorach części jego ciała. Potrzebował czasu na uspokojenie się, zebranie myśli i przypomnienie sobie od początku całego zdarzenia.

Dziewczyny natomiast poczuły się na tyle bezpiecznie, aby już teraz pomóc policjantom w ustaleniu szczegółów.

- Ja ich znam. Oni mieszkają w tych barakach, które mija się, idąc nad zalew - powiedziała Majka. - Właśnie trwają poszukiwania jej brata - dodała, wskazując na siedzącą obok Olgę - i oni w tę sprawę też są wplątani...

- Emil Trojecki, Robert Nowacki i Wojciech Domagała? - zapytał policjant.

- Emila tu nie było - wtrąciła Majka - tylko ta dwójka... Nowacki i Domagała.

Policjant odwrócił się do swojego kolegi i natychmiast kazał mu odszukać chłopców i zawiadomić komendanta.

- Mówili coś, co pomogłoby nam ustalić motyw? - dopytywał funkcjonariusz.

- Ten Nowacki, na którego każdy mówi tu Drağal

i którego nikt nie traktuje poważnie, bo zachowuje się tak, jakby był ograniczony umysłowo, wspomniał coś o najsłabszych jednostkach - mówiła Olga, która bardzo dokładnie przysłuchiwała się wypowiedziom chłopaków. - Myślę, że... - zaczęła, ale nie dokończyła, bo po kilkunastu minutach milczenia odezwał się staruszek.

Nie spojrzał na nikogo, wydawało się, że patrzy gdzieś daleko w przestrzeń.

- Od zarania dziejów niepełnosprawni, kalecy, upośledzeni byli poddawani bezwzględnej selekcji naturalnej. W starożytności sądzono, że osoby niepełnosprawne są oznaką działania sił nadprzyrodzonych, więc skazywano je na śmierć - tłumaczył spokojnym już głosem. - Żydzi uważali, że upośledzenie to kara boska, a silni Spartanie, którzy byli pozbawieni wszelkiej deformacji i ułomności, topili niepełnosprawne noworodki lub rzucali je na pożarcie dzikiej zwierzynie - ciągnął starzec. - Historia dowodzi, że ludzie od zawsze bezwzględnie traktowali słabość i ograniczenie. W średniowieczu zaczęto otaczać kalekich opieką... Współcześnie niektóre ludy pierwotne i plemiona uśmiercają upośledzone dzieci zaraz po urodzeniu, żywcem zakopują lub porzucają w gąszczach. Tym chłopcom chodzi o wykluczenie najsłabszych jednostek ze społeczeństwa, osób które w jakikolwiek sposób są przez naturę pozbawione pełnej sprawności czy to fizycznej, czy to umysłowej.

Olga z wytrzeszczonymi oczami słuchała wypowiedzi staruszka.

- Mój brat, mój Mikołaj... on jest upośledzony -

powiedziała i zerwała się gwałtownie z miejsca, chcąc natychmiast pobiec w stronę bunkra, gdzie właśnie trwały poszukiwania autystycznego dziecka.

- Dziewczyny - odezwał się znów starzec, łapiąc Olgę i Majkę za rękę. - Gdzie jest wasza trzecia koleżanka?

Dziewczyny spojrzały najpierw na siebie, później wlepiły zatroskany wzrok w twarz staruszka, uznając, że jeszcze bredzi.

- Byłyśmy same - powiedziały jednocześnie.

- Nie. Na samym początku, kiedy podbiegłyście do mnie, a ja nie straciłem jeszcze przytomności, ty - tłumaczył, wskazując na Olgę - krzyczałaś do niej - mówił, patrząc tym razem na Majkę - żeby nie rozwiązywała kabla, bo wózka i tak nie da się uratować.

- No tak - odpowiedziała Olga, nie do końca rozumiejąc, do czego zmierza ta rozmowa.

- Majka odeszła, ale ktoś mimo wszystko rozplątywał kabel, bo nie zauważyłaś, że miałem zaplątaną w niego jedną nogę.

Olga marszczyła brwi, bo nie rozumiała, o czym właściwie mówi staruszek, ale Majka dotykała swojego ramienia, bo i jej wydawało się, że nie były wtedy same...

ROZDZIAŁ XI

Rudy wszedł do warszawiaka i od razu skierował się w stronę piwnicy, gdzie nie znajdowało się nic oprócz doprowadzających do niej betonowych schodów. W jednym z kątów sterczał z podłogi haczyk, za który należało mocno szarpnąć, aby przedostać się bezpośrednio do podziemi. Rudy zeskoczył na dół, zamykając za sobą betonowy właz. Przystanął, oświetlił telefonem drogę i wyteęzał słuch, aby zlokalizować najbliższy zespół policyjny. Sam znajdował się na najwyższym poziomie - domyślił się, że funkcjonariusze, którzy od świtu poszukują chłopca, zaczęli właśnie od samej góry, więc teraz powinni być dwa, może trzy poziomy pod nim.

Rudy doszedł do miejsca, które wszyscy wchodzący do bunkra znają najlepiej, czyli właśnie znajdował się w pobliżu wjazdu. Po trzech minutach schodził pamiętnymi schodami, z których stoczył się Mikołaj. Robiąc któryś kolejny krok w przód, natrafił na coś, co pękło pod jego stopami. Były to okulary chłopca, które Rudy podniósł z ogromną satysfakcją, nie mogąc uwierzyć, że do tej pory policja ich nie znalazła. Zaśmiał się i wsunął je do tylnej kieszeni.

Rudy, paląc papierosa, opierał się o ścianę jednego

z najdłuższych korytarzy podziemia. Wspominał upadek niepełnosprawnego chłopca, dlatego w bunkrze rozlegał się głęboki, lekko zachrypnięty śmiech. Ten śmiech przepełnił Rudego uczuciem dumy i bardziej niż cokolwiek innego upewnił go o jego wyższości nad innymi. Nie spieszył się. Był pewien, że dotrze do dziecka przed policją. Nie bał się niczego: ani że zostanie przyłapany, ani że stchórzy, ani że ktoś mu przeszkodzi. Nie brał w ogóle pod uwagę, że jego plan może się nie powieść. A plan był jeden: dotrzeć do chłopca i ukarać go za to, kim jest. Zaciągał się dymem, chichocząc na samą myśl o przyszłym sukcesie.

Uwielbiał te brudne przejścia, dudniące nad nim rury, ciemność. Wiedział, że innych bunkier przerażał, dlatego za każdym razem, gdy o tym myślał, jego para przekrwionych oczu błyskała nutą triumfu. Otworzył olbrzymią klapę znajdującą się tuż pod nim i wślizgnął się do jakiejś małej komory. Wyciągnął lewą rękę i dotykał ścian. Brakowało kilku cegieł. Kucnął, zaglądając do sąsiedniego pomieszczenia.

Na drugim poziomie, usłyszał rozmowy, ale dochodziły gdzieś z końca korytarza. Postanowił zatem poigrać z policją i przez chwilę zabawić się z nimi w kotka i myszkę. Wsadził dwa palce do ust i najgłośniej jak tylko potrafił – dwukrotnie gwizdnął. Wszyscy od razu odebrali to za znak, że znaleziono dziecko, i natychmiast zaczęli reagować i albo schodzili się w miejsce, z którego dobiegł hałas, albo dobijali się do siebie wzajemnie przez krótkofalówki. Rudy zaczął cicho rechotać.

Dwóch młodych praktykantów bardzo szybko pojawiło się w pobliżu komory, z okolic której dobiegł gwizd, ale Rudego

już tam nie było.

- Wydawało mi się, że dochodził stąd, ale równie dobrze mógł z drugiej strony. Tu echem dźwięk roznosi się zewsząd.

- Masz rację, ale przyszło mi do głowy, że ktoś dał fałszywy sygnał. Albo zbyt wcześnie myślał, że na coś trafił, albo nie jesteśmy tu sami...

- Sam dzieciak jest ponoć autystyczny, więc nie naprowadziłby nas w ten sposób, zresztą zrobiłby to już pięć godzin temu.

- Myślisz, że my go kiedykolwiek odnajdziemy?

- Dzieciaka? - dopytywał pierwszy policjant, po czym stwierdził: - Myślę, że tak, ale nieżywego. Słyszałeś, że trzech chłopaków morduje niepełnosprawnych? Wiem, że chcieli zabić profesora, tego staruszka na wózku, ale jakieś dziewczyny w ostatniej chwili ściągnęły go z mostu.

- Słyszałem, przed chwilą ktoś przekazał wiadomość.

W tej chwili siedzący w komorze Rudy poczerwieniał z wściekłości. „Debile! - myślał. - Spierdolić tak prostą sprawę”. Przez minutę nie ruszył się z miejsca, po czym wstał i szybkim krokiem zaczął kierować się na sam dół, gdzie leżał Mikołaj.

Gdy minął trzeci poziom, usłyszał dźwięk przypominający bieg. Pomyślał, że ktoś go goni. Przyłgnął do jednej ze ścian, zgasił światło komórki i nasłuchiwał. Zapanowała całkowita cisza. Zapalił telefon i przeszedł dwa schodki dalej, kiedy ponownie odniósł wrażenie, że ktoś stawia kroki równocześnie z nim. Tym razem śmieiej odwrócił się za siebie, nie włączając światła, ale znowu nikogo nie dostrzegł; pod swoimi stopami

poczuł natomiast delikatny trzask. Nachylił się i podniósł małe okulary. Pomacał tylną kieszeń, ale okazała się pusta. Wywnioskował, że okulary wysunęły mu się z niej. Nie podnosząc ich, przeszedł dalej.

Ta część bunkra, do której zbliżał się Rudy i w której zostawił z kolegami nieprzytomnego Mikołaja, była najrzadziej odwiedzana przez ludzi. Po pierwsze temperatura była tu zdecydowanie niższa, po drugie beton został tu zastąpiony skałą, przez co odnosiło się wrażenie, że bunkier zmienił się w mroczną jaskinię albo podziemne kamieniołomy. Korytarze czy tunele zastępowały przejścia przypominające jamy, nory i otwory różnych kształtów i rozmiarów. Wydawało się, że dolne poziomy bunkra są bardziej przestrzenne, a to ze względu na to, że komory mają około trzech metrów wysokości. Ze względu na obecne tu pęknięcia, szczeliny i wyżłobienia, łatwo było się domyślić, że do tej części schronu przedostaje się skądś woda, powodując, że powietrze jest tu bardziej wilgotne i cięższe.

Z ust Rudego wydobywał się głos. Nucił jakąś żywą melodię i pogwizdywał radośnie. Najwidoczniej bunkier nie powodował, że szamotały nim dreszcze; być może był z tych nielicznych ludzi, których ciemność nie przeraża, a wręcz odwrotnie – będąc w mroku, czują się jak ryba w wodzie. Gdyby ktoś obserwował Rudego, odniósłby wrażenie, że im dłużej chłopak tu był, tym pewniej się czuł, jakby ciemność pozwalała mu na ujawnienie prawdziwego ja. A prawda była wstrząsająca, bo tu – kilkanaście metrów pod ziemią – ten chłopak zamieniał się w zwyrodnialca. Zaciskał pięści, jego

kark sztywniał, a mięśnie żuchwy falowały przy zaciśniętych zębach. W bunkrze urastał w siłę, bo jego zamiary były tak samo ciemne, mroczne, jak te podziemia.

Gdy Rudy wszedł do jednej z największych komór, spostrzegł, że na skale odbita jest czyjaś dłoń. Przyłożył swoją rękę do wgłębienia. Dłoń idealnie pasowała do pozostawionego śladu. Skała była wilgotna i zimna, więc natychmiast oderwał rękę i wytarł ją w spodnie. Chcąc z jakiegoś powodu zabić ciszę, zaczął przeciągle pogwizdywać, a odgłos świstu odbijał się od skał, kamieni i szczelin, by po krótkim czasie powrócić. Nie chciał dopuścić do zapadnięcia ciszy, bo wtedy słychać byłoby jego spłycony oddech. Bał się? Może, ale robił wszystko, aby tego nie pokazać – ten fakt ukrywał nawet przed sobą. Przy którymś z kolei gwizdnięciu coś okazało się głośniejsze, coś wryło się w jego uszy mocniej niż wydobyty przez niego dźwięk. Wtedy się zatrzymał, spuścił głowę i zaczął nasłuchiwać. Oblizwał suche wargi i czekał na pojawienie się odgłosu.

Nagle otępiąłym ruchem pokręcił głową, gdy dotarł do niego dźwięk przypominający dziecięce szlochanie.

- Gdzie jesteś, ułomny gnojku – powiedział, ale za chwilę zdał sobie sprawę z tego, że to niemożliwe, aby był to szloch Mikołaja, bo od chłopca dzieliło go jeszcze kilkanaście metrów.

Mimowolnie skierował świecący ekran komórki w stronę skały. Nie było tam żadnej odbitej dłoni. Znowu usłyszał to samo łkanie. Miał wrażenie, że przed chwilą on bawił się w kotka i myszkę, a teraz ktoś próbuje bawić się z nim.

- Jest tu ktoś? - zapytał, ale nawet echo mu nie odpowiedziało.

Jego czujność się zwiększyła. Szedł coraz wolniej i coraz ostrożniej. W bunkrze rozlegał się odgłos szurających butów. Na betonowe podłoże kapąca woda. Odnosił wrażenie, że w powietrzu zaczyna unosić się biały dym albo mgła, bo wszystko wokół zaczynało stawać się mniej wyraźne, nabierało posmaku jakiejś mroczności i tajemniczości.

Skały, szczeliny i małe podziemne jaskinie przestały się od siebie różnić. Otaczała je ta sama szara powłoka, opar, który coraz mocniej gęstniał, kłębił się, utrudniając dojście do którejkolwiek z nich. Rudy tracił orientację. Nie wiedział, jaka jest odległość między nim, a skalnymi ścianami. To, co wcześniej wydawało się być bliskie, na wyciągnięcie ręki, teraz oddalało się i znikało w mglistej zawieszynie.

Rudy kręcił się wokół własnej osi, oświetlając sufit, później podłoże, wreszcie skamieniałe ściany. Chłopak zaczynał się gubić. Przypomniawszy mu się jeden z tych snów, w których ktoś go goni, a on ucieka, nie wiedząc, w którą stronę powinien biec, więc biegnie na oślep, w panice, bez namysłu, z bijącym jak oszalałe sercem.

Wszedł w mgłę z wyciągniętą ku ścianie dłonią. Wciąż była zimna, ale tym razem mu to nie przeszkadzało. W pewnym sensie skała dawała mu takie samo poczucie bezpieczeństwa, jak Mikołajowi podłoże po upadku do bunkra.

Zatrzymał się gwałtownie, bo tuż przed nim, w kącie, który właśnie oświetlał, spostrzegł poruszający się cień. Odwrócił się za siebie, ale towarzyszyła mu jedynie biała

przestrzeń. Teraz, gdy stał przy skale, a wokół kręcił się ktoś, kto jednocześnie nie miał zamiaru się ujawnić, zaczęły nim miotać nieprzyjemne dreszcze. Miał pewność, że nie jest tu sam, a bunkier przestawał być zwykłym podziemiem, stawał się czymś żywym, tajemniczym, groźnym.

- Co jest? Wojtas, Drągał? - pytał, przywołując swoich kumpli, ale ich tu nie było. Rzucił strumienie światła na wszystkie kąty, zaczął biegać jak we śnie po komorze i próbował na oślep dotrzeć do każdego mrocznego miejsca. Nastąpiła cisza, a potem znów dał się słyszeć szloch, jakby to nie on szukał chłopca, a chłopiec jego.

Kiedy tak zataczał któryś raz z kolei koło, znów zobaczył ten sam cień. Zmrużył oczy, robiąc krok w przód, potem kolejny, by za chwilę przekonać się, że cień przybierał coraz wyraźniejszy kształt ludzkiej postaci. Podeszedł bliżej, oświetlając dokładnie ten punkt, ale im był bliżej, tym postać dalej. Brnął krok za krokiem w jej kierunku. W końcu stanął, gdy zorientował się, że przed nim była już tylko skała.

Nawet gdyby chciał się wycofać i odnaleźć schody prowadzące na górę, było to już niemożliwe. Jeszcze nie wiedział, że bunkier, który wykorzystał dla popełnienia zbrodni, właśnie go uwięził. Nie było wyjścia, nie było odwrotu, nie było żadnych schodów stanowiących dla niego ratunek.

Rudy otarł ręką wilgotne czoło, zrobił dwa głębokie wdechy i wydechy, wyprostował się, bo przed nim wyłoniło się wąskie przejście. Wąskie przejście, które znał. Od Mikołaja dzieliło go jedynie kilka metrów. Zagłębiał się więc coraz dalej

w czeluść mroku, wabiony chęcią zabicia. Szedł kanałem i im był bliżej celu, tym gorzej znosił otaczającą go ciemność. Ciemność nie oznaczała tylko braku światła, podobnie jak mgła nie była zwykłym oparem. W tych mrokach kryło się coś więcej, coś, co powodowało, że Rudy dostawał gorączki, chwiał się na nogach, a krew w jego żyłach stawała się coraz rzadsza, jakby chciała wydobyć się wszystkimi otworami jego ciała. Wydawało się, że ciemność oplata całą jego postać, przygniata swoim ciężarem, wysysając z niego siłę. Rudy przeraźliwie bał się – bał się, bo to coś, co żyło w mroku, pozbawiało go kontroli i władzy nad jego własnym rozumem i ciałem.

Z bocznych ścian kanału spływały strużki wody, żłobiąc własne szlaki. Jeszcze kilkanaście kroków dzieliło go od miejsca, w którym leżał chłopiec. Rudy dostrzegł zwiniętą w kłębek małą postać. Przyspieszył, nie patrząc pod nogi. Szedł na oślep, przecinając ciemność, uciekając przed nią, ale ona była wszędzie – przed nim, za nim, obok niego. Buty miał zanurzone w wodzie. Otaczająca go czerń kontrastowała z jego trupią skórą. Biegł bez chwili zawahania, walcząc z ciemnością i obłędem, który go ogarniał. Wybiegł z kanału, dysząc. Myślał, że najgorsze jest już za nim. Znalazł się w kolejnej izbie. Pomieszczenie, które wielkością przypominało przeciętny pokój, oświetlił telefonem.

Minął kręte schody i kucnął zaraz za nimi. Właśnie pochylał się nad Mikołajem. Dziecko było zimne, ale oddychało. Skulone ciało chłopca przylegało do ziemi, jakby ona dawała mu ciepło, ale było wręcz odwrotnie. Zimna

nawierzchnia wyiębiała jego organizm. Przykurczone kolana Mikołaja dotykały jego brody. Rudy zacisnął usta.

- Nienawidzę upośledzonych, tchórzliwych, kalekich, do niczego nienadających się ludzi! - mówił, kładąc ręce na szyi chłopca. - Powinni was zrzucić ze skały - ciągnął, zaciskając coraz mocniej dłonie. - W przyrodzie występuje naturalna selekcja, ale nie wśród ludzi - dodał i całym ciałem przyłgął do dziecka.

- Co jest?! - krzyknął, gdy po całym ciele przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. W opuszkach palców dłoni poczuł mrowienie. Poderwał obie ręce z szyi chłopca. Spoglądał na swoje palce i próbował nimi poruszać, ale one ani drgnęły. Dopadały go silne skurcze. Odsunął się od zwiniętego ciała. Za chwilę posłuszeństwa odmówiły mu nogi. - Co się dzieje?! - wrzeszczał, ale nikt mu nie odpowiadał, choć wiedział, że nie jest tu sam.

W tym samym czasie zgasł ekran telefonu i w pomieszczeniu zapanował całkowity mrok. Rudy mrugał powiekami, ale i one przestawały reagować. Zaczęło do niego docierać, że ktoś odbiera mu możliwość poruszania się. Wszystkie mięśnie stawały się usztywnione i chłopak nie był w stanie unieść własnych kończyn. Paraliż zaczął postępować. Słyszał, jak coraz wolniej bije mu serce. Kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, tuż przed nim zarysował się kontur kobiecej postaci, a za nią kolejnej. Ta stojąca bliżej niego była niewyraźna, natomiast osobę znajdującą się za nią widział bardzo dokładnie. Otworzył już usta, aby coś powiedzieć, ale właśnie... odebrało mu mowę. Dławił się i nie

był w stanie poruszyć językiem. Każdy wydobyty z jego ust dźwięk przypominał bełkot. Był w stanie wykrzyknąć jedynie pojedyncze samogłoski.

Chłopak marzył o tym, aby zatkać sobie uszy, bo nie mógł znieść szumu powodującego ból skroni. Miał wrażenie, że za chwilę eksplodują mu bębenki. Ucisk zaczął promieniować i w tej chwili pulsowała mu wewnątrz cała czaszka. Nie oblewały go już zimne poty, zamiast tego nasiliły się zawroty głowy, a przed oczami pojawiły się różnokolorowe jaskrawe koła, które zaczęły blednąć, aby za chwilę zlać się w jednobarwną czarną plamę. Rudy właśnie oślepl.

Niewyraźna postać nachyliła się, aby położyć mu dłonie na klatce piersiowej – wtedy mięśnie odpowiedzialne za bicie serca i utrzymujące cały organizm przy życiu również przestawały działać. W gardle pojawiła się niewiarygodna suchość. Rudy czuł, jak długie palce uciskają jego klatkę piersiową. Miał wrażenie, że łamią mu mostek i żebra.

Wydawało się, że Rudy nie od razu stracił świadomość. Przez kilka kolejnych sekund jego twarz była jeszcze skrzywiona. Próbował poruszać poszczególnymi członkami swojego ciała, ale za każdym razem jego noga lub ręka upadała jak trafiona gromem. To jak człowiek umiera, zależy od przyczyny śmierci. Czasem śmierć powoduje ból, czasem jest ona tak błyskawiczna, że nie odczuwamy nic. Śmierć Rudego nie była nagłą. Krok po kroku zostawał czegoś pozbawiony: czucia, możliwości poruszania się, słuchu, wzroku, a na końcu oddechu. Niemal na wszystkich etapach towarzyszyło mu klucie, drętwienie i pieczenie. Miał

wrażenie, że wszystkie kości łamią mu się, skręcają, a ścięgna rozrywają. Gałki oczne mocno pulsowały i mimo panującej ciemności – bolały podobnie jak wówczas, gdy człowiek cierpi na światłowstręt. Sądził, że ktoś wbija mu w oko tysiące igiełek. Odczuwał na swoim ciele każdy nerw. Cały tułów palił, jakby dosięgały go płomienie ognia. Pragnął łapczywie zaczerpnąć powietrza, ale miał wrażenie, że płuca zalała mu woda, a tlen miał zapach trującej toksyny. Nie była to śmierć łatwa, nie była to śmierć szybka, nie była to śmierć samotna, ale z pewnością była bolesna. Stało się to, co dwadzieścia lat temu: w bunkrze leżały właśnie zwłoki nastolatka.

Ściany schronu stały się świadkami kolejnej śmierci. W powietrzu nie unosił się żaden szczególny zapach, a jednak stało się ono bardziej gęste, nieświeże, pozbawione rześkości, a panująca w bunkrze ciemność jeszcze silniej przytłaczała. Oprócz wygasającego oddechu Rudego nie było słyhać niczego, a jednak potok niewypowiedzianych krzyków, modlitw i próśb odbijał się od wszystkich kątów. Wydawało się, że to miejsce stawało się częścią tajemniczych zbrodni, jakby korytarze, sufity i zakamarki zostawały tą mrocznością oplecione, powodując, że śmierć nie ograniczyła się jedynie do tego pomieszczenia, w którym leżały zwłoki nastolatka, a wsiąknęła we wszystkie mury, przekształcając podziemne przejście w zimny grobowiec.

Gdy Rudy legł z otwartymi ustami, tajemnicza postać podeszła do Mikołaja. Położyła mu dłonie na klatce piersiowej, a kobieta stojąca za nią – znieruchomiała.

- Co robisz?! Przecież to tylko dziecko! - wrzasnęła.

Postać nachylająca się nad chłopcem odwróciła twarz i spojrzała z niezwykłym spokojem na roztrzęsioną starszą kobietę, która była przerażona i niegotowa patrzeć na to, co za chwilę miało się stać. Ale wydarzyło się coś całkowicie przeciwnego - chłopiec otworzył oczy. Pierwszy raz od czternastu godzin uniósł samodzielnie powieki. Mikołaj wyprostował rączki i pogładził swoją wybawczynię po policzku. Osoba o niewyraźnych rysach włożyła chłopcu okulary, wzięła go na ręce i odwróciwszy się, przekazała już przytomne dziecko stojącej za nią kobiecie, po czym odeszła, znikając gdzieś w głębi komory.

ROZDZIAŁ XII

Kobieta wspinała się po krętych schodach, trzymając na rękach śpiącego Mikołaja. Chłopiec był zimny, wyglądał na wyczerpanego i chorego. Miał na całym ciele liczne obrażenia, ale żył...

Weszła na trzeci poziom, od murów bunkra odbijały się światła policyjnych latarek. Wciąż trwały poszukiwania dziecka. Nie zatrzymywała się, nie szukała funkcjonariuszy, nie wołała o pomoc, po prostu szła do wyjścia, gdzie miała nadzieję spotkać ojca tego śpiącego na jej rękach chłopca.

Wreszcie spostrzegła jasny punkcik na końcu korytarza. O niczym tak nie marzyła, jak o wydostaniu się na zewnątrz, gdzie będzie mogła wziąć głęboki wdech wypełniający jej płuca świeżym powietrzem. Dotarłszy do włazu, wiedziała, że już nigdy nie wejdzie do schronu, że jest to jej ostatnie dziesięć metrów i nareszcie odzyska długo oczekiwaną wolność. Przed momentem kobieta była świadkiem śmierci nastolatka, podobnie jak wtedy – dwadzieścia lat temu – gdy widziała śmierć własnego syna. Już rozumiała, dlaczego przez tyle lat nie znalazła żadnych śladów. Po prostu ich tam nie było. Tylko jednego nie potrafiła pojąć: kim dokładnie jest

dziewczyna o imieniu Paulina.

Gdy tylko poczuła na swoim czole podmuch lekkiego wiatru, usłyszała nasilające się radosne okrzyki.

- To pani Wanda!

- I Mikołaj! - krzyknęła stojąca obok ojca Olga, podbiegając do obłąkanej kobiety. - Jak to możliwe, że pani go znalazła?! - mówiła, głaszcząc brata po czole. - Zadzwońcie na pogotowie, on jest całkowicie wyziębiony! Skąd tyle ran?! - dodała i odebrała chłopca z rąk pani Wandy.

Kobieta nie spojrzała na otaczających ją ludzi. Chciała niezauważona wrócić do domu, ale z każdej strony ktoś zadawał jej pytania:

- Pani Wandziu, dobrze się pani czuje? - pytał komendant.

- To była ona, Marku, miałam rację, to ta dziewczyna zabiła mi dziecko, a teraz leży tam drugie...

- Wandziu, o czym ty mówisz? Przecież Mikołaj jest tutaj?!

- Nie o Mikołaja mi chodzi. Na samym dole, przy krętych schodach, go zostawiła...

- Kto? O czym ty mówisz? I jaki chłopak? Jaka dziewczyna? - dopytywał komendant, nie rozumiejąc słów obłąkanej kobiety.

- Muszę już iść, Marku, muszę już iść - powtarzała. - Ja już wszystko zrozumiałam, ale teraz potrzebuję odpoczynku.

Komendant załamał ręce - wiedział, że minie mnóstwo czasu, zanim pani Wanda zdoła opowiedzieć to, co zobaczyła. Obawiał się też, że jej historia będzie pozbawiona jakiegokolwiek sensu.

- Idziemy na sam dół - powiedział do młodego policjanta

i wsunął się do bunkra.

- Dlaczego tu jesteście, komendancie?

- Bo najprawdopodobniej znajdziemy na dole zwłoki.

- Czyje?

- Jeszcze nie wiem, mogę się jedynie domyślać.

- Zimniej tu niż na górze. Pierwszy raz tu jestem... Zaraz, zaraz - powiedział praktykant, zwalniając tempo - wydaję mi się, że te zielone drzwi, to my już kiedyś minęliśmy...

- Widocznie jest ich tu więcej - odpowiedział komendant i szarpnął za mosiężny uchwyt ozdobiony głową ośmiornicy. Drzwi były zamknięte. - Widzisz tę kłódkę? - zapytał młodego policjanta. - To muszą być bardzo stare drzwi. Idziemy dalej. Przyświeć mi tutaj - poprosił praktykanta, patrząc na projekt bunkra. - Jesteśmy na samym dole, tutaj - wskazał palcem na kartkę białego brystolu. - Czyli aby dojść do krętych schodów, musimy wejść do tej największej komory, później powinniśmy pójść długim korytarzem do kolejnej izby, gdzie, zdaje się, znajdziemy ciało - tłumaczył praktykantowi.

Za chwilę weszli do wysokiej komory. Po ścianach ściekała woda. Przeszli przez wąski kanał i dotarli na miejsce. Komendant spojrzał na leżące ciało Rudego. Nachylił się nad chłopakiem, sprawdzając, czy wyczuje puls. Nastolatek był martwy. Komendant wezwał śledczych.

- Mamy tu martwego dzieciaka. Zejdźcie na sam dół i dojdźcie do krętych schodów - powiedział, po czym odłożył krótkofalówkę na bok. - Spójrz - odezwał się do młodego policjanta - nic nie wskazuje na to, żeby z kimś walczył albo żeby ktoś go dotknął... Szyja czysta - ani jednego siniaka.

Nigdzie nie widać krwi... Wiesz, kiedy widziałam taką śmierć?

Praktykant pokręcił głową, chociaż domyślał się, że za moment komendant opowie mu historię sprzed dwudziestu lat.

- Dwadzieścia lat temu. Też tu, w bunkrach, tylko na wyższym poziomie. Kacper - syn pani Wandy - wyglądał, jakby zmarł we śnie. Wpisaliśmy do akt, że przyczyną śmierci było zatrzymanie krążenia. Mieliśmy jednego świadka - matkę chłopca. Teraz też mamy za świadka ją... i niepełnosprawne dziecko, które niewiele nam pomoże. Spójrz na piach. Tam są odciski jej butów, ale wokół ciała Rudego nie ma żadnego śladu.

A przecież nim nie rzuciła spod tamtej ściany. I po raz drugi wspomina o jakiejś młodej dziewczynie... Chciałbym zrozumieć, ale obawiam się, że znów zostaniemy z niczym.

Komendant nie rozumiał, z kim albo z czym mieli do czynienia. Wiedział tylko, że obie śmierci otoczone są jakąś tajemnicą. Do głowy przychodziły mu różne rozwiązania, każde z nich jednakowo absurdalne, ale jednego był pewien: samoistna śmierć u nastolatków nie istnieje. Przypuszczał, że drugi raz w swojej karierze będzie musiał pogodzić się z tym, że nigdy nie rozwiąże sprawy.

Policjanci usłyszeli hałas. Na sam dół bunkra dotarli śledczy.

*

W tym samym czasie zatrzasnęły się drzwi od jednego z mieszkań w kamienicy przy ulicy Staffa. Na klatce rozległ się dźwięk przekręcanego klucza. Pani Wanda wróciła do

domu. Oparła się o ścianę, trzymając obie ręce na wysokości twarzy. Brud i pył z podziemi zasechł na jej ciele i ubraniu. Odkąd została sama, oddalając się od bunkrów, nie mogła złapać tchu. Odtwarzała w myślach sytuację sprzed dwudziestu lat, porównując ją z dzisiejszą.

Kiedy kilkadziesiąt minut później rozległ się dzwonek, powłócząc nogami, ruszyła przez ciasny przedpokój, aby otworzyć drzwi komendantowi - wiedziała, że za chwilę dawny przyjaciel zechce zebrać informacje, ale i najzwyczajniej w świecie sprawdzić stan psychiczny kobiety, którą od lat społeczeństwo uznawało za chorą psychicznie.

Komendant nie przyszedł w roli policjanta, a przyjaciela - był sam i miał zatroskany wyraz twarzy. Domyślał się, że dzisiejsza sytuacja rozdrapała stare rany, które zresztą w przypadku pani Wandy nigdy się nie zagoiły. Obawiał się, że zanim kobieta otworzy drzwi, miną całe wieki, a może i wcale nie zechce go wpuścić. Gdy więc usłyszał opadający łańcuch i chrzęst klucza w zamku - wiedział, że jest lepiej niż przypuszczał: Wanda jest gotowa na rozmowę. Wyglądała również inaczej. Mimo starego, podartego i brudnego stroju, pomarszczonej twarzy - odmłodziła i miała inny wzrok. Dostrzegł w jej oczach coś, czego nawet nie miał nadziei kiedykolwiek ujrzeć - spokój.

- Wandziu... - zaczął, gdy tylko przekroczył próg mieszkania, ale kobieta nie pozwoliła mu dokończyć. Przerwała mu, mówiąc:

- Zginął, jak mój syn. Pamiętam wyraz jego twarzy. Był taki przerażony, miał otwarte usta, jakby właśnie krzyczał -

powiedziała i weszła do pokoju swojego dziecka, w którym nic nie zmieniło się od czasu jego śmierci, i sięgnęła po fotografię około dwunastoletniego wówczas chłopca. – Byłam w trakcie rozwiązywania krzyżówki, kiedy postanowiłam zawołać swoje dziecko na obiad. Zorientowałam się, że wyszedł przed południem; minęła piętnasta, a on się od tamtej pory nie zameldował. Nigdzie nie mogłam go znaleźć. Nie niepokoiłam się – to był piękny letni dzień, na dworze świeciło słońce, dzieci sąsiadów bawiły się w ogródku. Wołałam go i wołałam. Zaczęłam rozpytywać dzieci, czy nie widziały mojego Kacperka, a one odpowiedziały: „Tak. Poszedł do bunkra”.

„Do bunkra? – dopytywałam. – Na pewno?”.

Twierdziły, że bardzo często tam chodzi. Wtedy pierwszy raz weszłam do schronów – opowiadała kobieta, trzymając wciąż w ręku zdjęcie syna i mówiąc jakby do niego.

– Było przeraźliwie ciemno, wilgotno i śmierdziało stęchlizną. Jedyne źródło światła, jakie miałam, to była mała latareczka znajdująca się wewnątrz długopisu. Znowu zaczęłam go wołać. Naprawdę cieszyłam się, że mam przy sobie ten cholerny długopis... A jednak szłam dalej i im więcej czasu tam byłam, tym większy narastał we mnie niepokój – mówiła pani Wanda, a komendant słuchał. Stał między holem a pokojem i pierwszy raz od dwudziestu lat poznawał szczegóły wydarzeń z tamtego dnia. – Za każdym razem, gdy go wołałam, odpowiadało mi echo, później nawet ono zamilkło – kontynuowała. – Szłam przy ścianie, właściwie po omacku. Nagle zahaczyłam o coś butem, więc pochyliłam się i wyczułam nogawkę dzinsowych spodni. Pamiętałam, jak

Kacper był ubrany, wychodząc z domu, więc coraz szybciej przesuwałam dłońmi ku górze. Pode mną leżało ciało i już wtedy wiedziałam, że jest kwestią czasu, nim odkryję, że to mój syn – opowiadała.

W tym momencie przełknęła ślinę. Ten moment był dla kobiety najtrudniejszy do ponownego rozpamiętywania.

- Nie zaświeciłam latareczki. Chyba pragnęłam odwlec tę chwilę jak najdalej. Gdy dotarłam do szyi, dłonie automatycznie zatrzymały się. Pod brodą Kacper miał charakterystyczny wystający pieprzyk – tłumaczyła. - Błagałam Boga, aby go tam nie było.

Człowiek, który czegoś podobnego nie przeżył, sądzi, że w takim momencie mózg całkowicie się wyłącza i po prostu, nie czekając ani sekundy dłużej, pragnie się poznać prawdę, odsłonić naraz wszystkie karty. Jest inaczej: mózg pracował wtedy ze zdwojoną siłą. I wtedy przesunęłam rękę – wspominała pani Wanda.

Na chwilę zapadło milczenie, a w pokoju nie było słyhać nawet muchy ani odgłosów z zewnątrz.

- I wyczułam to cholerne milimetrowe zgrubienie. W dziennym świetle jest ciemnobrązowe, tam, w schronie, pieprzyk był znamieniem potwierdzającym moje najgorsze przypuszczenia. Miałam ochotę wziąć syna w ramiona i mocno nim potrząsnąć, ale przecież nie wiedziałam, co mu jest! „Może skądś spadł – pomyślałam. - I ma uszkodzony kręgosłup? ”. Przychodziły mi do głowy same czarne scenariusze – tłumaczyła roztrzęsionym głosem, zasłaniając usta. - Z zamkniętymi powiekami nacisnęłam długopis, który

uruchomił latareczkę. Zanim z powrotem otworzyłam oczy, wzięłam głęboki oddech i modliłam się w duchu o to, aby to wszystko okazało się złym snem, paskudnym koszmarem, ale ta chwila była jak najbardziej realna. Smugę światła miałam skierowaną na jego kraciatą koszulę, którą kupiłam mu na urodziny. Nie było na niej żadnej kropli krwi. Gdy podniosłam długopis do góry, wcale nie zobaczyłam twarzy mojego syna, a obcą dziewczęcą buzię, zbyt bladą, abym uznała ją za rzeczywistą – ciągnęła, a komendant, chcąc nie chcąc, zacisnął usta, bo był to ten fragment historii, w który po prostu nigdy nie wierzył. – Krzyknęłam i mimowolnie rzuciłam długopisem w kąt, ale nie zapanował całkowity mrok. Ona wciąż tam była, a z jej twarzy bił blask. Nachylała się nad Kacprem i patrzyła mi prosto w oczy. Niczego wtedy nie pojmowałam, ale wiedziałam, że mnie nic nie grozi. I mimo tego, że nie wydusiła z siebie żadnego głosu, to ja miałam pewność – mówiła. – Ona przyszła po niego, nie po mnie. – Teraz było podobnie – powiedziała. – Przyszła po tamtego chłopaka.

– Wandziu... – odezwał się komendant.

– Wiesz, czego nie rozumiałam przez te dwadzieścia lat? – pytała, ale komendant nie odpowiedział. – Jakim cudem, stojąc tak blisko mnie, dotykając mojego dziecka, nie zostawiła żadnego śladu... ani jednego śladu stopy, buta – czegokolwiek, czym chodziła po tej czarnej ziemi.

– Wandziu, czy ty myślisz...?

– Dzisiaj jestem tego pewna – przerwała policjantowi po raz kolejny. – Ta dziewczyna, Marku, jest duchem.

Na to oświadczenie komendant zareagował tak samo, jak

zareagowałby każdy mający trzeźwo myślący umysł i głowę na karku. Z szacunku dla tej biednej kobiety, nie załamał ostentacyjnie rąk. Ale w duchu pierwszy raz stwierdził, że jego wieloletnia koleżanka, cierpiąca dotychczas na depresję spowodowaną śmiercią dziecka, jest chora i potrzebuje pomocy psychiatry.

Duchy były dla niego istotami wymyślonymi na potrzeby powieści gotyckich, w których rozczytywał się, będąc uczniem. Te pozaziemskie postacie nigdy nie miały nic wspólnego ze śledztwami i morderstwami, przy których pracował. Zbrodnie zawsze można było wytłumaczyć dzięki logicznemu, jasnemu, precyzyjnemu myśleniu, dokładności i dociekliwości śledczych, naukowym badaniom laboratoryjnym, wywiadam i zbieraniu informacji o zamordowanym. Nigdy żaden policjant nie stwierdził, że winnym morderstw dokonanych na nastolatkach jest duch, bo spotkałby się z salwą śmiechu.

- Wandziu - mówił grzecznie i z tą samą łagodnością, co zwykle - wezmę pod uwagę to, co powiedziałaś, ale muszę też zbadać...

- Nie wierzysz mi, Marku... Mnie zajęło to dwadzieścia lat.

- Ja nie... - Przerwał, potrzebując zebrać myśli. - Ja nie miałem nigdy do czynienia z istotami nienależącymi do naszego świata - wyjaśnił. - Nic tu po mnie, Wandziu, jeszcze zajrzę do ciebie później. Poinformuję cię...

Po wyjściu z kamienicy komendant wracał do bunkrów, gdzie wciąż było prowadzone śledztwo. W ogóle nie wziął pod

uwagę, że kobieta może mieć rację. Komendant był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi. Wierzył, że na wszystko znajdą się namacalne dowody. Pamiętał wszystkie sprawy, przy których pracował przez czterdzieści lat służby i tylko w jednym przypadku nie znaleziono sprawcy – tym sprzed dwudziestu lat. Wspominał sprawę z 1977 roku, kiedy znaleziono zwłoki czterdziestoletniego faceta, ojca trójki dzieci, sprzedawcy w sklepie rybnym. Znaleziono go w rurze kanalizacyjnej po tygodniu poszukiwań. Z początku myślano, że to zdechły kot albo mały pies, jednak to, co brano za sierść, okazało się włosami. Przesłuchano najstarszego syna, żonę, była żonę, właściciela sklepu. Nikt nic nie wiedział.

Trudno było znaleźć motyw. Oczywiście brano pod uwagę samobójstwo, ale istnieją łatwiejsze sposoby na odebranie sobie życia niż uduszenie się w ciasnej rurze. Poza tym wyglądało na to, że zwłoki zostały ukryte. Każdy był pewien, że ktoś trzeci maczał w tym palce, chociaż szczególnych śladów na ciele również nie było. A za przyczynę śmierci uznano zatrzymanie akcji serca. Później zaczęto sądzić, że mężczyzna sam tam wpadł, ale... żeby przez przypadek utknąć w tak małym otworze? Trzeba byłoby się o to chyba prosić! Pojawiły się nawet domysły, że w dniu zaginięcia pogoda była paskudna, padał deszcz, co ograniczyło widoczność i facet mógł tam wpaść.

Śledztwo ślimaczyło się niewiarygodnie i właściwie wyglądało beznadziejnie. Do czasu. W trakcie ostatnich rozmów – które miały na celu podtrzymać wdowę z trojgiem dzieci na duchu i podczas których kobieta miała dostać adres

jedynego pracującego w tamtych latach w pobliżu psychiatry – żona zmarłego zamiast odebrać karteczkę, zaczęła zalewać się rzewnymi łzami. Nikogo nie dziwił jej nagły atak płaczu, w końcu sprawa śmierci jej męża nie została rozwiązana, a ona właściwie nie mając środków do życia, musiała utrzymać troje dzieci. Po chwili okazało się jednak, że chodzi o to, iż ów psychiatra jest jej bardzo dobrze znany, bo zmarły mężczyzna od dziecka cierpiał na schizofrenię i ten lekarz przepisywał mu leki. Zmarły mąż od miesiąca nie łykał tabletek i lęki o rzekomym prześladowcy powróciły. I tak przypadkiem sprawa została rozwiązana. Mężczyzna chował się w kanalizacji przed goniącym go Iksem Igrekiem, którego stworzyła sama chora głowa schizofrenika. Przypadek z roku 1977 udowadniał, że nawet najtrudniejsze śledztwa mają swój koniec.

Nic więc dziwnego, że na wieść o mordującym duchu, komendant wyszedł z mieszkania i uznał kobietę, jak wszyscy inni mieszkańcy miasteczka, za chorą.

*

Wojtas i jego kumpel Drągal w pierwszej chwili spanikowali i zaczęli biec przed siebie leśną ścieżką, byle jak najdalej od Topielca.

- Wiedziałem, że spieprzysz! Jesteś debilem! Jak można było nie zajrzeć pod most! - krzyczał Wojtas. Pochylił się, oparł dłonie o kolana i dyszał ze zmęczenia. - Wpadliśmy, rozumiesz? Przez kalekę pójdziemy do pierdła!

Drągal usiadł na pieńku i bawił się jakimś patykiem, co

pewien czas odchyłał się do tyłu, jakby ćwiczył na siedząco równowagę.

- Ty też nie zajrzałeś, no nie? - odpowiedział spokojnie.

- Czy ty w ogóle jarzysz, co nam grozi?!

- Ja tam bym się nie przejmował. Rudy na pewno też nie. Rudy mistrz! - cieszył się Drągał.

- Rudy to nas zabije, jak się dowie, że spieprzyliśmy akcję ze staruchem! - mówił Wojtas. - Poza tym może źle zrobiliśmy. Może wystarczyło gościa wepchnąć z pomostu do zalewu, a nie robić spektakularne widowisko na moście...

Był zdenerwowany i przestraszony. Obwinił się o brak ostrożności - o to, że nie kazał Drągałowi zajrzeć pod most.

- Że co? - zapytał Drągał, po czym zachichotał. - Spektakularne widowisko... dobre!

- O co ci chodzi? Z czego rżysz?

- Ale on miał minę, zanim wykitował! Pewnie zrobił pod siebie! Cha cha cha! - śmiał się Dryblas. - Powtórzyłbym to! Gdyby Rudy widział, jak tego... jak ten staruch się spocił!

- Czekaj... To jest myśl! Powtórzmy to! Wymyślmy coś, żeby chociaż z Grubasem się udało! - mówił Wojtas, uważając swój plan za wyjątkowo genialny.

- Z Grubasem, no nie, śmiesznie by było, gdyby... tego... stopić z niego tłuszcz! - rozochocił się Drągał. Za moment jednak podrapał się po głowie i wyglądał tak, jakby próbował myśleć. - Wojtas, a dlaczego właściwie dopisaliśmy do listy Grubasa? Przecież on... tego... nie jest świrusem!

- Nie wiem, zapytaj Rudego. Po prostu jest słaby. Nie nadaje się do niczego, więc jak kaleka. Nie dość, że tłścioch,

to jeszcze tchórz! Ble - wzdrygnął się Wojtas, jakby mówił o znalezionym w jedzeniu robactwie.

- W sumie racja! Tchórz i tłuścioch! Ciekawe, jakby chciał go załatwić Rudy... Jak myślisz?

- Nie wiem, kurwa! Daj mi spokój z Rudym! Co to jakiś Bóg, czy co!? Po prostu tym razem nie możemy tego spieprzyć. Zamykamy chociaż tę sprawę do końca, jasne?

- No dobra, no nie? Na mnie możesz liczyć, no nie?

- Ta... właśnie zauważyłem podczas ostatniej akcji! - skwitował Wojtas, ale Drągał nie ogarnął, że był to przytyk w jego kierunku.

Wojtas wyciągnął z tylnej kieszeni kartkę i oparł ją o pień, na którym siedział Drągał. Odepchnął kolegę i zaczął coś pisać i rysować, po czym pokazał Drągałowi swoje wypociny.

- Pasuje?

- Spoko, no nie!? - odpowiedział dryblas i razem z kumplem poszedł w kierunku zalewu.

*

Po wyjściu komendanta pani Wanda otworzyła pudło, w którym przechowywała wycinki starych gazet i albumy ze zdjęciami. Zawsze zwracała uwagę jedynie na te artykuły, które dotyczyły śledztwa w sprawie śmierci jej syna. Ale dzisiejszy dzień był inny i inny był też cel przeglądania prasy... Wszystkie te gazety pochodziły z 1988 roku. Pani Wanda chciała odszukać notatkę związaną z pewnym wydarzeniem z tamtego okresu. Położyła na kolanach cały plik pożółkłych stronic i obracała w rękach każdą kartkę. Wyglądała tak,

jakby spotkało ją oświecenie, jakby spodziewała się tu znaleźć gwiazdkę z nieba. W końcu zatrzymała wzrok na przedostatniej stronie.

Pożar w ośrodku dla niepełnosprawnej młodzieży

Piętnastu strażaków około godziny 21.30 wyjechało do ośrodka dla niepełnosprawnej młodzieży, by zagasić pożar. Do zapalenia doszło w magazynku gospodarczym, przy sali gimnastycznej mieszczącej się na parterze.

- Było to najgorsze z możliwych miejsc wybuchu pożaru - podkreśla komendant Straży Pożarnej Piotr Szczygieł. - W tej części znajduje się sala, w której śpią dzieci. W tym czasie w ośrodku przebywało pięćdziesięcioro jeden wychowanków i trzy opiekunki. Ponadto jedynie ta część szkoły nie została wyremontowana. Podłoga była drewniana, dlatego ogień nieprawdopodobnie szybko zaczął rozprzestrzeniać się po całym dolnym korytarzu. W mgnieniu oka zadymiły się kolejne piętra. Zniszczenia na pewno objęły dużą część szkoły, ale o ich skali możemy mówić dopiero po zakończeniu akcji.

Przyczynę pożaru będzie badać policja - dodaje Piotr Szczygieł.

Pani Wanda wspominała właśnie wieczór, w którym dostała wezwanie do pracy. Palił się ośrodek, a ona miała ustalić przyczynę pożaru. Zanim wyszła z mieszkania, minęła się w progu drzwi z Kacprem.

„Kanapki zostawiłam ci na stole ” - powiedziała wtedy i wyszła.

Jako pierwsza spośród policjantów dotarła na miejsce. Strażacy wprowadzili ją do pomieszczenia, w którym doszło do wybuchu ognia. Od razu rozpoznała przyczynę pożaru: podpalenie przy użyciu benzyny. Banalne - aż za bardzo. Kręciła się po placówce, choć najbardziej interesował ją profil sprawcy. Aby przedostać się do środka, ktoś wybił szybę w małym okienku mieszczącym się przy suficie. Niewielki otwór mógł zmieścić jedynie drobną osobę. Gdy wyszła na zewnątrz, aby okrążyć budynek i dotrzeć do okienka z drugiej strony, w oczy rzuciła jej się czerwona czapka z daszkiem; taką samą kupiła swojemu synowi w dopiero co otwartym firmowym sklepie. Miała czarny daszek, na środku którego znajdowało się logo firmy. Podniosła ją i niewiele myśląc... schowała pod nogawkę.

Profil sprawcy znała aż do bólu dokładnie. Pożar wybuchł dzień przed śmiercią Kacpra. Czytając ten artykuł, jak przez mgłę przypominała sobie osmoloną buzię syna, z którym minęła się w progę, zanim wyszła do pracy.

Tragiczna śmierć dziecka, która nastąpiła kolejnego dnia, przyćmiła sprawę pożaru, zwłaszcza, że było to dziecko policjantki. Nikt specjalnie nie angażował się w szukanie winnego podpalenia.

Kobieta siedziała na łóżku swojej sypialni, trzymała otwarte pudło i zastanawiała się, z jakiego powodu dziewczyna z bunkra zabiła rudego chłopaka, a Mikołajkowi pomogła. Choć nie wszystko było dla niej jasne, jedno

wiedziała już teraz na pewno: Paulina krzywdziła po prostu złych ludzi. Karała ich. Pani Wanda chodziła po bunkrze, aby uchronić młodzież przed nieznaną dziewczyną, a tymczasem to przed niektórymi młodymi ludźmi powinno się chronić społeczeństwo.

Pani Wanda wiedziała, że tym razem schowa pudło na dłużej, może z tego powodu chciała przejrzeć raz jeszcze album ze zdjęciami. Znała na pamięć kolejność wklejonych do niego zdjęć. Potrafiła godzinami patrzeć na twarz syna. Teraz spoglądała na niego w nieco inny sposób. Nie widziała jedynie gładkiej buzi i dużych zielonych oczu, które syn odziedziczył po ojcu, lecz chłopca, który był zdolny do okrucieństw.

Mimo tego gładziła palcami fotografię, ale nagle dłoń zaczęła jej się trząść. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha... I owszem, zobaczyła... białego kudłatego psa leżącego przy ławce, obok nóg szczerzącego się do obiektywu chłopca. Psa, którego wzięła dla syna ze schroniska i który po prostu nie wrócił do domu. O okolicznościach jego zaginięcia dowiadywała się od sąsiadów, ale nigdy nie uwierzyła w opowieść o zawiązanym w worku psie zostawionym na torach. Nie uwierzyła do dzisiaj... Teraz dałaby sobie głowę uciąć, że ten sam pies podszedł do niej, gdy ona stała przy ogródku działkowym i drżała, przyglądając się, gdy Paulina nawiązywała kontakt z Mikołajem.

*

Wejście do bunkra było otoczone taśmami. Dochodził wieczór, kiedy policyjne czapki zaczęły wyłaniać się z podziemi. Pięciu

mężczyzn wyciągało właśnie zwłoki Rudego. Czarny worek przybrał kształt ludzkiego ciała. Mężczyźni położyli je na zwirowym kawałku ziemi. W tym samym czasie podszedł do nich komendant.

- Jak to wygląda? Co już wiecie?

- Lekarz określi przyczynę śmierci, ale nie ma podstaw, aby przypuszczać, że ktoś mu w tym pomógł.

Twarz komendanta przybrała bordowy odcień. Naprężył mięśnie żuchwy, by za moment wybuchnąć nagłym atakiem niekontrolowanej furii.

- Jak to nie ma podstaw?! Chcecie mi powiedzieć, że szesnastoletni chłopak samoistnie przestał oddychać?! Co wy mi tu za brednie opowiadacie?! - krzyczał na Bogu ducha winnych śledczych. Przed oczami stanął mu wyraźny obraz z sierpnia 1988 roku, kiedy bardzo podobnie brzmiące zdanie wypowiedziano na temat śmierci Kacpra.

- A ślady stóp?

- Mamy tylko odciski butów pani Wandy. Co dziwne, znajdują się prawie cztery metry od miejsca, w którym leżało ciało zmarłego - zauważył policjant.

- To wiem - wtrącił komendant.

- Znaleźliśmy też odciski adidasów ofiary... Mikołaj leżał zwinięty we wnęcie i najprawdopodobniej w ogóle się z niej nie ruszał.

- Czyli co? Chcecie mi powiedzieć, że morderca lewitował w powietrzu?

Na to pytanie śledczy wzruszył ramionami.

Komendant otarł ręką czoło, po czym oparł obie ręce na

biodrach.

- Cholera jasna! - krzyknął, chwytając się za kolano.

- Komendancie, wszystko w porządku?

Ten nic nie odpowiedział. Nie chciało mu się po raz kolejny wyjaśniać, że to pozostałość po wypadku samochodowym sprzed przeszło pięciu lat.

- Mamy problem... Możemy liczyć albo na panią Wandę, która postradała zmysły już doszczętnie, albo na siedmioletniego dzieciaka z lekkim bądź cięższym upośledzeniem - powiedział wściekły do stojącego w pobliżu policjanta, choć tak naprawdę to po prostu głośno myślał. - Musimy zaangażować w śledztwo rodziców chłopca i psychologa. Nie wiem, na ile dzieciak będzie w stanie nam pomóc - dodał.

Choć starał się nie dopuszczać myśli, że obłąkana kobieta mówi prawdę, to jednak nie dało się zaprzeczyć, że przy braku jakichkolwiek śladów morderstwa, jej teoria stawała się coraz bardziej wiarygodna. Z jednej strony takie postawienie sprawy kłóciło się z jego poglądami, z drugiej - nie posiadał żadnej alternatywy z wyjątkiem jeszcze mniej możliwej wersji, czyli uznania, że nastolatek umarł z powodu nagłego zatrzymania krążenia.

Gdyby zgodził się z teorią pani Wandy, musiałby jednocześnie przyjąć możliwość... że bunkier jest nawiedzony. W momencie kiedy doszedł do takiego wniosku, odrzucił natychmiast tę wersję, bo tworzyła ona w jego umyśle całkowity chaos.

ROZDZIAŁ XIII

Zbliżało się popołudnie. Słońce chowało się, pozostawiając po sobie pomarańczowo-różową barwę nieba. Dwaj chłopcy coraz śmielej kręcili się po okolicy. Nie przejmowali się, że mogą zostać zatrzymani przez policję. Uznali, że trwają poszukiwania dzieciaka, więc nikt nie zawróci sobie nimi głowy. Nie wiedzieli, że Mikołaj już od paru godzin przebywa w szpitalu, a w bunkrze trwa śledztwo związane ze śmiercią ich kumpla. Może gdyby dotarła do nich ta informacja, nie przyszłoby im do głowy szukać kolejnej ofiary, która miałaby stać się zadośćuczynieniem za porażkę poniesioną na moście.

- Pewnie... ten... Rudy nas szuka - wyjąkał Drağal.

- Może dowiedział się już o wpadce ze staruchem i nie chce mu się nawet z nami gadać! - oznajmił jakby z rozgoryczeniem i zawodem Wojtas.

*

Kiedyś przy kamienicach budowano komórki, szopy oraz - choć rzadko - garaże. Te pomieszczenia po wielu latach użytkowania zaczynały przypominać graciarnio-rupieciarnie. Wrzucano tu narzędzia, rowery, stare dziecięce wózki, półki,

pojedyncze szuflady - jednym słowem - wszystko to, co zalegało w mieszkaniach. Niektórzy przez zimę trzymali tu węgiel albo drewno.

Naprzeciwko kamienicy Wojtasa mieścił się szereg takich pomieszczeń. Szary budynek podzielony był na osiem niewielkich komórek, do których wchodziło się przez zlepione z desek drzwi. Gdyby chciało się zobaczyć, co znajduje się w środku, wystarczyłoby przystawić oko do jednej z licznych szpar między dechami. Z daleka komórki przypominały cele więzienne. Nie wiadomo było jeszcze, jaki plan mieli chłopcy, ale z pewnością był on związany z tymi komórkami.

- Jak go tu ściągniemy? - dopytywał Drągał, gdy zbliżali się do mieszkania Kuby.

- Normalnie. Zapukamy w szybę i każemy mu wyjść.

- A jak będą jego starzy?

- Mówię przecież, że zapukamy w szybę! Przecież nie od sypialni starych!

Gdy dotarli na miejsce, Drągał pochylił się, a Wojtas wskoczył mu na plecy. Okno od pokoju Kuby znajdowało się ponad dwa metry nad ziemią.

- Jest tam?! - dopytywał Drągał, chwiejąc się na swoich chudych szkitkach.

- Przestań się tak wiercić, to może zobaczę cokolwiek!

- No spoko, no nie? Ale w sumie to też masz grubą dupę - odpowiedział Wojtasowi Drągał, chichocząc.

Gdyby nie fakt, że Wojtas siedział na jego plecach, to najpewniej dryblas oberwałby w łeb, ale w takiej sytuacji ten na górze ścisnął tylko uda, jedynie delikatnie podduszając

swojego kolegę.

- Co robi? - niecierpliwił się Draąg, najwidoczniej opadając z sił, bo próbował masować sobie barki.

- A jak myślisz? Wpięrdziela coś, grubas jeden, przed komputerem! - odpowiedział zdenerwowany i zapukał.

Za moment wykonał ręką gest, mający przywołać Kubę do okna. Dwóch chłopaków nie pomyliło się w swoich przewidywaniach. Kuba za moment pojawił się przed głównymi drzwiami. „Jak zwykle wygląda jak kozioł ofiarny. Co za oferma! ” - pomyślał Wojtas. Gdyby nie strach przed reakcją tej dwójki, Kuba najpewniej z płaczem pobiegłby do rodziców.

- Cco ode mnie chcecie? - zapytał, lekko się przy tym jękając. Na sam ich widok dostawał wewnętrznych drgawek, a żołądek zaczął mu się obkurczać, powodując nieprzyjemne klucie.

- Mamy sprawę. Musisz pójść z nami - odpowiedział Wojtas.

Wzrok Kuby zdradzał nieufność, jakby przewidywał, że propozycja chłopaków związana jest z jakimś ich kolejnym okrutnym pomysłem.

- A po co ja wam jestem potrzebny? - dopytywał, chcąc wyczuć ich zamiary.

- Nie możemy dojeść ciasta, no nie - zaśmiał się Draąg.

Ale śmiał się tylko on, dlatego za chwilę zapadła cisza, którą przerwał gruby chłopiec.

- Myślałem, że tu dzisiaj nie przyjdziecie - wybełkotał niepewnie.

- A to niby czemu nie? - spytał Wojtas, jakby tknęło go jakieś przeczucie.

- No bo wasz kolega nie żyje... - wyszeptał Kuba.

- Że co?! Jaki nasz kolega?

- Rudy.

- Co ty, grubasie, gadasz?! Chyba ci się coś pomyliło! - krzyknął Wojtas, a Drągał stał z szeroko rozdziawioną gębą. Przełykał co jakiś czas ślinę.

Dopiero po trzydziestu sekundach milczenia odezwał się:

- Rudy na pewno nie, Rudy przecież dałby sobie radę...

Chłopcy, chcąc nie chcąc, zeszywnieli i nawet głupkowaty uśmieszek Drągala gdzieś zniknął. Wytarł on w rękaw koszulki pot z twarzy i mrugał powiekami tak, jakby chciał usunąć muszkę, która mu wpadła do oka.

- Idziesz z nami, Grubasie!

- Nie - powiedział Kuba, jakby wykorzystując fakt, że nie ma wśród nich trzeciego kolegi.

Można byłoby nawet uznać, że w końcu znalazł w sobie odwagę. Przeczyły jednak temu przerażone oczy i coraz wyraźniejsze bordowe rumieńce na jego twarzy. Gruby chłopiec złapał się za brzuch, jakby obawiał się, że dostanie od któregoś z nich kolaniem prosto w żołądek. Wojtas złapał go za kark i zaciągnął w stronę baraków.

- Myślisz, że jak nie ma Rudego, to Drągał nie wsadzi ci fajki w oko?! - krzyknął, nachylając się nad nim z zaciśniętą pięścią.

Wydawało się, jakby przez moment się zawahał, ale po sekundzie trzymał znów chłopaka za szyję i palcami

rozszerzał mu prawe oko, tak aby Kuba nie mógł zamknąć powieki.

- Drągał, chodź tu z tym papierosem! - krzyknął, a pod Kubą automatycznie ugięły się kolana.

- Aaa! Ratunku! - wrzasnął, ale w tym czasie palce Wojtasa wbiły mu się w skórę jeszcze mocniej, odsłaniając całą gałkę. W środku zielonych tęczywek Kuby było widać powiększoną źrenicę, wpatrzoną w zbliżający się żar papierosa, którym celował Drągał. - Aaa! Ratunku! - krzyczał jeszcze głośniej Kuba, próbując wyrwać się z uścisku dwóch dryblasów. Nie potrafił pojąć, dlaczego to właśnie jemu chcą zadać taki ból. Przecież nigdy im w niczym nie zawinił.

Przy jednym z baraków stali pijaczkowie, ale nawet jeżeli by podeszli, Drągał i Wojtas jednym odepchnięciem powaliliby ich na ziemię.

- A co ci szczyłe tam wyprawiają? - odezwał się któryś z nich, ale w tym samym czasie, chwiejąc się, niepewnym ruchem dłoni przechylił butelkę taniego wina i wlał jej zawartość do gęby.

Im głośniej Kuba się darł, tym mocniej Wojtas wbijał mu paznokcie w twarz. Drągał powoli zbliżał się do jego oka. Kuba próbował odepchnąć wysokiego chłopaka, ale jego ręce dosięgały jedynie do klatki piersiowej tamtego. Szczypał go, przygniatał, szarpał za koszulkę, ale wydawało się, że Drągał nie czuje żadnego bólu.

- Ty nam będziesz, beczko łoju, odmawiał?! - powiedział Wojtas, ale w tym samym czasie rozluźnił uścisk.

Nie chciał tego robić... ale stało się.

- Co robisz, Wojtas? - pytał Drągał, kiedy zorientował się, że Kuba wysunął mu się spod ręki. Spojrzał na swojego kumpla, ale tamten stał metr od niego blady i jakiś sztywny.

Powietrze nie zmieniło swojego składu. Chmury przesuwały się z taką samą, niewielką prędkością, woda w zalewie drgała, jedynie cztery drewniane koty powoli obracały łbami - i tym razem nie robiły tego zgodnie z kierunkiem wiatru.

Sekundę później do kolegi dołączył Drągał. Teraz obaj stali nieruchomo i patrzyli na ścianę kontenera. Niczego tam nie było, a jednak chłopcy wyglądali na przerażonych. Na dworze wszystko ucichło. Nie było słychać nawet stukotu kół o szynę. Wojtas ukląkł na trawie.

Po chwili coś dziwnego zaczęło dziać się z Drągalem. Jego nogi nie były w stanie utrzymać ciężaru ciała, z powodu czego chłopak legł na trawie obok Wojtasa. Obaj mieli w tej chwili sine twarze i zamglone oczy. Ich ciała zaczęła pokrywać gęsia skóra. Po chwili trzęśli się jak w febrze. Było im zimno. Dryblas zrobił się blady, nawet jego piegi zaczynały bieleć. Jednomiarowy, ale głośny i niszczący pisk zaczął wwiercać się we wszystkie jego kanały słuchowe, powodując, że chłopak krzywił się i przekręcał głowę, walcząc z nieuniknioną głuchotą. Żyły na szyi tak mocno się uwypukliły, jakby miały zamiar eksplodować litrami krwi.

- Jezu! - wydusił.

Dziewczyna, którą nazywano w miasteczku nieznaną, wyszła zza szeregu komórek. Zdawało się, że nikt jej nie dostrzegł, a ona wpatrywała się w klęczących chłopaków

z pełnym nienawiści wzrokiem. Poruszała delikatnie długimi palcami w taki sposób, jakby właśnie oplatała im pętle wokół szyi. Przyszła tu, aby zadać im ból – to pewne. To, co właśnie przeżywali chłopaki, było związane z jej pojawieniem się. Choć wydawało się to irracjonalne, ona sprawiała im cierpienie, jakie sobie w tej chwili wymyśliła.

Drągała mężczyźni odruch wymiotny, niemiłosiernie go mdliło, ale treść żołądka nie mogła mu przejść przez przełyk i gardło, bo te wypełnione były tysiącami ropnych pęcherzów, które mogły w każdej chwili pęknąć, pozbywając się żółtego płynu. Chłopak miał w buzi język, myśląc, że walczy z jakąś oderwaną gąbczastą tkanką drażniącą mu podniebienie. Dryblasza paliło całe wnętrze, a trwało to tak krótko i było tak intensywne, że chłopak nie robił nic innego, tylko na wszystkie bóle reagował, wyginając twarz jak w lustrze pokoju śmiechu w wesołym miasteczku. Do śmiechu mu jednak zdecydowanie nie było, bo wydawało mu się, że powinien podeprzeć dłońmi opadającą zuchwę, która zgodnie z siłą grawitacji chciała opaść mu do samych kolan. Czuł, jak dolna szczęka przybiera na wadze, żeby za moment oderwać się i dogorywać samotnie na betonie.

Wojtas przeżywał wstrząs przedśmiertny nieco inaczej, ale równie boleśnie. On padł na ziemię jak porażony prądem. Rzuciło nim w obrębie koła odrysowanego cyrklem. Dziewczyna stała nad nim i poruszając palcami, dziobała go po całym ciele, jak sęp odrywający płaty skóry z ciepłej jeszcze padliny. Rozciągała błony między palcami i ciachała je żyletkami. Cały tułów pokrywały mu ropniaki, wrzody i strupy,

z których sączyła się brunatnobrązowa lepka maź. Miał wrażenie, że za chwilę przypełzną do niego wszystkie możliwe gatunki robaków chętnych na żywca zjeść mu ciało. W ustach miał metaliczny posmak, później odniósł wrażenie, że całą gębę wypełnia mu jego własny śluz. Przetaczał przez siebie miliony kęsających go mrówek. Myślał, że oczy wypełnia mu siatka kruchych naczyń krwionośnych, które połamią się na miliony kawałków, zlewając się w czerwoną plamę krwi, która stanie się jego jedynym widokiem; a rozkruszone naczynia będą go boleć podobnie, jakby ktoś rozszerzył mu oko i wrzucił w nie rozbite szkło ciachające mu od zewnątrz gałki.

Podobnie jak u Rudego, paraliż wszystkich kończyn zaczął postępować, ale na jego szczęście nie zajął jeszcze języka, przez co zyskał szansę na ostatnią wypowiedź:

- Błagam, niech to się już skończy! - krzyknął, a po czerwonej i nabrzmiałej twarzy pociekły mu łzy.

Patrzył na krzywiącego się we wszystkie strony kumpla, mając nadzieję, że i on wydusi z siebie modlitwę o przebaczenie, ale struny głosowe Draęala przypominały napiętą żyłkę, którą zaraz ktoś przetnie nożyczkami.

Lecz nagle stało się coś niespodziewanego. Dziewczyna oderwała od nich na chwilę swoje intensywne spojrzenie. Spojrzała w górę, znowu na klęczących chłopaków i krok po kroku zaczęła się wycofywać. Znikła, a Wojtas i Draęal przestali odczuwać jakikolwiek ból.

- Panowie, będziecie odpowiadać przed sądem dla nieletnich za usiłowanie zabójstwa - powiedział policjant, który wyrósł jak z podziemi i skuł kajdankami Wojtasa.

Drągał stanął jak wryty, próbując zrozumieć, co się właściwie dzieje... ale i za nim stał już funkcjonariusz chwytający go za nadgarstki.

*

Tego wieczoru komendant siedział przy ledwie świecącej biurowej lampie i przeglądał zeznania, zdjęcia i inne dokumenty zebrane dwadzieścia lat temu podczas śledztwa związanego ze śmiercią Kacpra. Porównywał śmierć obu chłopców i doszedł do wniosku, że w obu sprawach są ogromne luki, o dziwo wynikające nie z zaniedbania, a z braku dowodów. Nie została określona przyczyna śmierci ani nie znaleziono żadnego śladu. Przypadki łączyło miejsce zbrodni, czyli podziemny schron, i osoba pani Wandy – kobiety będącej świadkiem morderstw. „Skoro jest obłąkana, to może zabiła, może cierpi na schizofrenię, jak facet z 1977 roku znaleziony w kanalizacji ” – myślał.

Komendant zastanawiał się również nad ofiarami. Obaj chłopcy byli młodzi i nie cieszyli się najlepszą opinią wśród mieszkańców. Niektórzy mówili na nich „zwyrodnialcy ” albo „bestie ” – wydźwięk tych określeń był jednakowy: zachowanie chłopców odbiegało od normy.

Wczoraj w tym pokoju siedziało trzech chłopców, którzy twierdzili, że nie zrobili dziecku nic złego. Kłamali – to nie ulegało wątpliwości. Komendanta do teraz szokowało bystre spojrzenie rudego chłopaka. Ten nastolatek budził w nim pewną trwogę... a może nawet – choć wstyd mu się było przyznać do tego nawet przed samym sobą – czuł przed nim

strach? Ten młody człowiek obrzucał obelgami własnych kumpli, panią Wandę, małego Mikołaja - oni wszyscy byli w jego mniemaniu robalami, których powinno się zdeptać. Policjant wyobrażał sobie, jak matka i rodzeństwo Rudego bali się o własną skórę, choć czasem zdarza się, że w domach ludzie jego pokroju mydłą wszystkim oczy - udając pokornych i nieśmiałych. W ten sposób żerują na czyjeś dobroci. Komendant nie wiedział, jak było w przypadku Rudego - wiedział jednak na pewno, że jego śmierć będzie opłakiwana przez nielicznych, a i to jedynie z poczucia obowiązku, a nie z wewnętrznej potrzeby.

- Panie komendancie - przerwał mu rozmyślania młody praktykant - zbliża się pora objazdu.

- Czekaj, pojedę z tobą - odparł komendant. - Ostatnio w mieście za dużo się dzieje. Sprawdzimy, czy komuś nie zachciało się organizować pielgrzymek po bunkrze.

- Chce pan teraz wchodzić do bunkra? - pytał lękliwie młody. Nie wiedzieć czemu, za każdym razem na myśl o zwiedzeniu podziemi doznawał delikatnych skurczy żołądka.

- A co? Ty też za moment wysnujesz przypuszczenia o grasującym tam duchu? - zapytał ironicznie komendant.

- A ktoś tak stwierdził? - powiedział młody, błędąc.

- Co z wami?! Jak ty chcesz zostać policjantem, skoro boisz się ciemności?! - pytał pół żartem, pół serio.

- Moja babcia zwykła mawiać, że są rzeczy na niebie i ziemi, o których się filozofom nie śniło.

- To chodź, zobaczmy, o jakich to rzeczach mowa...

Zamknęli drzwi od gabinetu komendanta, wsiedli do

samochoodu i po pięciu minutach zaparkowali niedaleko wjazdu.

Wydawało się, że całe miasteczko spało, a dwóch policjantów chciało... a właściwie tylko komendant próbował udowodnić – przede wszystkim sobie – że nawiedzony bunkier istnieje tylko w wyobraźni obłąkanej Wandy.

Praktykant zauważył, że zwisające z dachu świetlicy jakieś stare kable poruszają się nieznacznie, jak pod wpływem delikatnego wietrzyku, ale tego wieczoru wiatru nie było. Panowała tu nadzwyczajna atmosfera, nieco mroczna, ale tylko młody był w stanie przyznać, że ją wyczuwa.

- Szefie... nieprzyjemnie tu. Czuję się, jakbym spacerował w środku nocy sam po odkopanym cmentarzysku.

- Nikt nie mówił, że zaprosiłem cię do teatru.

Zanim młody policjant zdążył znów odpowiedzieć, coś gwałtownie otworzyło wjazd, do którego dopiero się zbliżali. Komendant natychmiast podbiegł do wlotu, podnosząc policyjne taśmy sygnalizujące zakaz wstępu nieupoważnionym osobom, po czym oświetlił wejście do bunkra latarką. Nikogo nie zobaczył. Nie odezwał się, ignorując dziwny początek nocnego patrolowania miasta, tym razem tego podziemnego. Wydawało się, że ktoś zapraszał ich do środka, dawał sygnał, że droga wolna.

Księżyc nie był tej nocy ani okrągły, ani biały. Zlewał się z granatowym niebem i nikał, żeby później znów wyłonić się zza kłębiących się w jednym miejscu chmur. Pojedyncze błyszczące gwiazdy nagle gasły albo spadały w podniebną otchłań. Zanim młody zszedł za komendantem do bunkra, zlustrował otoczenie. Miał wrażenie, że tylko on dostrzega

niepokojące znaki, które dawała im przyroda, a może coś zupełnie innego... Piłka pozostawiona przez dzieci na boisku przypominała mu w tej chwili urwaną głowę. Nie mógł podzielić się z szefem takimi spostrzeżeniami, bo co w takiej sytuacji miał powiedzieć? Mimo tego, nie mógł opędzić się od skojarzenia piłki z odwróconą w jego stronę twarzą – twarzą, która w dodatku posiadała krwawiące oczodoły. Sam nie miał pewności, czy zaczyna wariować, czy piłka jest po prostu pokryta błotem, a nie ciekącą krwią.

Wiatr strącił wcześniej z trawnika skoszoną trawę, która wysuszyła się na słońcu i zwinęła w kłębek na chodniku, jednak praktykant nie widział zwykłego siana, a pukiel czyichś włosów. Natychmiast oderwał wzrok, tłumacząc sobie w duchu, że miał omam, ale gdy stojąc w tym samym miejscu, poczuł dreszcze i przeszywające zimno wraz z towarzyszącym temu ochłodzeniu smrodem padliny, zakłuło go ze strachu w brzuchu.

- No młody, dawaj! – pospieszył go komendant.

Praktykant zeskoczył za nim, mając wrażenie, że nadepnął na coś stopą... na coś, co pisnęło i z machającym ogonem przeleciało obok niego, niknąc na końcu korytarza.

- Widział to szef?!

- Co takiego?

- Psa!

- Jakiego znowu psa? – denerwował się komendant. Ale czy komendant naprawdę był wolny od jakiegokolwiek przecucia albo nie miał dziwnych przewidzeń?

Odkąd wyszli z samochodu, a młody wspomniał

o „nieprzyjemnej atmosferze ” - czuł, że powinien przyznać tamtemu rację. I on dzisiaj wyczuwał coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył - wrażenia, że są obserwowani. Rozwarcie się włazu, kiedy oni właśnie się do niego zbliżali, było co najmniej tajemnicze. Gdy był jedną nogą w bunkrze, a reszta jego ciała znajdowała się jeszcze na zewnątrz, robił dokładnie to, co młody - przyglądał się okolicy. Nie widział ludzkiej głowy zamiast piłki ani pukla włosów, ale czyjś cień na chodniku. Jak za dnia, gdy ktoś stanie tyłem do słońca, widzi na betonie swoją sylwetkę - on też widział, z tym że nikt nie stał tyłem do słońca... w ogóle nikt tam nie stał. Ani tyłem do latarni, ani do czegokolwiek. W dodatku cień nie był wcale nieruchomy, zmieniał swoje położenie, szedł prostu do bunkra. Przesuwał się tak szybko, że komendant cofnął swoją nogę, aby „wejść za cieniem ”. Smród padliny towarzyszył obu policjantom. Młody poczuł go, gdy cień go mijał, komendant, gdy cofnął nogę, aby przesuwaną się „czarna plama ” przeszła pierwsza.

Praktykant musiał przyznać, że z chwilą, kiedy pojawili się w bunkrze, nie było mowy o odwrocie. Nawet gdyby chciał wyskoczyć na zewnątrz, coś uniemożliwiało mu podjęcie takiej decyzji. Miał wrażenie, że ktoś położył mu dłoń na plecy i popycha w głąb bunkra. Choć nie czuł niczyjego dotyku i wyboru drogi dokonywał sam, to jednak wydawało mu się, że ktoś wręcz każe mu stawiać kroki naprzód.

- Komendancie...

- Ci...

Starszy policjant miał podobne odczucia, jak jego młodszy

partner, ale z racji swoich poglądów nie dał się tak łatwo ponieść emocjom i wyobraźni. Dochodził do niego intensywny smród. Nie potrafił sklasyfikować zapachu. Z jednej strony wydawało mu się, że to zwykłe gówno, ludzkie odchody, które zanieczyszczają powietrze, z drugiej jednak – czuł taki zapach za każdym razem, gdy po dłuższym czasie odnaleziono czyjeś ciało. Smród mógł się wydobywać z rozkładających się, gnijących zwłok. Smród mógł być zatem padliną.

- Komendancie...

- Wiem: śmierdzi. Przyzwyczajaj się, synu, bo takie zapachy wielokrotnie towarzyszą tej pracy.

- Nie o to chodzi – mówił młody z tak przerażoną miną i bladą skórą, że nawet panująca wokół ciemność nie przyćmiła tego jaskrawego koloru twarzy praktykanta.

- Przed panem...

- Co przede mną...?

- Widzę kogoś, ktoś tam stoi – wydusił powoli i wręcz szeptem młody, wlepiając wzrok w dokładnie nieokreślony punkt znajdujący się przed nim i dwa, może trzy metry za plecami odwróconego w jego stronę komendanta.

Komendant, idąc za spojrzeniem kolegi, przyświecił latarką miejsce wskazane przez praktykanta. Musiał przyznać, że już dawno temu krople potu pojawiły się na jego czole.

- Niczego tam nie widzę – mówił, gdy tymczasem praktykant wypuszczał z płuc powietrze głośniejsze i szybciej niż po przebiegnięciu maratonu.

- Panie komendancie... to się przybliżyła... – ciągnął, ale

komendant nie był świadomy, że tuż za jego plecami stoi niewyraźna kobieca sylwetka, więc ruszył dalej.

Postać znikła, by za moment pojawić się znowu w odległości trzech metrów od świecących latarkami policjantów. Mimo tego, że komendant jej nie widział, to szedł dokładnie tymi korytarzami, na których pojawiała się i znikła trudno dostrzegalna dziewczyna.

Teraz obaj mieli silne przeczucie, że ktoś prowadzi ich za rękę. Nie znali jedynie powodu, dla którego ten ktoś to robi.

Gdyby przyjrzeć się teraz zachowaniu, postawie i minie obu policjantów, można byłoby wywnioskować, że byli wystraszeni, a zbliżając się do rogu albo przechodząc do kolejnej izby, wciągali powietrze i nie wypuszczali go z ust, póki nie upewnili się, że w bunkrze nie ma nikogo prócz nich.

Przypominały im się wszystkie dziecięce opowieści o duchach i innych straszydłach. Teraz byli dorosłymi mężczyznami pracującymi nad przedziwną sprawą, związaną z czymś nierealnym – o czym zresztą komendant nie chciał nawet słyszeć.

- A może to jest ta twoja tajemnicza postać, stojąca za moimi plecami? - śmiał się komendant, kucając i głaszcząc białego kudłatego psa. - Skąd ty się tu, psiaku, wzięłeś, co? - pytał, ale w tym momencie zwierzak wysunął się policjantowi spod dłoni i pobiegł w głąb bunkra.

Z daleka dochodziło sapanie i cichy pisk, dlatego funkcjonariusze poszli jego śladami.

- Mówiłem przecież, że widziałem psa - powiedział praktykant.

Komendant nie słyszał słów młodszego kolegi, bo właśnie dostrzegł zwierzę siedzące przy małych zielonych drzwiach.

- Znów te drzwi - dziwił się praktykant, chwytając za klamkę. - I znów zamknięte. To nie są te same, prawda? - zapytał po chwili.

Komendant wydawał się zamyślony. Oglądał drzwi bardzo dokładnie. Dotykał ich framug, stukał w nie i próbował odnaleźć w pobliżu klucz, który mógłby pasować do kłódki. Za moment podłamał się jednak, bo nie znalazł niczego, czym mógłby je otworzyć.

- To stara mosiężna kłódka, nie otworzymy jej byle jakim drucikiem - stwierdził.

- Komendancie, czy to możliwe, żeby były to te same drzwi, które mijaliśmy, będąc na ostatnim poziomie bunkra? - powtórzył praktykant.

Komendant spojrzał na niego, podniósł brwi do góry i już miał posądzić młodego o szaleństwo i głupotę, kiedy ugryzł się w język i odpowiedział:

- Teoretycznie nie i jeszcze przed piętnastoma minutami kazałbym ci spakować manatki i opuścić mój komisariat, ale w świetle dzisiejszych wydarzeń... - mówił, przerywając i zastanawiając się wciąż nad doborem słów - nie umiem ci odpowiedzieć i też mnie to zastanawia.

Pies stał przy zielonych drzwiach i tym razem nie ruszył się z miejsca.

- A gdybyśmy spróbowali je wyłamać - zaproponował praktykant.

Komendant pokiwał głową, zgadzając się. Zwierzę jakby

przewidziało zamiary funkcjonariuszy, bo wstało spod drzwi i przystanęło dwa metry dalej, machając ogonem.

Policjanci rozpędzili się i z całych sił uderzyli nogami w drzwi, ale te ani drgnęły.

- Kurwa! - krzyknął komendant, łapiąc się za łydkę. - Co my robimy?! Przecież tam niczego nie ma! - wrzeszczał zdenerwowany. - Ja chyba oszalałem!... Idziemy stąd, nikogo tu nie ma i niczego ciekawego tu nie znajdziemy! - rzucił nagle i zaczął pospiesznie iść w stronę wyjścia.

Można było odnieść wrażenie, że komendant czegoś się wystraszył, bo niemal uciekł z bunkra. Praktykant posłusznie szedł za nim i w głębi serca czuł ulgę, że opuszczają to straszne, nawiedzone miejsce.

*

Gdy po ciężkim i długim dniu pracy komendant wrócił do domu - cieszył się jak nigdy. Gdy tylko wszedł do swojej sypialni, której nie dzielił z nikim od przeszło dziesięciu lat, po tym jak jego żona umarła po ciężkiej walce z nowotworem, zapalił stojącą na szafce lampkę i nie zdejmując ubrań, położył się na łóżku z rękami splecionymi pod głową. Światło i obecność w znajomych kątach dawało mu poczucie komfortu i możliwość przyjrzenia się dzisiejszym sprawom z innej perspektywy.

Nie ulegało wątpliwości, że odkąd wyszedł z samochodu, który uprzednio zaparkował na szkolnym boisku zaraz przy wejściu do bunkra, odnosił wrażenie, że śni na jawie albo został wepchnięty w drugi, dotąd mu nieznan, wymiar

rzeczywistości. Wszystko to, co się tam wydarzyło i co odczuwał nie tylko on, ale i jego młodszy partner – było dalekie od normalności. Jakby na chwilę stracił kontrolę nad samym sobą, jakby działał pod wpływem czyjeś woli, jakby zabroniono mu wycofać się i wrócić na komisariat. Po prostu musiał wejść do schronu, czy tego chciał, czy nie. Towarzyszący mu wtedy stan umysłu mógłby teraz porównać do stanu po zażyciu narkotyku, który hamuje pracę mózgu i spowalnia reakcje. Nigdy nie zapomni unoszącego się w podziemiach zapachu, uczucia chłodu, poruszającej się po betonie czarnej plamy, dziwnego kudłatego psa, jeszcze bardziej tajemniczych zielonych drzwi i przerażonej miny praktykanta.

Jednak to nie te okoliczności spowodowały, że komendant ocknął się i postanowił zawrócić. Przed oczami stanął mu teraz moment, kiedy razem z praktykantem powzięli decyzję o wyłamaniu zielonych drzwiczek. W chwili uderzenia między deskami, w maleńkiej, ledwie dostrzegalnej szparce, wyłoniły się białe kościste palce, które prostowały się i pragnęły dotknąć ramienia komendanta. Widok tych nienaturalnych dłoni zadziałał jak wiadro zimnej wody chluśniętej na zaspaną albo nieprzytomną osobę.

Komendant jeszcze nie wiedział, z kim ma do czynienia, nawet nie snuł żadnych przypuszczeń, bo jakakolwiek teoria rozmijałaby się z jego dotychczasowym oglądem rzeczywistości. Leżąc na łóżku z twarzą odwróconą w kierunku sufitu, nie zauważył, że na dworze zaczęło już świtać, a nowy dzień może przynieść nowe tropy.

Po krótkim i niespokojnym śnie, w którym pojawiały się zamazane obrazy jego wędrówki po bunkrze, poszedł do pracy. Biuro świeciło pustkami. Wszyscy funkcjonariusze podwoili częstotliwość patrolowania ulic. Komendant rzucił torbę na blat biurka i wykręcił numer telefonu, który poprzedniego dnia zapisał na kartce.

- Dzień dobry, Marek Gawroński z miejskiej komendy policji - powiedział, gdy po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. - Czy syn odzyskał przytomność? - zapytał. - W takim razie wysyłam psychologa do szpitala - oznajmił takim tonem, jakby był zdenerwowany brakiem innych świadków.

*

Gdy komendant wszedł do szpitalnego pokoiku, w którym leżał podłączony do kroplówek Mikołaj, nie sądził, że widok tego chłopca wyrzeze na nim takie wrażenie. Dziecko było tak samo blade jak poduszka, na której mały opierał głowę. Jego wielkie szare oczy zatrzymywały się na różnych obiektach, ale nigdy nie na twarzy drugiej osoby. Unikanie wzroku kogokolwiek znajdującego się poblizu dopracował do perfekcji. Kiedy spojrzano się na jego buzię, odnosiło się wrażenie, że chłopiec lęka się wszystkich, włącznie z samym sobą. Mikołaj był tak kruchy, drobny i lekki, że materac, na którym leżał, ledwie się pod nim ugiął. Komendant chciał usiąść na skraju łóżka, ale nie był pewien, gdzie znajdują się nogi chłopca, które znikły pod warstwą zbyt dużej kołdry.

- Jest jeszcze słabiutki - powiedział pediatra, który

właśnie wszedł do pomieszczenia. – Nie wiem, na ile będzie w stanie państwu pomóc – wyjaśnił lekarz, ale funkcjonariusz, odkąd tu wszedł i zobaczył swojego małego i niepełnosprawnego świadka, nie spodziewał się sukcesów.

Widział przewracające się na wszystkie strony gałki oczne, rozchylone usta, nienaturalnie zgięte do wewnątrz nadgarstki, zbyt wiotką głowę, z trudem trzymającą się szyi. Policjant był pewien, że współpraca z Mikołajem nie będzie łatwa i pierwszy jej etap będzie polegał na złapaniu z nim kontaktu. Zdawał sobie sprawę z tego, że będzie to nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę, że na widok komendanta chłopiec wsadzał po kolei wszystkie palce do ust, ślinił rękę, a do oczu napłynęły mu łzy.

– Panie komendancie, muszę pana przeprosić, bo chciałam zostać z chłopcem sama – wtrąciła psycholog, która była w pokoju, zanim pojawił się funkcjonariusz.

– Tak, tak, oczywiście, już mnie nie ma – odpowiedział policjant i pośpiesznie opuścił szpitalny pokój.

Gdy wyszedł na korytarz, zobaczył siedzącego w poczekalni pana Kwiatkowskiego i Olgę. Podchodząc do ławki, jedną rękę schował za plecy, drugą wyciągnął w kierunku ojca Mikołaja.

– Dzień dobry. Nie spodziewałem się, że tak szybko będziecie próbować rozmawiać z moim synem – powiedział nieco poirytowany mężczyzna, wstając z ławki.

– Im szybciej, tym lepiej. Póki dziecko nie wyparło tego wydarzenia z pamięci, musimy dowiedzieć się, kto jest za to wszystko odpowiedzialny.

- Przecież wiadomo, że to ten rudy chłopak...

- Tak, ale rudy chłopak nie żyje, a my nie mamy śladów po dokonaniu zbrodni - wyjaśniał policjant.

- Myślicie, że mój syn wskaże wam przestępcę? - dziwił się ojciec.

- Mamy taką nadzieję.

Tymczasem psycholog przysunęła stołek możliwie najbliżej łóżka, aby być bliżej chłopca i móc złapać z nim kontakt wzrokowy. Im intensywniej się w niego wpatrywała, tym Mikołaj ze złości nabierał większych rumieńców.

- Tu jesteś bezpieczny, Mikołajku - mówiła, kładąc swoją dłoń na ręce dziecka.

Chłopiec natychmiast znieruchomiał i przyciągnął do siebie obie dłonie, ściskając z nerwów kołdrę.

- Nie bój się, już więcej cię nie dotknę - powiedziała ciepło pani psycholog, spodziewając się najpewniej takiej reakcji ze strony autystycznego dziecka. Wiedziała, że pacjenci z tą przypadłością unikają dotyku, nie lubią obcych ludzi i nie ufają tym, których nie znają. Uważała jednak, że każdy potrzebuje ciepła i zainteresowania ze strony otoczenia, i dlatego, choć reakcja pacjentów na to nie wskazuje, właśnie to jest najłatwiejszy sposób na złapanie z nimi jakiegokolwiek więzi. - Mikołajku, ostatnio przeżyłeś coś strasznego, wczorajszy dzień z pewnością był dla ciebie koszmarem... Czy mógłbyś mi powiedzieć, z jakiego powodu wszedłeś do bunkra?

Wydawało się, że pani psycholog zadała to pytanie zbyt bezpośrednio, może zbyt pośpiesznie, bo chłopiec zaczął szybciej oddychać i rozglądać się na boki, jakby nie wiedział,

gdzie się znajduje.

- Za tymi drzwiami jest twój tatuś, o nic się nie martw, w każdej chwili może tu przyjść - powiedziała, a Mikołaj rozluźnił dłonie, puszczając kołdrę i odsuwając ją spod brody.

To był dobry znak. Natychmiastowe wyjaśnienia psycholog uspokoiły chłopca.

- Mikołajku, zdradzisz mi, z jakiego powodu wszedłeś do bunkra?

- Olha tam - wydusił przerażony chłopiec, nie zdając sobie sprawy, że jego wypowiedź psycholog już uznała za sukces.

- Myślałeś, że twoja siostra tam jest... A co stało się później? - zapytała.

Wiedziała, że może zadać naraz tylko jedno pytanie, najlepiej prosto sformułowane i jednoznaczne. Dzieci autystyczne często nie rozumieją sugestii, żartu, ironii, zlepku słów ani podtekstu. Reakcja Mikołaja wskazywała na to, że wszystko to, co do tej pory osiągnęła, legło w gruzach. Chłopiec zaczął szamotać się na łóżku, wierzgać i skopywać kołdrę na podłogę. W ogóle nie zwracał już uwagi ani na nią, ani na to, że wbity ma w żyłę wenflon.

- Mikołajku, uspokój się - mówiła, ale dziecko wpadło w szał. - Mikołajku, proszę cię, nie krzycz - prosiła, wstając ze stołka. Wiedziała, że musi czymś przyciągnąć jego uwagę, dlatego zaczęła głośno pukać w szybę. Gdy pielęgniarka i zaniepokojony wrzaskami ojciec pojawili się w progu, chłopiec właśnie przestawał płakać, a psycholog odpowiednim ruchem dłoni wypraszała ich z pokoju.

- Oni tam! - krzyknął niespodziewanie chłopiec. - Oni tam,

nie Olha!

Z jego policzków ciekły łzy.

- Mikołajku, jacy oni? - dopytywała kobieta.

- Inni, którzy byli tam, w czarnym pokoju.

- Zrobili ci coś? - zapytała psycholog, korzystając z dobrej passy chłopca.

- Zimno, bolało, Mikołaja bolało, upadł i tu tak - tłumaczył, dotykając zranionego kolana.

- Pamiętasz kogoś jeszcze? Oprócz chłopców.

- Ona tam była.

- Jaka ona? Opisz mi ją? - brnęła psycholog i z nadzieją podeszła bliżej Mikołaja, ale dziecko natychmiast zaprzeczyło gwałtownym ruchem głowy. - Była młoda, stara? Czy ona też cię skrzywdziła? - pytała psycholog, zapominając, że chłopiec nie jest w stanie odpowiedzieć na zlepek pytań.

- Ona nie.

- Co nie? Wysił się, Mikołajku. To ważne.

- Ona nie zła.

- Ona cię nie skrzywdziła, tak?

Chłopiec pokręcił przecząco głową, po czym zakrył kołdrą twarz.

- Mikołajku, poczekam, aż na mnie spojrzysz - powiedziała, ale dziecko nie wychyliło się spod kołdry. - Nie chcesz już rozmawiać? - dopytywała się.

Kołdra zaczęła się ruszać i jedynym, co udało się kobiecie pojąć, był fakt, że Mikołaj obracał się w lewo i w prawo całym ciałem, dając tym samym sygnał, że nie wydusi już z siebie ani słowa.

- Przykro mi - powiedziała, wychodząc na korytarz, gdzie stali policjant i ojciec dziecka. - Chłopiec jest zbyt przerażony, aby mówić. Poza tym mam wrażenie, że nie wszystko rozumie. Nie pomoże państwu w śledztwie - dodała, odwracając się w stronę policjanta. - Jedyne, co możemy zyskać w całej tej sprawie, to trwały uraz psychiczny u Mikołaja, spowodowany zbyt dużym stresem - stwierdziła, skinęła w stronę dwóch panów i powoli oddaliła się, przechodząc przez szpitalny hol do głównego wyjścia.

- Szybko się poddała - burknął policjant do stojącego obok ojca chłopca, gdy ta znacznie się oddaliła.

- Przykro mi. Muszę zgodzić się z panią doktor. Nie będę narażał syna na stres.

- Oczywiście - powiedział komendant i podał ojcu rękę. - Gdyby jednak udało się państwu czegokolwiek dowiedzieć, proszę o informację - powiedział służbowym tonem, spojrzał na pana Kwiatkowskiego i siedzącą w pobliżu Olgę, wziął z poręczy krzesła rzuconą tam wcześniej kurtkę i odszedł.

ROZDZIAŁ XIV

Być może przejeżdżające z nadmierną częstotliwością pociągi albo wiatr poruszający łbami czterech drewnianych kotów, a może obumarłe otoczenie wokół zalewu powodowały, że miasteczko od zawsze uważane było przez mieszkańców za mroczne. Od dnia zaginięcia Olgi, a później jej niepełnosprawnego brata, od dnia śmierci kolejnego nastolatka w podziemnych bunkrach i rodzących się w związku z tym domysłów i hipotez, miasteczko zaczynało być uznawane za wręcz niebezpieczne, a przez starszych ludzi nazwane zostało przeklętym. Przeklętą zaczęto nazywać również Obłąkaną Wandę, z którą wiązano śmierć obu chłopców. „Była tam ta wiedźma. To nie przypadek ” - mówili jedni. „Nawiedzony babsztyl ” - dodawali drudzy. „Kiedy te straszne wakacje się skończą? ” - zastanawiali się kolejni.

Już od pierwszego dnia od wydarzeń ludzie żyli nimi. Lokalne media miały o czym pisać i rozprawiać. Mały Mikołajek nie zdawał sobie sprawy, że od pewnego czasu uważany jest za najważniejszą postać w tym mieście. Pojawiały się jego zdjęcia w gazetach. Psychiatrzy wypowiadali się na temat autyzmu, jego rodzajów i stopni.

Zastanawiano się, czy prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw i morderca zostanie ukarany. Rozprawiano, czy chłopiec wskaże sprawcę. Prawnicy dyskutowali nad tym, czy zeznania niepełnosprawnego dziecka mogą być w ogóle brane pod uwagę i uznane za wiarygodne.

Obłąkana Wanda natomiast próbowała przekonać policję, że życie obu chłopcom odebrał duch młodej dziewczyny.

- Jest pan Marek? - zapytała.

- Nie ma komendanta, jesteśmy tylko my. Proszę mówić wszystko, co pani wie na temat śmierci nastolatka.

- Zmarł, bo był złym dzieckiem - mówiła.

- Jak zmarł?

- Nie wiem. Po prostu odebrała mu możliwość oddychania.

- Kto, pani Wando, kto?

- Duch młodej kobiety.

- Skąd się tam wziął duch młodej kobiety... jakiej kobiety?

- Nie znam jej, ale od kilku dni przebywa w naszym miasteczku.

- Przebywa w naszym miasteczku? A jak wygląda? - pytał przesłuchujący, żując gumę i mrużąc ze znużenia oczy.

- Jest blada - zaczęła kobieta.

- No, nic dziwnego, to w końcu duch - przerwał, wykrzywając usta w półuśmiechu.

Pani Wanda, nie zważając na kpiącego z niej policjanta, kontynuowała wypowiedź:

- Wysoka, szczupła, delikatna, pociągła twarz, spore bladoniebieskie oczy...

- Ile może mieć lat?

- Dwadzieścia, może mniej - mówiła ze spokojem pani Wanda.

- Musiała być bardzo młoda, kiedy zabijała pani syna - wtrącił funkcjonariusz, zasłaniając dłonią drgające ze śmiechu policzki.

- Wtedy miała tyle samo lat co teraz - przerwała tym razem kobieta.

- A skąd pani się tam wzięła? - dopytywał policjant.

- Szukałam dowodów, jakichś śladów, które naprowadziłyby mnie na winnych śmierci mojego dziecka - tłumaczyła.

Policjant uniósł brwi do góry, spojrzał wymownie na swojego kolegę i odpowiedział, powoli tracąc cierpliwość:

- Pani syn umarł dwadzieścia lat temu. Sprawa została już zamknięta. Nigdy nie odnajdziemy sprawcy ani nie odpowiemy na pytanie: „Dlaczego go to spotkało? ”.

- Myli się pan. Po dwudziestu latach odkryłam prawdę...

- Tak? Jaką? - drwiąco pytał funkcjonariusz, obracając długopis między palcami i stukając nim co jakiś czas w blat biurka.

- Był złym dzieckiem, jak ten Emil - odpowiedziała kobieta, nie przejmując się, że policjanci słysząc te słowa, uznają ją za wariatkę.

- Pani Wando, źli ludzie przez całe swoje życie chodzą po tej ziemi i proszę mi uwierzyć, cieszą się świetnym zdrowiem...

- Myli się pan. Moje dziecko zostało zabite, bo na to zasługiwało. Było złe, nie miało serca. Tak naprawdę nie było

człowiekiem, więc musiało umrzeć.

- Pani Wando, pani syn był wtedy nastolatkiem, nie można jeszcze ocenić, jakim byłby człowiekiem w dorosłości - tłumaczył kobiecie policjant. - Nikt rozsądny nie zabiłby dziecka, tylko dlatego, że tak mu podpowiada instynkt.

- Ona wiedziała, że mój syn nie zmieni swojej złej natury. Jaki się urodził, taki by pozostał.

- Zdaje sobie pani sprawę z tego, że ja nawet nie spisuję protokołu z tej rozmowy. Potrzebna pani pomoc. Do powrotu komendanta pozostanie pani w areszcie.

Pani Wanda milczała, ale wydawało się, że lekceważące podejście funkcjonariuszy w żaden sposób nie rani jej, a już na pewno nie wpływa na jej opinię. Nie wstydziła się tego, co przed chwilą powiedziała. Wstała i powolnym krokiem, w towarzystwie policjantów, weszła do jednego z pomieszczeń służących za tymczasowy areszt.

*

To była jedna z tych chwil, która charakteryzuje ciszę po burzy lub ciszę przed burzą, a może i jedno, i drugie. Mieszkańców dopadało dziwne, niespokojne znużenie. Z jednej strony po wielu latach zdarzyło się coś, o czym można rozprawiać, z drugiej - wciąż nie wiadomo, kto jest winny kolejnej zbrodni. Minęły trzy dni odkąd odnaleziono zwłoki rudego chłopaka, a mały Mikołajek leżał w szpitalu. Przez te trzy dni mówiono, opowiadano, snuto domysły. W tym momencie powiedziano już wszystko, co można było powiedzieć, oprócz najważniejszego: Kto zabił? Jak zabił?

Dlaczego zabił? I ta właśnie niepewność trzymała ludzi w napięciu, jakby trwali w jakimś zawieszeniu, jakby czegoś oczekiwali. Z pewnością oczekiwali po prostu odpowiedzi.

Tego dnia pogoda wpasowała się w panującą atmosferę. Nie było ani słońca, ani silnego wiatru, ani nie padał deszcz – było po prostu nijak; a jednak chmury kłębiły się i zatrzymywały w jednym miejscu – nad zalewem, w pobliżu którego siedziało pięcioro przyjaciół: Majka, Monika, Mateusz, Karol i Olga. Przed jednym z domków letniskowych, do których kiedyś przyjeżdżały kolonie, na niskich drewnianych schodach, spod których wylaziły chwasty i zbyt długa trawa, Olga paliła papierosa. Cała piątka paliła, ale tylko Olga jak zahipnotyzowana patrzyła w kierunku starej muszli koncertowej i czterech drewnianych kotów. W końcu, wydmuchując dym, powiedziała:

- Czy tylko mnie się wydaje, czy te koty wiecznie obracają tymi łbami i irytująco trzeszczą? Czy wiatr wieje, czy nie wieje, czy zimno, czy gorąco – one zgrzytają na tym palu jak posrane! Nikomu jeszcze nigdy nie przyszło do głowy, żeby je wykopać?

- A patrz, może właśnie przyszło! – krzyknął Mateusz, wskazując palcem na kapiącego pod nimi kudłatego białego psa. – Burek się nimi zajmie.

- Dlaczego burek? Czyj on jest? Tak się wabi, Burek?

- Skąd mam wiedzieć, czyj on jest! Tak tylko palnąłem, że Burek.

- To skąd się tu wziął? – ciągnęła Olga.

- Nie wiem, nagle się pojawił... – powiedział Mateusz –

Czekaj, czekaj... - dodał po chwili - a on nie łąził z tą Pauliną?

- Wiecie, że chyba macie racje!? - krzyknęła Monika, wstając ze schodka.

- Przestań się tak podniecać! - fuknęła Olga. - Siadaj na tym tyłku.

- Słuchajcie, a czy ktokolwiek z was ją widział, odkąd ten Rudy został zamordowany?

- Nie, ale co to ma do rzeczy?! - obruszyła się Majka. - Chyba, że wierzysz obłąkanej Wandzie i też uważasz, że ona jest duchem... Słyszeliście o tym?

- A kto nie słyszał!? Całe miasto o tym gada!

Kiedy młodzi rozmawiali o obłąkanej Wandzie i jej zeznaniach, pies wciąż kopał pod czterema drewnianymi kotami, a Olga wpatrywała się w niego tak intensywnie, jak po koszmarze sennym człowiek wpatruje się w ścianę.

- Hej, Burek! - krzyknął Karol.

Pies ani drgnął.

- Ej, kundlu! - krzyknął raz jeszcze, wsadził dwa palce do ust i gwizdnął.

- Chyba ma cię w dupie! - zauważyła Majka.

- Cicho bądźcie! Słyszeliście?

- Chyba piszczy. Ej, Burek, co jest z tobą?! - krzyczał Karol.

Pies usiadł wyprostowany i wpatrywał się teraz w Olę i jej znajomych.

- On piszczy, czy warczy, bo już sama nie wiem? - pytała Majka.

- Podejdziemy do niego? - zaproponowała Olga, która

z jakąś dziwną fascynacją patrzyła na psa.

- Ja zostaje, boję się zwierząt - powiedziała Monika, która pamiętała, że gdy była dzieckiem, pies sąsiadów wsadził pysk między sztachety w płocie, złapał ją za nadgarstek i nie chciał puścić. Od tamtej pory unikała kontaktu z wszelkimi zwierzętami lądowymi.

Jako pierwsza poszła Olga. Ostrożnie i z niepewnością wyciągnęła rękę, aby pogłaskać kudłatego psa, ale w tym czasie zwierzę odskoczyło do tyłu.

- Dziwny jesteś. Pogłaskać się nie dasz, a piszczysz, jakbyś czegoś chciał. Co chcesz? Jeść?

- Olga, przestań gadać do psa i wracaj do nas! - usłyszała za plecami głos Mateusza.

Olga, nie zwracając uwagi na przyjaciół, kontynuowała swój monolog.

- Czego się tak na mnie patrzysz? Ogonem machasz, jakbym ci coś obiecywała. No chodź tu - powiedziała i zrobiła krok wprzód.

Pies ponownie odskoczył.

- Nie mam zamiaru cię ganiać. Chyba po to wykopałeś dół, żeby w nim leżeć, co? - zapytała psa i mimochodem zerknęła w kierunku ziemi. - Burek, wiesz, że zniszczyłeś pal i przez ciebie jeden z kotów się chwieje? Teraz trzeba to z powrotem usztywnić - powiedziała, a w odpowiedzi usłyszała pisk.

- Po co usztywniać? Wyciągnij to! - powiedział Karol, który właśnie podbiegł do pali i szarpnął za jeden z nich. - I po bólu! - krzyknął zadowolony.

Trzymał nad swoją głową pal wraz z łbem kota i jak

trofeum wymachiwał nim na boki. Gdy trząśł tak rygłem w powietrzu, nagle coś z niego wyleciało, odbiło się o ścianę muszli koncertowej i padło na trawę.

- A to co?! - krzyknęła Olga i podbiegła do miejsca, gdzie spadł niewielki przedmiocik. - Ale zajebisty klucz! - stwierdziła za chwilę. - Jaki on musi być stary! Popatrzcie! - mówiła głośno i przywoływała ręką pozostałych.

Teraz cała piątka pochylała się nad kluczem, który Olga trzymała w ręku. Był długi, na jego jednym końcu znajdowały się różnych kształtów ząbki, uwypuklenia, półkola, na drugim z kolei obręcz o kwiecistym wzorku, w środku której wydrążono głowę meduzy.

- Weź go do ręki, ogarnij, jaki on jest ciężki - powiedziała i podała go Mateuszowi.

Ten od chwili, gdy go zobaczył, nie mógł oderwać od niego wzroku.

- Gdzieś już widziałem ten wzorek - mówił, dotykając powierzchni klucza. - Wiem! W bunkrach - dodał za chwilę, wytrzeszczając oczy, jakby wygrał kasę na loterii. - Przy tych zielonych małych drzwiczkach była przymocowana kłódka z głową meduzy - wspominał Mateusz. - Pamiętacie je? Nie udało nam się ich otworzyć! Może ten klucz pasuje do tej kłódki?! - głośno myśląc, spoglądał na znajomych.

A ci stali wokół Mateusza i z obawą słuchali jego domysłów, bo wiedzieli, że jest kwestią czasu, kiedy ktoś zaproponuje kolejną wycieczkę po schronie.

- Skąd on się tu wziął... i gdzie Burek? - zapytała nagle Olga, rozglądając się na boki. Przeczesała wzrokiem cały

teren zalewu, ale białego kudłatego psa nigdzie nie było. – Czy ktoś widział, jak pies się oddalał? – dodała po chwili, ale nikt nie zwracał uwagi na to, co mówiła, każdy bowiem zajęty był kluczem.

Woda, mimo ciepłego lata, wyglądała na zamarzną – jej powierzchnia nie drgała, nie pływały też żadne kaczki – dlatego zalew przypominał teraz tafłę lodu. Rowery wodne, kajaki i inne stare sprzęty przymocowane do pomostu nie obijały się o siebie. Wydawało się, że między nimi rozciąga się długa sztywna lina, która unieruchamia je wszystkie. Nawet łby czterech, a właściwie już trzech, drewnianych kotów, które zazwyczaj trzeszczały pod wpływem najmniejszego wietrzyku – teraz jakby obróciły się w kierunku młodych i w takiej pozycji zastygły. Wydawałoby się, że za chwilę zaczną potakiwać głowami.

– Trzeba sprawdzić słuszność teorii Mateusza – pierwszy odezwał się Karol. – Nie usnę, dopóki nie otworzę tych cholernych zielonych drzwi – dodał.

– Ale zanim tam pójdziemy, ustalmy kilka zasad. Po pierwsze nikt nie wpada w panikę, jak zobaczy cień na suficie, po drugie każdy bierze ze sobą latarkę – dobrze działającą, po trzecie nikt nie opowiada w trakcie dziwnych historii, po których Majka dostanie ataku paniki.

– Gdzie pies? – ponownie pytała Olga, kompletnie nie słuchając wykładu Karola.

– Olga, czy ty ich w ogóle słuchasz?! – pytała Monika. – Oni chcą iść do bunkrów, znowu... Co ty na to?

– Spoko.

- „Spoko ”? Tylko tyle?!
- A co chciałybyś usłyszeć? Jeżeli chcecie, to pójdę.
- Olga, przecież trzy dni temu prawie...
- Monika, mój brat jest upośledzony, a ty nie, więc podejrzewam, że dasz radę znaleźć drogę powrotną...
- Nie o to chodzi. Pomyślałam po prostu... - mówiła powoli Monika - pomyślałam po prostu, że już nigdy nie będę musiała tam wchodzić. Słyszeliście, co mówił Pan na Wózku: tam ginęli ludzie... Poza tym obłąkana Wanda wspominała o duchu, nie dziwicie się, że mam wątpliwości.
- Monika, każdy z nas je ma, ale skoro już znaleźliśmy ten klucz, to musimy się upewnić, czy nie jest czasami od tych drzwiczek - przerwał Mateusz.

Nieważne było to, co mówili - prawda była taka, że każdy z nich bał się tak samo mocno. Ogarnęło ich irracjonalne uczucie strachu. Intuicja podpowiadała im, że zostali wciągnięci w jakąś grę i nie ma tu mowy o przypadku. Olga wciąż szukała wzrokiem białego kundla, który zniknął. Najnormalniej w świecie zapadł się pod ziemię. Reszta wpatrywała się w stary klucz, który znalazł się w ich rękach tak naprawdę nie wiadomo skąd. Po co pies wykopywał gigantyczny dół? Z reguły psy robią tak latem. Otoczenie również nie wyglądało tak, jak zazwyczaj. Wydawało się jakies skamieniałe, jedynie pociągi przejeżdżały po drugiej stronie zalewu z tą częstotliwością co zwykle.

Młodzi spoglądali na siebie tak, jakby chcieli odgadnąć, kto z nich boi się najbardziej. Majka patrzyła na Monikę z nadzieją, że ta wycofa się i zrezygnuje z ponownego wejścia

do podziemi. Mateusz - na Karola, Karol - na Olgę. Każde z nich mierzyło wzrokiem kolegę lub koleżankę obok tak, jakby czekało na sygnał z czyjeś strony, że to wszystko wydaje się być absurdalnym pomysłem. Taki sygnał jednak nie został dany, wręcz przeciwnie, jakaś wewnętrzna siła - albo podświadomość - kazała im z tym lękiem walczyć.

- Jak tam wejdziemy, skoro zablokowali oba wejścia? - pytała Majka.

- Czym? Tasiemkami? Myślę, że poradzimy sobie z taką przeszkodą - odpowiedział Karol.

*

Punkt dwudziesta, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Karol, Majka, Mateusz, Monika i Olga pojawili się na ulicy Staffa, zaraz przy zejściu na szkolny parking. Ulica świeciła pustkami. Za torami, gdzieś w okolicach baraków, słychać było przejeżdżające samochody, ale oni nie zobaczyli żadnego. Zanim skierowali się w stronę starej świetlicy, za którą znajdował się wjazd, przystanęli na kilka minut na ścieżce. Wydawało się, że tworzą w głowach plan. Przypominali sobie rozkład pomieszczeń w środku bunkra, ale o dziwo każde z nich zapamiętało go inaczej. Policjanci, szukając Mikołaja, mieli jakiś projekt bunkra, więc takowy istniał. Z jakiego zatem powodu każdy, kto był już w tych podziemiach, odnosił wrażenie, że wchodzi tam po raz pierwszy?

Monika obgryzała z nerwów paznokcie, a Majka czuła, jakby wszystko ją swędziało. Karol zabijał mrówki, mimo tego, że wcale na niego nie włąziły, z kolei Mateusz grzebał

syczorykiem w korze drzewa. Jedynie Olga spojrzała na zegarek, a później na swoich przyjaciół, nie rozumiejąc, dlaczego nadal stoją.

- Nie chcę was pospieszać, ale z tego, co się orientuję, to ta ścieżka nie jest naszym docelowym punktem...

- Już idziemy. Zastanawiałem się tylko, którądy właściwie będzie bliżej do tych drzwi... Ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie one właściwie były - powiedział Mateusz.

- Bo ich jest, głąbie, kilka - odpowiedziała Olga.

- Jak to?

- Pamiętam, że jak szukaliśmy z ojcem i Majką Mikołaja, to wielokrotnie mijaliśmy te drzwi, tak że nie ustalaj drogi, bo to nie ma sensu.

- To czego my właściwie szukamy?!

- Tego jeszcze nie wiemy. Będziemy otwierać wszystkie te drzwi i okaże się, co jest za nimi - odpowiedziała Olga, czując po raz pierwszy dziwny entuzjizm. Miała nawet ochotę klasnąć w dłonie, bo spodziewała się, że odkryje coś wyjątkowego.

Pierwsza pod tasiemkami przeszła oczywiście Olga i nie prosząc żadnego chłopaka o pomoc, sama chwyciła za wystający bolec i odsłoniła właz. Wślizgnęła się do środka, a po niej to samo zrobiły Majka i Monika.

- Kurwa! - krzyknęła Monika i w jednym momencie wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. - Podarłam sobie koszulkę o kawałek wystającego szkła.

- Dziewczyno, możesz nie straszyć?!

Przy wejściu do schronu ktoś rozbił szklaną butelkę, więc

nic dziwnego, że wchodzący mógł natrafić na jeden z kawałków wystającego z ziemi szkła.

W tych ciemnościach każde z nich czuło się z jednej strony przerażone, a z drugiej podniecone. W każdym razie emocje brały górę. Przerażenie wynikało z faktu, że gdyby nie latarki i światła telefonów nie widzieliby własnej ręki, konturów kogokolwiek i właściwie podobnie jak niewidomy przez całe życie – po prostu musieliby błądzić po omacku. Przerażała nie tylko ciemność, ale odgłosy dochodzące nie wiadomo skąd – czy to z wnętrza bunkra, czy z zewnątrz... Jeżeli z wnętrza – oznaczałoby to, że nie są tu sami, a kimkolwiek jest istota kręcąca się samotnie po schronie, nikt nie chciałby jej w tej chwili poznać. Grozę wywoływała także świadomość ostatnich wydarzeń. Każdego z nich mógł spotkać ten sam los, jaki spotkał Rudego. Odsuwali od siebie te myśli, ale w tej chwili mieli wizję własnej śmierci. Przerażała historia, przeszłość tego miejsca, przerażała ilość pajęczyn, zapach piwnicy, wilgoci, stęchlizny, ale największym źródłem strachu okazywała się wyobraźnia, która w takich okolicznościach obraca się przeciwko zdrowemu rozsądkowi, a wychodzi naprzeciw najgorszym załączkom ludzkiej pamięci, gdzie przechowane są najstraszniejsze obrazy budzące ogromną trwogę.

Podniecenie natomiast brało się ze świadomości przeżywania czegoś innego, czegoś, o czym można będzie opowiadać przyjaciołom i sąsiadom. Wzięło się również z chęci poznania prawdy i zaspokojenia ludzkiej ciekawości. Podobno człowiek pragnie doznawać wszystkich uczuć –

nawet tych nieprzyjemnych; niektórzy mówią, że w ten sposób się testuje, sprawdza swoją wytrzymałość i odwagę. Zatem ci młodzi decydowali się na testowanie swojej odwagi, błędząc po bunkrze, którego ściany były ledwie widoczne.

- Przeszliśmy prawie cały górny poziom, a zielonych drzwi jak nie było, tak nie ma... - zauważyła Majka.

- Muszą tu być, bo gdy byliśmy tu za pierwszym razem, to chodziliśmy tylko po tym poziomie i trafiliśmy na nie dwukrotnie - powiedział Mateusz.

Zastanawiali się, czy możliwe jest, aby ktoś z nim pogrywał. Robił ich w konia... Może po prostu coś ciągnie ich w głąb, obiecując odkrycie czegoś niezwykłego, a tymczasem przygotował dla nich zasadzkę. Całe to miejsce ogarniała tajemnica; ich również ogarnęła. Mieli wrażenie, że są w sidłach, w wielkim czarnym worku bez wyjścia, w labiryncie pełnym wszystkiego i niczego.

- Myśleliśmy o tym, co w ogóle może znajdować się za tymi drzwiami? - pytał Karol. - Zakładając oczywiście, że je znajdziemy...

- Podejrzewam, że nic. Poważnie - odpowiedziała Olga.

- Ktoś z jakiegoś powodu nie chciał, żeby je otwierać, inaczej nie ukrywałby klucza.

- Sugerujesz, że nie powinniśmy ich szukać?

- Nie, sugeruję, że ktoś nie chce, abyśmy ich szukali - powiedział Karol i popatrzył na Olgę w taki sposób, jakby chciał ją przestraszyć, dodać temu wydarzeniu jeszcze więcej grozy.

Z nieznanego jednak powodu, Olga mówiąc „Nic”, wcale

tak nie myślała. Wręcz przeciwnie - czuła, że te drzwi stanowią pewnego rodzaju zasłonę przed innym światem, niekoniecznie lepszym. Przypuszczała, że po ich otwarciu cofnie się do przeszłości... nie dosłownie, ale podejrzewała, że jest tam coś ważnego, co należało do innych czasów, a teraz zostanie na nowo powołane do życia.

- Słuchajcie, byliśmy już w tym miejscu, pamiętam tę połamaną belkę - powiedziała Majka.

Nagle pięć różnych strug światła zostało skierowanych na belkę, tym samym nikt nie spostrzegł, nawet nie podejrzewał, że za nimi stoi szósta postać - nie należąca do ich grona. Wyłoniła się z cienia i zatrzymała się tuż za Moniką, jakby chciała dosięgnąć jej ramienia i przytrzymać ją. Nic jednak podobnego się nie zdarzyło. Gdyby w tej chwili ktoś zrobił zdjęcie Monice, okazałoby się, że nie tylko ją objął obiektyw.

- Zimno mi - powiedziała Monika, ogrzewając dłońmi ramiona. Kiedy skuliła się z zimna i lekko pochyliła głowę, poczuła wzdłuż karku powiew chłodnego powietrza. Zastygła w bezruchu. - Mam wrażenie, że ktoś za mną stoi... - wydusiła nagle z wytrzeszczonymi oczami.

Była sztywna ze strachu. Zanim latarki oświetliły jej postać, minęła sekunda - dla Moniki najdłuższa sekunda w życiu. Dziewczyna nie miała wątpliwości, że powiało jej na plecy chłodnym powietrzem, które okrążyło ją z każdej ze stron. Czuła się, jakby stała za firanką, która zaczyna nabierać kształtów ludzkiej postaci i jest na tyle blisko, że może całą ją objąć. Na domiar złego znajomi oślepił ją latarkami, przez co musiała zamknąć oczy i właśnie wtedy

ktoś obrócił nią w lewą stronę. Odniosła wrażenie, że straciła grunt pod nogami. Dosłownie – ktoś wziął ją na ręce i nią obrócił. Przez chwilę nie miała kontroli nad własnym ciałem, była bezwładna.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła pochylającego się nad nią Karola.

- Zemdlałaś – powiedział, nie ukrywając przejęcia.

Jej uwagi nie przyciągnęła jednak zatroskana twarz Karola, ale postać unosząca się tuż za nim. Monice wydawało się, że jeszcze nie do końca odzyskała świadomość. Zobaczyła przed sobą smukłą twarz młodej kobiety, której skóra wydawała się cienka, wręcz papierowa, oczy niezbyt wyraźne, jakby załzawione i wyrażające jakiś ogromny żal. Monika modliła się, aby postać zniknęła. Zamknęła oczy i wyrecytowała w duchu chyba wszystkie słowa modlitwy, jakie знаła. Miała nadzieję, że po otwarciu powiek, już jej nie zobaczy i będzie jak dawniej – normalnie. Zamiast tego ujrzała raz jeszcze kobietę, która teraz przykładała palec do ust, jakby chciała ją uspokoić, po czym znikła – po prostu nagle jej nie było, a za Karolem stała już tylko Majka.

- Co to, kurwa, było! – krzyknęła, gdy znów poczuła się bezpieczna. Znajomi patrzyli na nią z niepokojem. – Widziałam ją!

- Kogo? – zapytał Mateusz ze skwaszoną miną.

- Ja pierdołę! Ducha! – odpowiedziała.

W bunkrze zapanowała cisza. Było słycać jedynie głośne sapanie Majki i Mateusza przelykającego ślinę.

- Wracamy! – oświadczył Karol. – Tu dzieje się coś

dziwnego. Jeżeli chcieliście mnie nastraszyć, to wam się udało!

- Nie - powiedziała Monika, która jeszcze siedziała na ziemi. - Nie wracamy!

- Jak to? Przecież...

- Wcale się jej nie boję.

- Jakiej jej?

- Ducha tej kobiety.

- Monika, dobrze się czujesz? - zapytała tym razem Olga.

- Wracamy, zanim kolejna osoba padnie na jej widok jak rażona piorunem!

- Posłuchajcie mnie chociaż raz! Czuję, że powinniśmy tu zostać i dokończyć to, po co tu przyszliśmy.

- Gdzie? Tu? - zapytał Karol i zaczął latarką zataczać wokół siebie koło. - Ale tu nie ma niczego oprócz murów i tysiąca pomieszczeń! - powiedział. - Nie ma tych cholernych drzwi!

I wtedy, jak na zawołanie, usłyszeli skrzypienie otwierających się gdzieś nieopodal ciężkich drzwi - dźwięk ten przypominał odsuwanie starej komody, za którą znajduje się czyjś pokój. Poczuli się, jakby chodzili po planszy i właśnie mieli za zadanie przejść jej kolejny etap.

Nie od razu ruszyli się z miejsc. Kiedy stało się jasne, że zostali wciągnięci w czyjąś zabawę, niełatwo było oderwać od ziemi ciężkich jak kłody nóg. Wsłuchiwali się w sapanie każdego z osobna.

- Czy tylko mnie się wydaje, czy coś lub ktoś zachęca nas do dalszej drogi? - zaczął Karol.

- Na to wygląda - odpowiedziała Olga. - Pali mnie w gardle i pić mi się chce.

- Mnie też.

- I mnie!

Wszystkim ze strachu zaschło w ustach. Gdy pierwszy paraliż minął, zaczęli iść w kierunku, z którego dotarł hałas. Mieli nadzieję, że są już na miejscu i za chwilę staną przed zielonymi drzwiami. Oświetlali wszystkie ściany, byli pewni, że skrzypienie docierało z tego miejsca, w którym właśnie się znajdowali. Olga stanęła na jakiejś sterczącej desce i przykładła ucho do ściany. Panowała jednak grobowa cisza.

- Niczego nie słyhać - oświadczyła i zeskoczyła z kawałka spróchniałego drewna. - A to co? - zapytała, szorując dłonią coś zawieszzonego przy przeciwległej ścianie.

- Zostaw to. Kurze będziesz teraz ścierać?!

- Czekaj chwilę - szepnęła.

Kiedy Olga masowała dłonią po powierzchni tego czegoś, reszta otoczyła ją z każdej ze stron.

- Czy to stare...? - zaczęła Majka.

- Tak! - krzyknęła z podniecenia Olga. - Jakie piękne, zdobne ramy!

- Nie jestem pewna, czy chcę zobaczyć odbicie tego pomieszczenia. Teraz przynajmniej nie wiem, co znajduje się za mną i chyba nie chcę wiedzieć...

- Majka, pomóż nam - powiedziała Monika, która razem z innymi czyściła lustro z brudu.

Odbicia w lustrze stawały się coraz bardziej wyraźne. Majka stała za resztą i z lękiem przyglądała się coraz

dokładniejszym zarysom postaci. Widziała odbicie Karola, obok niego dolną część czyścił Mateusz, nad Mateuszem dostrzegała stojącą Monikę, Olga przyglądała się ramie, więc nie odbijała się w lustrze. Tylko jednej postaci Majka nie mogła dostrzec – własnej.

- Widzicie mnie? - wyszeptała Majka ze ściśniętym gardłem.

Na te słowa wszyscy odwrócili się w jej stronę.

- No, widzimy cię! - odpowiedział Mateusz, nie rozumiejąc, o co chodzi jego koleżance.

Majka stała osłupiała i wlepiła wzrok w stare lustro. Nie mogła pojąć, dlaczego nie może się w nim przejrzeć.

- Nie patrzcie na mnie - powiedziała drżącym głosem - tylko w lustro. Nie ma mnie tam! - wydusiła i wskazała palcem w szklane zwierciadło.

Widząc minę Majki, reszta bardzo powoli zaczęła z powrotem odwracać się w stronę lustra. Minęło kilka sekund zanim ktokolwiek się odezwał:

- Nie ma cię - przyznał Karol. - Podejdź bliżej! - zaproponował, przywołując koleżankę dłonią.

Majka nie ruszyła się z miejsca. Stała i słuchała łomotu własnego serca.

- A jeżeli ktoś ją zasłania? - powiedziała Monika, a wtedy wszyscy obrócili się w stronę Moniki, a później Majki.

- Co wy mówicie?! Prócz nas nikogo tu nie ma! - krzyknął zdenerwowany Karol, ale wtedy zaczęło dziać się coś nadzwyczajnego.

Lustro zaczęło poruszać się jak wahadło - w prawą i lewą

stronę. Bujało się coraz szybciej i robiąc coraz więcej hałasu. Zawiasy zaczęły się obluzowywać, śruby odkręcać a beton kruszyć. W końcu lustro z ogromnym jękiem oderwało się od ściany i uderzyło o beton. Po ziemi rozsypało się mnóstwo szkła. Podobnie jak zbite reflektory aut, które uległy wypadkowi, rozkruszają się po ulicach i chodnikach, tak szyba lustra rozbiła się i rozłukła na miliony kawałków.

To, co było w tym wszystkim najdziwniejsze, to fakt, że szkło nie dosięgło żadnego ze stojących w pobliżu nastolatków. Gdyby ktoś przeanalizował wydarzenie, mogłoby się okazać, że rozłuczone lustro było wszędzie – jedynie wokół grupki pięciu osób grunt pozbawiony był odłamków szyby.

O Boże! – krzyknęli niemal w tym samym momencie, zasłaniając sobie usta i patrząc w ten sam punkt: w czarną jamę, którą wcześniej zasłaniało stare lustro.

Dziura w betonie była wielkości średniego wzrostu mężczyzny, a jej wnętrze było szalenie tajemnicze. Karol zaczął panikować na samą myśl o wydostającym się stamtąd duchu, dziewczynce ze spuszczoneymi na twarz czarnymi włosami i jej białych palcach chwytających za wystającą cegłę. Nie mógł się pozbyć myśli, że za chwilę będzie świadkiem wychodzenia na zewnątrz dawno uwięzionego w murach ducha. Gdy zobaczył czarny wlot, od razu przed oczami stanęła mu popularna scena z filmu *The Ring*, w której przerażająca umarła dziewczynka wychodzi z ekranu telewizora.

Z kolei Monika – jako ta, która boi się zwierząt – widziała oczyma wyobraźni wypełzające z jamy węże, całe skupisko

obślizgłych brunatnych gadów, które na domiar złego zaplątały się we własne kilkumetrowe ciała. Widziała je wychudzone i chętne połknąć w całości każdego, kto stanie im na drodze.

A pozostali? Pozostałym po prostu ciarki przeszły po całym ciele i nie byli pewni czy ze strachu, czy z powodu wydostającego się skądś lodowatego powietrza.

- Czy my powinniśmy tam wchodzić? - pytała Monika, sama nie będąc pewną, co wolałaby usłyszeć w odpowiedzi.

- Podejrzewam, że tak, ale nie wiem, czy ktokolwiek z nas odważy się zrobić krok w tamtą stronę - odparł z przejęciem Karol.

Było jasne, że droga w nieznanym celu zaczyna się czarnym wlotem. Tyle. Dziura w betonie. Czy to jest w ogóle wejście? A gdzie wyjście i czy w ogóle istnieje koniec? A jaki przebieg będzie miała sama droga? Jaką mają pewność, że wyjdą z tego cało? Czego właściwie szukają? Za dużo wątpliwości i niewiadomych. Za duże niebezpieczeństwo, aby ryzykować.

- Ja nie idę - oświadczyła jako pierwsza Monika.

- Ani ja.

- Ja też podziękuję.

I na tym etapie wszystko miało się skończyć. Każdy po kolei rezygnował z poszukiwań zielonych drzwi i stawało się oczywiste, że gra nie jest warta świeczki... Tak miało się to skończyć...

Cofali się. Jedyne, czego byli pewni, to tego, że są na najwyższym poziomie bunkra. Kiedy jednak zobaczyli schody prowadzące na górę - przestali być pewni czegokolwiek.

„Jakim cudem? ” – pomyśleli jednocześnie. Znaleźli się w pułapce. Nawet Olga miała pietra większego, niż można byłoby przypuszczać. Stała przed schodami i zaproponowała:

- Wejźmy po tych schodach! Przekonajmy się, co jest na samej górze!

- A jeżeli ktoś właśnie chce, abyśmy weszli na samą górę?

- Monika ma rację. Trzymajmy się wersji, że nie schodziliśmy w dół, aby teraz wchodzić na górę.

- Racja, Karol, ale pamiętajmy też wersję, że zielone drzwi znajdowały się na tym poziomie. Mało tego, było ich kilka... a tymczasem nie ma żadnych... – zauważył Mateusz.

- Rozejrzyjcie się na spokojnie, skupcie się i powiedzcie, czy cokolwiek, co znajduje się w zasięgu waszego wzroku, jest wam znane? – pytała Olga.

- Tak. Ściany, brud i obrzydliwy zapach, to jest mi znane – odpowiedział z rezygnacją Mateusz. Kropelki potu już dawno pojawiały się na jego czole. Co jakiś czas ogarniała go fala gorąca; miał wrażenie, że po karku spływa mu woda. Było mu gorąco mimo tego, że w podziemiach panował chłód.

Przestrzeń wszystkim wydawała się tak naprawdę obca. Zgubili się mimo tego, że przeszli zaledwie kilka metrów. Schody, poręcze, włazy i kolumny – oto, co ich w tym momencie otaczało. A najgorsze było dopiero przed nimi...

- Nie idźmy na górę, trzymajmy się tego poziomu i jeżeli nie macie innego pomysłu, to idźmy po prostu przed siebie i czekajmy, co będzie dalej – powiedział Karol.

Nikt nie odpowiedział, ale każdy zaczął iść za Karolem.

Jak cień podążali za kolegą, który równie dobrze mógłby wybierać odpowiednią trasę na podstawie wyliczanki. Szli w milczeniu, oświetlali wnętrze bunkra i coraz mocniej dziwili się, że mieli odwagę w ogóle tu wejść. Minęli może dwa pomieszczenia i jeden dłuższy korytarz wyglądający jak hol, kiedy z osłupienia rozdziawili szeroko buzie... Taka reakcja wynikała z faktu, że przed nimi ukazał się czarny wlot. Ten sam czarny wlot, który wcześniej zasłonięty był starym lustrem, a który teraz stanowił zaproszenie do dalszej gry.

- Gdzie potłuczone lustro?! - krzyknęła Olga, świecąc latarką po podłożu. - Nie ma po nim śladu...

Poczuła się tak, jakby ktoś na odludziu wsiadł do jej samochodu, zabrawszy klucze, a ją samą pozostawił na polu i odjechał. Była otumaniona.

Olga kucnęła na ziemi i próbowała opanować drżenie rąk. Latarka, którą trzymała, rzucała światło, oświetlając czerwoną cegłę. Patrzyła na cienie swoich przyjaciół. Stali nad nią nieruchomo, ale ich odbijające się na ścianie sylwetki znikwały w czarnym wlocie. Podążając na wzrokiem Olgi, młodzi odwrócili się w kierunku ściany i zobaczyli własne cienie idące w stronę czarnej wnęki. Zdębieli, ale jednocześnie zrozumieli, że to nie cień podąża za nimi, ale tym razem oni powinni podążać za cieniem. Wydawało im się, że są w ciemnym kinie, w którym nie wyświetlono jeszcze filmu, a na białym ekranie pojawiają się sylwetki ludzi zajmujących miejsca na sali.

Z osłupienia wyrwał ich przeraźliwy hałas dobiegający z góry, jakby ciężkie metale obijały się o siebie całą swoją kilkutonową masą. Dźwięk nad ich głowami przypominał

ocieranie się stalowych zawiasów o twardą powierzchnię jakiejś maszyny. Dopiero regularne obracanie się ciężkich kół uświadomiło im, że właśnie znajdują się pod torami, a nad nimi przejeżdża pociąg.

Zatkali uszy i oczy, chcąc przeczekać głośny stukot i szcęk ocierającego się o siebie żeliwa. Oddychali, ale hałas zagłuszał nawet ich myśli. Kiedy pociąg przejechał, każde z nich zadawało sobie w myślach pytanie „I co dalej? ”. Podświadomie zdawali sobie sprawę, że pozostaje im tylko wejść do czarnej wnęki. Milczeli, ale to nie znaczy, że nie mieli nic do powiedzenia.

- Kto pierwszy? - zapytała po chwili Monika, patrząc na otwór w ścianie.

- Kto pierwszy co? - dopytywała Majka, grając na zwłokę.

- Kto pierwszy wsadzi w tę lukę głowę i oświetli wnętrze...

Patrzyli po sobie, jedno na drugie i czekali w milczeniu, aż wyłoni się spośród nich chętny. W głowie rodziły im się kolejne pytania, te standardowe, które zdradzają po prostu, że ktoś ma pietra.

- Są tu szczury? - pytała Majka.

- Są - odpowiedziała krótko Olga.

Na te słowa Majka zaczęła cicho chichotać. Jej policzki stawały się coraz bardziej czerwone, a ona wciąż nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Co w tym zabawnego? - denerwowała się Olga.

- To pocieszające, że prócz nas jest tu ktoś żywy...

Dokładnie takie mieli wrażenie: że nie ma tu żywej istoty.

Zdarza się, że ludzie z bezradności zaczynają wariować i sami nie wiedzą, w jaki sposób powinni rozładować atmosferę. Dlatego gdy Majka zaczęła chichotać, reszta patrzyła po sobie, bo wiedziała, że jest to jedynie forma obrony przed stresem, a ten atak śmiechu nie ma nic wspólnego ze świetnym dowcipem.

ROZDZIAŁ XV

Tego samego dnia, kiedy Olga z przyjaciółmi weszła do bunkra w poszukiwaniu zielonych drzwi, pan Kwiatkowski wracał z synem ze szpitala. W zasadzie niewiele się zmieniło – Mikołaj zachowywał się jak zwykle, a choroba, z którą borykał się od urodzenia, nie ustała. Nikt w zasadzie nie spodziewał się, że Mikołaj wróci ze szpitala „normalny”, a jednak ludzie chcieli wierzyć, że cuda istnieją, dlatego wyglądali przez okna, doszukując się w dziecku zmian.

W przyszłości Mikołaj będzie miał na twarzy niewielką bliznę, a noga w dalszym ciągu owinięta była bandażami i opatrunkami. Tyle się zmieniło, przynajmniej „z zewnątrz”.

Szli chodnikiem wzdłuż ulicy Staffa, kiedy Mikołaj pociągnął ojca mocniej niż zwykle za sznurek przy zielonej kurtce, po czym wskazał palcami w dół na rozsznurowane buty. Gdy pan Kwiatkowski pochylił się, aby zawiązać mu sznurowadła, Mikołaj zaczął uderzać ojca w plecy. Pan Kwiatkowski nie reagował, bo takie zachowania syna uznawał za codzienne. Dopiero gdy dziecko zaczęło przy tym piszczeć, przerwał czynność i spojrzał na twarz chłopca. Trudno było wywnioskować, dlaczego Mikołaj to robi. Czasem pan

Kwiatkowski mawiał, że nawet Bóg tego nie wie, ale czuł obowiązek spróbować podążać za jego spojrzeniem, czyli zlustrować wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku syna.

Niczego nadzwyczajnego nie dostrzegł. Widział wieżyczkę małego drewnianego kościółka, dachy dwóch wielkich domów z ulicy Reymonta i szereg szarych kamienic na ulicy Staffa. Gdzieś w oddali słychać było przejeżdżający pociąg, a na podwórkach sąsiadów nikogo nie było - nikt nawet nie rozwieszał prania.

- Mikołajku, tu nikogo nie ma - powiedział ojciec, wracając do zawiązywania sznurówki, tym razem w drugim bucie.

- T-t-t-amm - wydusił chłopiec, opierając dłoń na ramieniu ojca i wskazując zgiętym paluszkiem w stronę ogródków działkowych.

Pan Kwiatkowski podążył wzrokiem w kierunku, który wskazywał mu zgięty paluszek syna. Mikołaj patrzył na psa - białego kudłatego kundla leżącego przy jednym z drzew. Nie wiadomo, dlaczego dziecko zwróciło uwagę na zwierzę, ale pies na jego widok podniósł uszy do góry, a gdy chłopiec zniknął za zakrętem, wstał i poszedł z machającym ogonem w przeciwnym kierunku.

Kiedy Mikołaj zaczął chodzić, a było to stosunkowo niedawno, chciał dotrzeć do każdego kąta. Obserwował otoczenie, nawet zadawał pytania, ale nikt, nawet pan Kwiatkowski, nie był w stanie go zrozumieć. Jediną osobą, przy której chłopiec się uspakajał i przy której najrzadziej się

jąkał, była Olga. Odwrotną natomiast reakcję on wywoływał u siostry. Olga na widok niepełnosprawnego brata traciła cierpliwość. Od razu zaciskała zuchwę, a za moment wywoływała awanturę o byle co, byleby móc wyjść z mieszkania. Jednego nie umiała zrozumieć, a mianowicie... z jakiego powodu chłopiec, któremu ona nie okazywała uczuć, a wręcz przeciwnie, dla którego była zimna i oschła, tak mocno do niej lgnął i w ciągu paru sekund zapominał o wszystkich przykrych słowach.

Nieraz bywało, że Mikołaj podchodził do niej, gdy oglądała telewizję i wtulał się w jej nogę. Olga wtedy albo gwałtownie chowała nogę pod koc, albo wymachiwała nią w taki sam sposób, w jaki człowiek rusza ręką, gdy zobaczy na niej pajaka. Mikołaj patrzył na jej twarz i przesuwał gałkami w nieco zwolnionym tempie. Nie rumienił się, nie złościł, nie marszczył brwi, jedynie przysuwał się na odległość pięciu centymetrów i wyciągał dłoń, po czym chował ją z powrotem do rękawa bluzki, jakby zastanawiał się, czy może dotknąć jej czoła, czy też nie. Im chłopiec przysuwał się bliżej, tym ona bardziej się oddalała, nie starając się nawet ukryć przed nim obrzydzenia, jakie w niej budził. A to wszystko przez krzywy zgryz, otwartą buzię i ślinę, która mogła w każdej chwili skapnąć jej na ramię. Najczęściej po chwili rezygnowała z oglądania filmu i zamykała się u siebie w pokoju albo wychodziła do znajomych.

Gdy weszli z ojcem do mieszkania, Mikołaj rozejrzał się po pokojach i zapytał:

- A gde Olha? Ne ma Olhi? Gde Olha?

- Niedługo wróci - uspakajał go ojciec, po czym zdjął dziecku bluzę i pomógł wejść na kanapę.

Za chwilę wrócił z kredkami i blokiem rysunkowym i rozrzucił je Mikołajowi na ławie, a sam poszedł do kuchni.

Mikołaj popadał ze skrajności w skrajność. Raz potrafił przez godzinę krzyczeć i bić pięściami wszystkich, którzy znajdowali się w zasięgu jego rąk; nie docierały wówczas do niego niczyje słowa. Innym razem wyciszał się i zamykał w swoim świecie. Ta druga sytuacja najczęściej zdarzała się wtedy, kiedy rysował. Istnieje grupa naukowców, która uważa, że dziecko z autyzmem potrafi mieć wybitne talenty. Jeżeli byłaby to prawda, to zdecydowanie Mikołaj posiadał talent do rysowania. Zadziwiające jest to, że przy zwykłych czynnościach miał problemy z opanowaniem trzęsących się dłoni, ale gdy tylko chwycił za ołówek, dłoń stawała się stabilna. Potrafił z bardzo dużą dokładnością przenieść na papier to, co widział. Rzadko używał wyobraźni. Z reguły na kartach pojawiało się to, co w danej chwili zwróciło jego uwagę. Najczęściej spod jego ręki wychodziły krajobrazy, zwierzęta, ale zdarzały się również ludzkie twarze.

Chłopiec został sam w pokoju. Rozglądał się wokół siebie, spojrzał na sufit, uniósł brodę, ale zdawało się, że ma problemy z przełykaniem śliny i ciężko mu złapać oddech. Przechylił głowę na bok, później powoli opuścił brodę, aby wrócić do wygodnej pozycji. Wyglądał, jakby nie był w stanie unieść własnej czaszki. Niebieskie żyłki na szyi pulsowały mu, a mięśnie były napięte. I tak zastygł w bezruchu, jak dziecko śledzące nieruszającą się welonkę w akwarium. Spojrzał

w okno na panujący na zewnątrz mrok, po czym sięgnął niezdarnie po ołówek i zaczął rysować.

Mikołaj kreślił ołówkiem na papierze tak powoli i tak delikatnie, że sprawiał wrażenie całkowicie pozbawionego sił, ale jednocześnie kogoś wyciszonego, kogoś, wokół kogo można byłoby strzelać petardami, a ten nawet nie ściągnąłby brwi w geście niepokoju.

I jak zwykle jego skupienie dawało niezwykły rezultat. Twarz, którą kreślił na papierze czarną kredką, przybierała coraz wyraźniejsze kształty. Można było już rozpoznać delikatny prosty nosek, wysmukłone policzki i duże oczy, jakby wpatrujące się zawsze w osobę spoglądającą na portret – pod jakimkolwiek kątem, z jakiegokolwiek perspektywy. Było to spojrzenie z jednej strony pełne łagodności, z drugiej zbyt intensywne. Intensywność tego spojrzenia była o tyle zagadkowa, że nie dająca się logicznie wytłumaczyć. Wiadomo, że odrysowana twarz, z naukowego punktu widzenia, zawsze będzie nieruchoma, ale w tym przypadku odnosiło się wrażenie, że jest pełna emocji, przez to żywa i jak najbardziej realna. Im dłużej by się w nią wpatrywało, tym bardziej można by się obawiać, że postać na rysunku ruszy kącikami ust. Łagodny wyraz twarzy oddały malutkie źrenice, czarne kropeczki niknące gdzieś w jasnej tęczówce.

- Mikołajku, co rysujesz? - zapytał ojciec, gdy tylko wszedł do pokoju, niosąc kubek czarnej kawy.

Chłopiec nie odpowiedział, ale wlepił wzrok w poruszającą się firankę.

Pan Kwiatkowski podszedł do syna i zza jego ramienia

spojrzał na kartkę.

- Kto to? - zapytał, nie rozpoznając kobiety widocznej na rysunku.

- Palina.

- Kto?

- Ona tu.

- Jaka ona? Gdzie tu? - dopytywał ojciec.

- Tu, duszek - powiedział i podniósł rączkę, wskazując na okno.

Podmuch powietrza z zewnątrz poruszył białą firanką.

- Duszek? A czyj ten duszek?

- Paliny - wyduśił Mikołajek, oblizując wargi.

- Jakiej Pauliny? Tej z parteru?

Mikołajek nie odpowiedział, ale pokiwał głową na znak zgody. Mrużył oczy i błąkał wzrokiem w różne strony.

- Chyba muszę porozmawiać z Olgą, bo puszczała ci filmy, których nie powinieneś oglądać - powiedział pan Kwiatkowski i pogłaskał syna po głowie, po czym usiadł na kanapie obok Mikołaja i otworzył lokalną gazetę.

- Bun ker - rzucił nagle chłopiec.

Ojciec oderwał wzrok od gazety i odwrócił się w stronę syna. Odłożył kubek czarnej kawy, którą wciąż trzymał w ręce, i położył ją na ławie. Nie wiedział, czy powinien kontynuować rozmowę. Wahał się, czy zadać dziecku pytanie, które właśnie cisnęło mu się na usta. Nie zdążył jednak wypowiedzieć go głośno, bo Mikołaj ponownie się odezwał:

- Ona w bun krze, ze m ną tam.

Pan Kwiatkowski czuł, że robi mu się gorąco. Wiedział, że

to, co mówi syn, może być po prostu nieprawdą, ale jeżeli istniał na tej ziemi ktoś, kto mógł być tam razem z nim i kto jest pełnosprawny umysłowo i gotowy złożyć wyjaśnienia i wskazać mordercę, to byłby to gigantyczny, wręcz miłowy krok w sprawie.

- Mikołajku, ta pani, którą tu narysowałeś, była z tobą w bunkrze? - pytał ojciec, dotykając kartki leżącej naprzeciw chłopca.

I stało się to, czego ojciec obawiał się najbardziej. Mikołaj zaczął krzyczeć i bić ojca po rękach, dając jednoznaczny sygnał, aby ten zabrał dłonie z jego rysunku. Pan Kwiatkowski natychmiast odsunął rękę z papieru, ale nie uspokajał tym razem syna, a zakrył dłonią usta.

Zaraz sięgnął też po słuchawkę telefonu.

- Policja? Piotr Kwiatkowski z tej strony. Czy mógłbym prosić o połączenie z komendantem? - pytał. - Nie wiem, czy ważne, ale chciałbym, o czymś poinformować.

Po drugiej stronie najwyraźniej zgłosił się komendant Marek Gawroński, bo ojciec Mikołaja zaczął opowiadać o portrecie dziewczyny i swoich przypuszczeniach dotyczących obecności w bunkrze młodej kobiety z rysunku. Komendant przyjął informację do wiadomości i obiecał zjawić się w mieszkaniu mężczyzny w ciągu piętnastu minut.

Ojciec Mikołaja nie brał pod uwagę, że jego syn mógł mieć w bunkrze towarzystwo w postaci ducha... Nie po to zadzwonił na policję, aby wciskać im rewelacje o krążącej po osiedlu zjawie. Pan Kwiatkowski chciał po prostu zgłosić, że istnieje możliwość odnalezienia jeszcze jednego świadka -

młodej kobiety, która niedawno pojawiła się w miasteczku i która mogła mieć coś wspólnego albo ze śmiercią Rudego, albo z uratowaniem Mikołaja, albo mogła po prostu przypadkiem widzieć, co stało się tego dnia w bunkrze. Dlatego kiedy komendant przyszedł do mieszkania, pan Kwiatkowski wręczył mu rysunek syna, który uprzednio musiał wyszarpać dziecku spod dłoni.

Kiedy komendant mijał drzwi jednego z mieszkań na parterze, zapukał w nie kilkakrotnie, ale po drugiej stronie panowała absolutna cisza. Dziewczyny, narysowanej na kartce białego papieru przez niepełnosprawnego chłopca, nie było w mieszkaniu.

*

Na ulicy Staffa było pusto, żadnych samochodów, żadnych innych przechodniów. Latarnie blado oświetlały chodniki. Dziwna myśl przyszła komendantowi do głowy: „Może pani Wanda naprawdę widziała tę dziewczynę w bunkrze, może ona naprawdę zamordowała tych chłopaków? Co jeśli okazałoby się to prawdą? ”. Głupia myśl, prawda? Żenująca. Musiałby oswoić się równocześnie z informacją, że duchy istnieją, a to zmieniłoby dotychczasowy pogląd jego i niemal całej ludzkości na temat pojmowania świata i rzeczywistości.

Komendant jechał i przyglądał się niszczącemu miastu. Zastanawiał się nad tym, jak bardzo ta mała miejscowość zmieniła się. Kiedyś ciągle patrolowanie osiedli było obowiązkowe, teraz nikt nie bawi się w objeżdżanie ulic pustego miasta. Ci, którzy po latach przyjeżdżają

w odwiedzinach do rodzin, mówią, że tu ludzie tylko umierają. Komendant nie pamięta, żeby od dekady powstało tu coś nowego, coś, co mogłoby z powrotem przyciągnąć młodzież.

Trzy czwarte mieszkańców to ludzie po sześćdziesiątce. Ci młodszy, nie licząc dzieci i uczniów, którzy jakimś cudem osiedlili się w tej miejscowości na stałe, wyglądają, jakby zastanawiali się nad sposobem popełnienia samobójstwa. Są znudzeni i nieszczęśliwi. Gdy się ich mija, odnosi się wrażenie, że żyją, bo się do tego życia przyzwyczaili, a nie dlatego, że je kochają. Oni nie chodzą, oni się snują, zachowują się, jakby byli w stanie śpiączki. W świetle aktualnej sytuacji trafniej byłoby uznać ich za duchy. Choć komendant nie wierzy w duchy, to czasem miasto wydaje mu się najbardziej nawiedzonym ze wszystkich znanych mu miejsc. I nie o ostatnią zbrodnię tu chodzi, ani o tę sprzed dwudziestu lat, nawet nie o bunkry - które wypełnione są tajemnicą, a idąc w ich tunelach, można byłoby nakręcić horror - a o to niszczenie właśnie, rozkład i gnienie wszystkiego, co zostało tu kiedyś stworzone. O panoramę tego miasta - szarego i ponurego.

Powszechnie nawiedzenie kojarzy się ze starymi domami - tu są wyłącznie takie domy: drewniane, rozsypujące się, z powybijanymi szybami, od lat przez nikogo niezamieszkałe. Mówi się również o nawiedzonych lasach - nie wiadomo, czy w tych okolicznych mieszkają czarownice, ale lasy otaczają tę miejscowość z każdej strony. Wspomina się także o nawiedzonych ludziach - wystarczy przejść osiedlem baraków, a spotka się tylu dziwaków, ilu nie ma w całej Polsce.

Podczas spaceru człowiek otrzyma dawkę koszmarów na cały tydzień.

Na osiedlu baraków stoi od lat sklep, którego właścicielką jest pani Dorota – niewysoka kobieta, której mąż zmarł w tej katastrofie kolejowej w 1996 roku. To mały, słabo wyposażony sklepik, ale gdy jest potrzeba, można uzupełnić zapasy podstawowymi artykułami typu masło, chleb czy ryż; należy się jednak nastawić na możliwość spotkania z cuchnącą klientelą. Pijaczkowie uwielbiają przesiadywać w tym sklepie i – o dziwo – nikt ich stamtąd nie wygania. Jak wyglądają? Bez większego ubarwiania: jak potwory. Mają w buzi maksymalnie trzy zęby, ale uśmiechają się bardzo chętnie. Te trzy zęby w buzi dawno temu zaczęły przybierać brązowy odcień. Najczęściej zostaje jedna górna jedyńka, któryś z pozostałych siekaczy, czasem dolny kieł. Kiedy, o zgrozo, zapytają się o złotówkę, człowiek nie zapomina tego swądu do końca życia, ma wrażenie, że przesiąkło nim całe ubranie. Ci pijaczkowie często się drapią. Mają na dłoniach podarte stare rękawiczki niezakrywające brudnych palców i paznokci, i właśnie tymi palcami albo rozdrapują sobie rany, albo próbują ulżyć sobie po ugryzieniu skaczącej im po głowach wszy.

Jeżeli przeanalizować pod tym kątem miejscowość i jej mieszkańców, okaże się, że zdecydowanie mamy do czynienia z szeroko pojętym nawiedzeniem.

Komendant zastanawiał się, skąd u niego takie myśli, dlaczego w ogóle tracił czas na analizowanie sytuacji, na którą nie ma wpływu. Przecież nie przyklei tym ludziom uśmiechu do twarzy, nie odda im resztek swojej życiowej energii, nie

wyrzuci za nich butelki piwa do kosza. Chcą żyć i wyglądać jak nafaszerowani środkiem nasennym – niech tak żyją; on tymczasem musi rozwiązać sprawę, która od kilku dni elektryzuje miasto – sprawę śmierci nastolatka – bo przynajmniej na jej przebieg może mieć wpływ.

Wyjechał z powrotem na ulicę Staffa. Gdy był dzieckiem, wydawała mu się szersza – teraz widział ją wąską i podziurawioną. Na końcu tej ulicy znajdował się pomnik – oczywiście Staffa. Z którejkolwiek strony by się na tego poetę spojrzeło i niezależnie od tego, jak wiele uznania wzbudzałyby on w Polakach – ten pomnik po prostu go obrażał. Na betonowym prostokącie, do którego przybito tabliczkę z podziękowaniami dla poety od mieszkańców, znajdowała się sama głowa Leopolda Staffa z tak groźnym i nieprzystępnym obliczem, że nawet bukiet kwiatów kładło się pod tym pomnikiem ze strachem. Choć strach wydaje się być w takiej sytuacji uczuciem absurdalnym – bo kto mógłby przypuszczać, że Staff zabija wzrokiem – to jednak mimowolnie się pojawiał. Komendant nieraz widział reakcję dzieci, które przechodzą obok pomnika i zaraz wybuchają spazmatycznym płaczem. Mało który rodzic domyślał się, że winę ponosił nie kto inny jak Staff właśnie, który przybrał minę mordercy. Miał zbyt wypukłe oczy, haczykowaty, chudy nos i wąskie usta; całości dopełniały wklęsłe policzki, czyniące tę twarz nad wyraz surową.

Komendant wjechał policyjnym radiowozem na malutkie rondo. Rondo brzmi dumnie, ale ilekroć kierowcy na nie wjeżdżają, zaraz orientują się, że nie powinno go tu być –

skrzyżowanie bez świateł zdecydowanie by wystarczyło. Tym bardziej, że narysowane na betonie białe kółeczko zaczyna znikać z powodu odpryskującej farby. Niemniej, rondo było zdecydowanie najświeższą inwestycją.

Policjant minął właśnie piekarnie i aptekę, które stały tu odkąd sięgał pamięcią. W tej aptece jako chłopiec często stał z babcią w kolejce. Nigdy nie zapomni tego zapachu leków, syropów i dzwoneczka nad drzwiami informującego farmaceutkę, że ktoś wszedł. A ponieważ ludzie ciągle przychodzili, bo nad apteką przyjmował lekarz wypisujący recepty, to dzwoneczek wciąż brzęczał na całą przychodnię. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Nad drzwiami nadal wisiał irytujący dzwoneczek.

Gdy mówimy o jakiejś miejscowości, że się zmieniła, mamy na myśli powstawanie nowych miejsc na terenie niezagospodarowanym albo odnawianie starych budynków. Mówimy tak również wtedy, kiedy na rogu dotąd stał sklep wędliniarski, a teraz otworzono oddział kolejnego banku. Z kolei zmiana w tej miejscowości nie wiązała się z żadnymi nowymi budynkami, żadną zamianą sklepu wędliniarskiego na wędkarski – tu zmiana polegała na powolnym konaniu każdego budynku i mostu, każdej kamienicy, każdego sklepu i... mieszkających tu ludzi.

Komendant wjechał w najbardziej chyba zapomniane miejsce, gdzie – dosłownie – leży część miasteczka, a mianowicie postanowił zapalić papierosa przy cmentarzu. Cmentarz pogrążony był w całkowitych ciemnościach – nic dziwnego, w okresie wakacyjnym nikt nie zapala zniczy, poza

tym większość bliskich leżących tu osób opuściła miasteczko lata temu, więc nie ma kto dbać o ich groby. Chyba największa martwota w mieście związana była właśnie z tym miejscem.

Policjant palił papierosa, stojąc przy otwartych drzwiach samochodu. Grobową ciszę zabijał głosem dziennikarza radiowego. Właśnie informowano o utrudnieniach, na którejś z krajowych dróg z powodu wypadku – ciężarówka wjechała w osobówkę – później puszczono reklamę jakiegoś filmu, który wchodzi do kin, następnie kierowcy mogli zrelaksować się przy starym kawałku Johna Lenona. Komendant palił rzadko, ale gdy już decydował się na dokarmianie raka płuc, wolał to robić w samotności, gdzieś, gdzie nikt go nie widzi. Automatycznie rozglądał się wokół siebie i spoglądał na jasną poświatę księżyca, która padała na jeden z rodzinnych grobowców, znajdujący się zaraz przy bramie wejściowej. Nie umiał pojąć dlaczego, ale za każdym razem zastanawiał się, ile ciał znajduje się pod ziemią i w jakim są stanie rozkładu. Chore? Może trochę tak, ale niemal każdy człowiek myślał nad tym, po ilu trupach chodzi, skręcając w alejkę cmentarza albo co w końcu rośnie człowiekowi po śmierci: czy włosy, czy paznokcie. Zastanawiał się nad tym, czy na tym konkretnym cmentarzu leży człowiek, który obudził się w trumnie – kiedyś udowodniano, że niejednokrotnie zdarzały się takie sytuacje... Niecodzienne myśli kotłują się pod czaszką, gdy stoi się nocą w miejscu, gdzie pochowani są ludzie i gdzie najprawdopodobniej kiedyś sami będziemy pochowani.

Rodzinny grobowiec, na który padało światło księżyca, był całkowicie pusty. Ani jednego bukietu kwiatów, nawet starego

i zdechłego, ani jednego znicza – nawet niepalącego się lub potłuczonego. Nic. Jakby od dziesięcioleci leżała tu para samotnych staruszków, która nie zostawiła po sobie żadnego potomka. Widok zszarzałego, rozkruszonego kamienia, spomiędzy którego wystawał mech – przygnębiał, a widok wychodzącej z wnętrza mogiły dziewczyny – przerażał... Przerazał tak mocno, że komendant stracił umiejętność logicznego myślenia. Nic innego jak trup opuszcza własną trumnę, a on staje się tego świadkiem!

Mrużył oczy tak długo, ścigał brwi tak intensywnie, aż pojął, że się mylił i właśnie jakaś bliska staruszkom osóbka zapaliła im jasne światełko, tylko że w środku grobowca, a nie na zewnątrz. Odetchnął, ale zaraz przełknął głośno ślinę, bo księżyc oświetlił tę twarz – twarz, którą znał i której podobizna leżała na przednim siedzeniu w jego samochodzie.

Bez zastanowienia sięgnął po rysunek Mikołaja, po czym raz jeszcze spróbował zestawić twarz z kartki z twarzą przy grobie i wiedział, że nie może być tu mowy o pomyłce. Dziewczyna, którą nazywano w miasteczku Pauliną, stoi przed krzyżem i modli się o wieczny odpoczynek dla zmarłych.

Komendant wyrzucił papierosa pod własne nogi i powolnym krokiem, z obolałym jak zwykle kolanem, zbliżył się do bramy, skąd już tylko dwa metry dzieliły go od dziewczyny. Stała do niego bokiem, przez co nie widział dokładnie jej twarzy. Wsadził palce jednej ręki między siatkę i choć w pracy nigdy mu się to nie zdarzało, czuł jakieś onieśmienie, jakby nie wiedział, co ma właściwie powiedzieć.

- Ciemno tutaj – zagadnął w końcu.

Dziewczyna milczała i w dalszym ciągu stała nieruchomo nad grobem, bokiem do policjanta.

- Nie boisz się przychodzić na cmentarz sama późnym wieczorem?

Tym razem Paulina zaprzeczyła ruchem głowy, ale stało się coś jeszcze... Spojrzała na komendanta w taki sposób, jakby błagała, żeby ją stąd zabrał, jakby stała na tym cmentarzu za karę i pragnęła jak najprędzej opuścić to mroczne miejsce.

- Dobrze się czujesz? - zapytał i przeszedł przez uchyloną furtkę, podchodząc bliżej dziewczyny.

W tej chwili miał ją na wyciągnięcie ręki, ale czuł między nimi niesamowity dystans, jakby on był tu, a ona na drugim końcu świata. Stali tak blisko siebie, w odległości paru centymetrów, a jednak odnosił wrażenie, że jej tu w ogóle nie ma - ani fizycznie, ani duchowo. Już miał dotknąć jej ramienia, kiedy cofnął rękę. Nie bał się ugryzienia ani poparzenia, raczej bał się pojąć, że stoi obok ducha, bo przecież łatwiej jest oprzeć się na rozumie niż na wierze. Odsunął od siebie dziwne przecucia i udawał, że zachowuje zimną krew.

- Muszę zadać pani kilka pytań - próbował mówić oficjalnym tonem, ale tym razem brzmiało to sztucznie. - Proszę, aby wsiadła pani ze mną do samochodu, pojedziemy na komisariat, gdzie panią przesłucham - ciągnął.

Paulina spojrzała na komendanta. Dopiero teraz policjant mógł zobaczyć ją z bliska. Nie miał wątpliwości, że była to ta sama dziewczyna, którą narysował Mikołaj. Miała bardzo jasną cerę, wręcz przezroczystą, duże niebieskie oczy pełne

łagodności i ciemne włosy sięgające ramion. Mierzyła około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, ale z powodu smukłej budowy ciała wydawała się jeszcze wyższa.

- Czy Pani mnie słyszy?! - zapytał z pretensją, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Paulina patrzyła w dal, jakby nad czymś rozmyślała.

Nagle komendant zaczął się czuć dziwnie, jakby słabł, ale jednocześnie zachowywał trzeźwość umysłu. Nogi same się pod nim ugięły, więc podparł się dłonią o stojącą obok ławkę, inaczej padłby na grobową płytę. Serce waliło mu jak młotem. Nie wiedział, czy powinien wiązać ten stan z nerwami, czy z nadchodzącym zawałem. Nie próbował zadawać kolejnego pytania, zrozumiał, że niczego nie wskóra. Rozejrzał się niepewnie wokoło, ale nikogo prócz niego i oddalającej się dziewczyny nie było na cmentarzu. Twarz paliła go z gorąca, ale nie czuł bólu, po prostu oczy zasły mu mgłą, po czym całym tułowiem przechylił się na bok i padł na znajdującą się tuż przy nim ławkę.

Księżyc wciąż rzucał na grób jasne światło, ale głąb cmentarza spowił jeszcze czarniejszy mrok. Wydawało się, że nad mogiłami unosi się ciemny dym. Niebo stawało się cięższe, jakby miało przygnieść własnym ciężarem wszystkie groby, rozłupać medaliony i połamać sterczące krzyże. Dziewczyna oddalała się właśnie w głąb cmentarza, w tę czerń, która ją w naturalny sposób pochłaniała.

Po chwili wszystko wracało do normy i gdzieś wyłaniały się świecące znicze. Zerwał się leciutki wietrzyk, szeleszcząc buketami i wiązkami. Komendant otworzył

oczy. Miał wrażenie, że spędził na tej ławce całe wieki, bo stanął na równe nogi z jakąś dziwną gwałtownością, bez bólu kolana. Spojrzał na zegarek i nie mógł uwierzyć, że minęło jedynie dziesięć minut, odkąd słyszał w radiu głos Johna Lennona. Rozejrzał się wokół siebie. Nie było śladu po dziewczynie, ale napisy na oświetlonym przez księżyc grobie, wydawały się wyraźniejsze. Nie było możliwości, aby komendant ich nie przeczytał.

„Ś.P. Jan Dalecki żył lat 65 ” po prawej stronie, „Ś.P. Magdalena Dalecka żyła lat 68 ” po lewej stronie.

„Grób rodziny Daleckich? Czy z jakiegoś powodu ma być to ważne, do diaska!?” – pomyślał.

Nadal nie znał szczegółów śmierci Rudego: ani kto, ani co, ani jak, ale wiedział za to, że najprawdopodobniej już ich nie pozna. Wiedział również, że pierwszą osobą, do której pójdzie, by opowiedzieć o zdarzeniu na cmentarzu, będzie Wanda – ta sama „obłąkana ” Wanda, która teraz wydaje mu się najmniej obłąkaną ze wszystkich...

ROZDZIAŁ XVI

Monika, Majka, Karol, Mateusz i Olga stanęli przy czarnym wlocie. Stykali się ramionami, bo dzięki temu mieli pewność, że nie są tu sami. Pozostanie w tym miejscu samemu doprowadziłoby chyba każdego do palpacji serca, a w rezultacie do śmierci.

- Hallo! Jest tu ktoś? - krzyknęła Monika, błagając w myślach o brak odpowiedzi.

Na szczęście odpowiedziało jej tylko echo. Żadne z nich nie odważyło się jeszcze na oświetlenie lochu, ale Mateusz włożył już do środka rękę i machał nią w powietrzu, jakby próbował cokolwiek wymacać. Na razie wiedzieli tylko tyle, że nie ma tu najprawdopodobniej żywego stworzenia, żywej istoty i że przed nimi, przynajmniej na długość ręki, nie ma niczego prócz pustej przestrzeni.

- Dobra, miejmy to już za sobą, zapalaj tę latarkę - powiedziała Olga, która sama nie włączyła swojej, mimo że trzymała ją w lewej ręce.

Mateusz przesunął w dół włącznik i za chwilę wnęka została oświetlona. Młodzi spojrzeli po sobie, nie do końca rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi, bo dziesięć

centymetrów od palców Mateusza znajdował się mur. Wszystko wskazywało na to, że prócz betonu niczego tu nie ma. Spodziewali się kolejnego tunelu, kolejnego przejścia, może nawet przyszło im do głowy chodzenie po czymś w rodzaju kanalizacji, a tu nic - beton.

Mateusz przekręcił latarkę i zaczął uderzać jej drugą stroną w ściany, aby upewnić się, że są normalnej grubości i struktury.

- Kurwa! - krzyknął, kiedy latarka wyslizgnęła mu się z mokrej od potu dłoni i spadła w dół.

Odwrócił się w stronę kolegów, żeby pożyczyć kolejną, kiedy odezwała się Olga:

- Słyszeliście jakiś dźwięk?
- Jaki dźwięk? - dopytywał Karol.
- Dźwięk uderzającej o ziemię latarki.

Cała piątka nienawidziła teraz tego miejsca. Niczego nie można było tu być pewnym, nawet tego, że rzucony przedmiot rozbije się o ścianę, mur, schody czy podłogę. Nie można było też być pewnym tego, że ktoś cię w tej chwili nie obserwuje, nie przygląda się temu, co robisz... jak monitoring w centrum handlowym, który rejestruje każdy ruch. Z tą tylko różnicą, że tu monitoringu nie było, a zamiast kamer - ruch rejestrowały czyjeś oczy...

Olga przesunęła Mateusza, aby być bliżej środka wlotu, i trzymając swoją latarkę w drżącej dłoni, skierowała ją pionowo w dół, oświetlając ziemię. Długo wpatrywała się w przestrzeń, aby dostrzec cokolwiek prócz czerni, ale nie było widać końca. Wszyscy odnieśli wrażenie, że Olga trzyma

rękę w szybie, na którą zaraz runie całym swym ciężarem winda. Oczywiście nikt nie spodziewał się tu windy, więc te przypuszczenia pozostały w sferze wyobraźni, ale każdy zadawał sobie teraz pytanie: „Po co ktoś chciał, abyśmy odkryli ten szyb? ”.

- Gdybyśmy mieli linę, moglibyśmy do jej końca przywiązać coś ciężkiego, wtedy poczulibyśmy, kiedy przedmiot uderzy o ziemię - powiedział Karol.

- Świetny pomysł, ale rozejrzyj się; nie znajdziemy tu liny o takiej długości... żadnej liny nie znajdziemy.

- Jak myślicie, ile jest tu metrów w dół?

- Nie wiem... dużo...

- Może powinniśmy tam zejść? - rzuciła nagle Monika.

- Porąbało cię?! W jaki niby sposób?! Mam skoczyć z nadzieją, że na dole znajduje się dmuchany materac?

Mieli wrażenie, że nachylali się nad jakąś mroczną, lodowatą otchłanią, przepaścią, której dno stanowi smoła albo breja pochłaniająca wszystko, co żywe. W rzeczywistości nachylali się nad kilkumetrowym spadem w dół, na dnie którego znajdowała się wilgotna ziemia będąca jednocześnie podłożem dla pierwszego poziomu bunkra.

Olga powiodła wzrokiem po twarzach Mateusza, Karola, Monika i Majki, którzy wciąż nachylali się nad czymś, co miałyby ochotę ich wchłonąć. Ich blade wilgotne czoła kontrastowały z ciemnym otoczeniem bunkra. Następnie Olga z powrotem spojrzała na Monikę.

- Naprawdę chcesz tam zejść?

- Nie chcę, ale chyba nie mamy wyjścia - odpowiedziała.

Te słowa były dowodem na to, że zrozumieli, w jak beznadziejnej znajdują się sytuacji. Ktoś tak naprawdę decydował za nich.

- Tędy na pewno nie będziemy schodzić - oznajmiła Olga, wlepiając wzrok w czarny wlot. - Jeżeli mamy zejść na dół, to znajdziemy schody.

Odwrócili się i powiedli latarkami wokół siebie. Przed nimi w równych odległościach znajdowały się trzy korytarze. Przypominały trzy tunele, z których zaraz ma się wyłonić pędzące metro. Nad wejściem każdego poruszały się czarne tasiemki. Nie wiadomo, którędy przedostawał się tu wiatr, ale wierzgał wszystkimi przewiązkami jak powietrze tarmoszące śmieć na chodniku. Korytarze wydawały się być identyczne, ale tylko z głębi jednego z nich wyłaniało się coś na kształt ludzkiej sylwetki. Olga i Karol jak zahipnotyzowani śledzili jej każdy ruch z obawą, że za chwilę stanie tuż przed nimi, chwyci ich za gardło i rzuci, rozbijając nimi ścianę. Reszta zacisnęła powieki i modliła się, aby to coś znikło, a wszystko okazało się pierdolonym koszmarem. Nagle ze środkowego korytarza zaczął dobiegać stłumiony głos, a po nim cichy szept:

- Tutaj, za mną. Chodźcie za mną.

Wydawało im się, że ktoś chwycił ich za ręce i ciągnął do środka. Nastąpiła wówczas długa cisza. W końcu Olga nie wytrzymała i powiedziała:

- Cokolwiek to jest albo kimkolwiek to jest, doprowadza mnie to utraty zmysłów.

Już sami nie wiedzieli, czego powinni szukać. Mateusz

ściskał w ręku stary klucz, ale zielonych drzwiczek jak nie było, tak nie ma. Postaci, która nimi kierowała, też nie było widać. W tej chwili nikt nie wiedział, czy idzie za nimi, czy przed nimi, czy razem z nimi, ale nikt o to nie pytał; nie pytali też o drogę. Wciąż szli tym samym korytarzem, jakby cofali się w stronę wjazdu, ale myśli każdego z nich były tak rozproszone, że żadne nie miało teraz orientacji w terenie.

Minęli jedną małą izbę i dotarli do schodów, tych samych schodów, z których spadł Mikołaj. Schodzili stopień po stopniu, jak do piwnicy domu, w którym zmarli właściciele. Przeczuwali całą powierzchnią swojego ciała, że zbliżają się do celu. Znowu na dłuższą chwilę zapadła cisza, którą tym razem przerwała Majka:

- Czy Rudego nie znaleziono właśnie na samym dole?

- Chyba masz rację, a ja mam w związku z tym dla was dwie wiadomości: złą i jeszcze gorszą... Którą wybieracie? - zapytał Karol.

- Najpierw tę gorszą - odpowiedziała bez namysłu Olga.

- Zaraz znajdziemy się w tym samym miejscu, co on.

- A jak brzmi ta zła?

- Że on tam umarł...

Wyglądali jak białe przerażone szczeniaki, wchodzące do klatki w zaniedbanym schronisku.

- Wszystko wskazuje na to, że... - zaczął Mateusz, ale nie skończył, bo odezwała się Majka.

- Że spotka nas to samo, co Rudego...

Majka, przerażona własnymi słowami, zaczęła zanosić się płaczem, ale nikt nie próbował jej pocieszać ani uspokajać, bo

najchętniej kucnęliby obok niej i postąpili dokładnie tak samo.

Kręte schody prowadziły ich w dół. Niczym nie różniły się od tych w kamienicach przy ulicy Staffa, oprócz tego, że układały się w serpentynę.

Mijali kolejne poziomy bunkra, kiedy w końcu dotarli na sam dół, gdzie schron zaczyna przypominać jaskinię, a ściany – skały. Właśnie znaleźli się w wysokiej komorze, tej samej, w której Rudy przed samą śmiercią zobaczył jasną postać. Oni tej postaci nie widzieli, ale wszyscy unieśli głowy do góry i obracali się wokół własnej osi, ponieważ odnosili wrażenie, że znaleźli się w kamieniołomach. Powietrze było tu inne – z jednej strony cięższe, jak w saunie parowej, z tą tylko różnicą, że panował tutaj chłód, z drugiej zaś świeższe.

Komora kształtem przypominała stożek, a oni stali w jego środku. Strzeliste skały, które ich otaczały, stykały się na samej górze, zamykając granatową bryłę.

- Po co tu w ogóle wchodziliśmy?... - odezwał się Mateusz, po czym dodał: - Powinniśmy trzymać się na uboczu.

- Znajdziemy te drzwi i sprawdzimy, co jest za nimi. Nic nam nie będzie - próbował pocieszać całą grupę Karol.

Kręcili się dłuższą chwilę po komorze, szukając jakiegoś wyjścia albo przejścia do innych pomieszczeń. Dopiero dźwięk skapującej skądś wody doprowadził ich do niewielkiego okrągłego tunelu. Olga oświetliła przekop. Ze ścian spływała woda, która zbierała się na dole, tworząc kałużę. Szli gęsiego, trzymając się metalowej rury, co do której nie było wiadomo, co odprowadza. Poruszali się wolno, patrząc pod własne nogi i omijając przedmioty tkwiące tu latami i będące w różnych

stadiach rozkładu. Kopali szklane butelki, metalowe pojemniki, sznurówki czy pordzewiałe łańcuchy.

- Widzę je! - krzyknęła nagle Olga. - Widzę te pieprzone zielone drzwiczki!

- Uff! Może ten koszmar się wreszcie zakończy! - powiedziała Majka, lecz po chwili dodała: - Albo dopiero zacznie.

Nikt już jej jednak nie słuchał, bo każdy stał z oczami wlepionymi w zielone drzwi.

- Skąd wiadomo, że to o te drzwi chodzi, skoro kiedyś widzieliśmy identyczne na samej górze poziomie, zaraz przy włazie?! - zauważył Mateusz. - Miały tę samą mosiężną klamkę ozdobioną głową ośmiornicy, tę samą kutą kłódkę, na korpusie której umieszczono znak „X”.

- Mam swoją teorię na ten temat - odezwała się Olga.

- Oświeć nas, bo my nie mamy żadnej - odparł chłopak.

- W tym bunkrze są tylko jedne zielone drzwiczki, dokładnie te, przed którymi stoimy. Tamte były tylko imitacją, mającą zwrócić naszą uwagę.

- Sugerujesz, że ich tam w ogóle nie było, a mimo wszystko je widzieliśmy?

- Dokładnie to sugeruję... Myślę, że tamte drzwi miały nas tylko naprowadzić na te prawidłowe... Rozumiecie? Coś w rodzaju iluzji. Podejrzewam, że kiedy pierwszy raz odsłonieliśmy włącz i weszliśmy do środka, staliśmy się uczestnikami jakiejś gry... i dopóki nie dotrzemy do mety, nadal nimi będziemy...

Ktoś przełknął głośno ślinę.

- Mateusz, sprawdź, czy klucze pasują - poprosiła Olga.

Zapanowała cisza. W piersiach każdego z nich serce tłukło się jak oszalałe. Nie wiedzieli, co znajdą po drugiej stronie, ale byli pewni, że to coś ważnego. Mateusz wyciągnął z kieszeni klucz, który przez całą drogę ogrzewał swymi dłońmi. Olga nakierowała światło latarki na kłódkę. Stary klucz idealnie pasował do zamka. Każdy jeden ząbek i każde jedno uwypuklenie znalazło swoje miejsce. Mateusz przekręcił klucz i natychmiast chwycił za uchwyt. Zanim obrócił nim w lewą stronę, spojrzał na przyjaciół i wziął głęboki oddech. Strużki potu spływały mu po skroniach.

Za moment małe jednoskrzydłowe drzwiczki zatrzeszczały i właściwie otworzyły się same. W całym bunkrze rozległ się wrzask. Dziewczyny skakały i tupały z przerażenia nogami. Majka ze strachu zalała się łzami, nawet Olga odwróciła się plecami do znaleziska. Dopiero po chwili, kiedy pierwsze przerażenie minęło, spojrzały na chłopaków, którzy już kucali przy odkrytym właśnie trupie.

- Zadzwońmy na policję! - krzyknęła Majka.

- Tu nie ma zasięgu - odpowiedzieli wszyscy jednocześnie. Młodzi otoczyli zwłoki z każdej ze stron.

- To jest chyba kobieta - powiedziała Majka. - Ma łańcuszek.

- Zdecydowanie zwłoki nie leżą tu od wczoraj.

Pomieszczenie, w którym znajdował się trup, miało wymiary dwa metry na dwa. Olga przyświeciła na sufit, ale szybko zorientowała się, że sufitu nie ma, a oni właśnie stoją na dnie czarnego szybu.

- Patrzcie, co znalazłam - powiedziała po chwili, trzymając w ręku latarkę Mateusza.

Nie byli ekspertami w dziedzinie medycyny. Nie wiedzieli, ile lat mogło upłynąć, by z ludzkich szczątków najbardziej rozpoznawalne były skarpetki, choć to przecież jedynie część garderoby. Nieboszczka mogła tu gnić od dziesięciu, pięćdziesięciu, a może osiemdziesięciu lat. Jednego byli pewni, a mianowicie, że trup przechodził chyba jeden z ostatnich etapów rozkładu. Miał szeroko rozwartą żuchwę, w której znajdowały się jeszcze zęby; reszta „ciała ” właściwie nie istniała - na czarnej ziemi leżały jedynie nietrzymające się zawiasów kości.

- Błagam, znajźmy drogę powrotną, chcę już stąd wyjść - mówiła Majka.

Młodzi odsunęli się od leżących kości, po czym wyszli z małego pomieszczenia. Zostawili zielone drzwi otwarte...

Droga powrotna okazała się nadzwyczaj łatwa. Nie słyszeli żadnych szeptów, nie widzieli ludzkiej sylwetki, nie gubili się na żadnym poziomie bunkra, nie wracali w te same miejsca, które opuścili chwilę wcześniej, a przed nimi nie wyłaniał się żaden czarny wlot. Nie minęło pięć minut, kiedy znów poczuli się bezpieczni.

Na dworze ulice oświetlały latarnie. Był późny wieczór. A z dala docierał do ich uszu stukot kół o szyny.

ROZDZIAŁ XVII

Wraz ze świtem rozpoczęły się policyjne prace. Pierwsza grupa funkcjonariuszy wydobywała ludzkie szczątki z bunkra oraz dokonywała oględzin miejsca, druga grupa, której przewodniczył komendant, stała przed drzwiami mieszkania numer dwa, znajdującego się na parterze kamienicy.

Zanim komendant dał rozkaz wyłamania drzwi, pukał kilkakrotnie, ale podobnie jak zeszłego wieczoru – po tamtej stronie panowała absolutna cisza.

- Komendancie, wchodzimy? – usłyszał zza pleców głos praktykanta.

- Zaraz, poczekajcie jeszcze chwilę.

Komendant przykładał ucho do drzwi i zastanawiał się, czy pani Wanda mogła mieć rację. Kiedy poprzedniego wieczoru, po zdarzeniu na cmentarzu, poszedł do starej kobiety, ta nie mówiła nic nowego, czego wcześniej by nie słyszał, a jednak po raz pierwszy wzbudziła w nim wątpliwości. Wiedział, że w świetle ostatnich wydarzeń niedorzecznym byłoby kurczowe trzymanie się swojej teorii.

- Dobra, panowie, wchodzimy! – krzyknął.

Dwóch policjantów kopniakiem wyłamało drzwi.

W mieszkaniu panował zaduch. Wszystkie okna były szczelnie zamknięte. W środku nikogo nie było. W szafie wisiały ubrania poprzedniego lokatora. Nie było nigdzie walizki, jakiegokolwiek brudnego naczynia. Wszystkie liczniki wskazywały na to, że od dwóch tygodni nie zużyto nawet szklanki wody.

Było kwestią czasu, aż funkcjonariusze upewnią się, że od kiedy zmarł poprzedni właściciel, nikt nie mieszkał tu ani jednego dnia.

*

Mijały tygodnie, a mieszkańcy miasteczka myśleli, że po raz kolejny będą musieli pogodzić się z faktem, że ani sprawcy nie zostaną wykryci, ani tożsamość zmarłego nie zostanie nigdy ustalona, ale tylko częściowo mieli rację...

Z opinii lekarza biegłego wynikało, że znalezione szczątki ludzkie miały więcej niż trzydzieści pięć lat, co oznaczało, że nie prowadzono już badań mających na celu identyfikację nieznanых zwłok. Po budowie kości od razu stwierdzono, że osobą zmarłą była młoda kobieta.

Oficjalnie sprawę zamknięto, ale nieoficjalnie komendant zaczął dociekać prawdy na własną rękę. Siedział przy swoim biurku i trzymał w ręku rysunek małego Mikołaja. Pamiętał bardzo dokładnie twarz młodej kobiety, którą widział na cmentarzu, nie zapomniał również słów pani Wandy. Jednego był pewny - Paulina istniała. Wspominał zeznania młodych, którzy znaleźli szczątki, i ich wersję wydarzeń. Długo nie mogli się otrząsnąć po wieczorze spędzonym w podziemiach.

Opowiadali o psie, dzięki któremu znaleźli tajemniczy klucz, o postaci pojawiającej się znikąd, o zielonych drzwiach, o lustrze, czarnym szybie i korytarzu, z którego docierały szepty.

Światło biurowej lampy padało na najistotniejszy w tej sprawie dokument - artykuł z 1956 roku, w którym wspomniano o zaginięciu Pauliny Daleckiej. Do artykułu dodano zdjęcie zaginionej - zdumiewająco podobne do portretu narysowanego przez autystycznego chłopca.

Do publicznej wiadomości podano informację, że w bunkrze leżały szczątki z 1956 roku, po czym złożono znalezione kości w rodzinnym grobie mieszczącym się przy bramie cmentarza.

*

W tej niezwykłej historii, w której należałoby przyjąć, że dziewczyna jest duchem, komendantowi nie pasował jeden element, a mianowicie: Dlaczego pierwszy raz Paulina ujawniła się dopiero w 1988 roku, zabijając syna pani Wandy. Dlaczego dopiero po tylu latach próbowała się kontaktować, naprowadzać na swoje zwłoki.

Komendant zaczął szukać jakichkolwiek wskazówek czy nieścisłości w policyjnych archiwach: zeznaniach, relacjach z wypadków, ale również w bibliotekach i Internecie.

Nie trafił na morderstwa nastolatków, których przyczyna śmierci nie została ustalona, ani na żadne inne zabójstwa czy zaginięcia młodych osób. Z dokumentów wynikało, że bunkier też nie znał więcej takich historii, ale udało mu się dotrzeć do

nietypowych zeznań młodej pary. Notatka została sporządzona w 1973 roku. Nie był to jedyny nie do końca zrozumiały przypadek, a zeznania ze zdarzenia drogowego brzmiały następująco:

Okolo godziny 23.25 wyjechaliśmy z chłopakiem spod bloku przy ulicy Norwida. Jechaliśmy zaopiekować się moją niepełnosprawną ciocią. Padał deszcz. Uderzał tak mocno o szyby, że wycieraczki nie nadążały zbierać wody. Droga była pusta, na dworze absolutnie ciemno. Samochodem kierował Tomek - jest naprawdę dobrym kierowcą (nigdy nie spowodował żadnego wypadku ani nie dostał mandatu). Rozmawialiśmy o czymś mało istotnym, kiedy nagle na środku jezdni pojawiła się dziewczyna. Pamiętam tylko tyle, że była blada, dosyć wysoka i smukła. Czułam przez szybę, jak na mnie patrzy. Tomek nacisnął gwałtownie na hamulec, ale asfalt był mokry, więc droga hamowania dłuższa. Nie udało się zatrzymać pojazdu. W chwili kiedy samochód znajdował się w odległości jednego metra od dziewczyny, zamknęłam oczy. Zniosło nas na pobocze, prawie uderzyliśmy w barierkę. Oboje mieliśmy zapięte pasy, więc nic nam się nie stało. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Szybko wyszliśmy z samochodu, aby sprawdzić, co z potrąconą dziewczyną, ale nigdzie jej nie było. Pamiętam, jakie ogarnęło mnie przerażenie! Zabiliśmy kogoś, a ciało na pewno utknęło pod samochodem. Tomek kucnął, a ja modliłam się, żeby

można było cofnąć czas, żeby pod autem nie leżały czyjeś zwłoki. Milion myśli przychodziło mi do głowy. Myślałam o wszystkim, nawet o tym, żeby uciec... ale wiedziałam, że nigdy nie darowałabym sobie podjęcia takiej decyzji! Sama wolałabym umrzeć.

- Nie ma jej - powiedział Tomek. - Nigdzie jej nie ma!

- Jak to?! - krzyknęłam. - Przecież to niemożliwe!

Lampy samochodu oświetlały otoczenie. Dziewczyna zapadła się pod ziemię. To wszystko trwało może 30 sekund, nie dłużej. Nagle z naprzeciwka wyłonił się samochód. Jechał z dużą prędkością przeciwnym pasem ruchu. Gdy nas mijał, spostrzegliśmy, że kierowca ma głowę opartą o kierownicę. Tomek podbiegł do naszego samochodu i zaczął trąbić. Nieustannie przyciskał pięścią klakson. Widziałam przejęcie na jego twarzy. Pojazd, który nas mijał, zatrzymał się. Tomek odetchnął z ulgą. Tamto auto stanęło od nas mniej więcej w odległości stu metrów. Tomek zaczął biec w jego kierunku, kiedy z pojazdu wysiadł starszy mężczyzna. Trzymał się za głowę i krzyczał:

- Usnąłem! Boże, usnąłem! Uderzyłem w was? - pytał. Był wyraźnie roztrzęsiony.

- Nie - tłumaczyliśmy. My myśleliśmy... - Nie dokończyliśmy, bo zdaliśmy sobie sprawę, że dziewczyny przecież nie ma i nasze wyjaśnienia brzmiałyby głupio.

- My straciliśmy panowanie nad kierownicą - rzucił pośpiesznie Tomek.

- Usłyszałem trąbienie...

- Tak, to my trąbiliśmy, bo chcieliśmy pana obudzić...
- Boże, jakie szczęście, jakie niewiarygodne szczęście!
- mówił mężczyzna, wciąż łapiąc się za głowę.

Po pięciu minutach tamten kierowca się uspokoił. Pytał, czy nam nie pomóc, ale my powiedzieliśmy, że sobie poradzimy. Facet podziękował nam i pojechał dalej, na pewno ta sytuacja wystarczająco go obudziła! My natomiast wciąż szukaliśmy ciała.

- Widziałam ją! - mówiłam. - Nie jestem ślepa. Ty też przecież ją widziałeś! Ona gdzieś musi leżeć!

Nie wiedzieliśmy, co robić. Nie mogliśmy tej sprawy tak zostawić. Zadzwoniliśmy na policję. Po paru minutach przyjechał wasz radiowóz. Opowiedzieliśmy tamtemu funkcjonariuszowi, co się stało. Policja szukała razem z nami. Po stanie naszego pojazdu stwierdzili, że nie widać, abyśmy w kogokolwiek uderzyli. Mówiliśmy też o śpiącym kierowcy. Funkcjonariusz zauważył, że w sumie to jakiś cud, bo gdybyśmy nie zjechali na pobocze, to najprawdopodobniej jechaliśmy na czołowe zderzenie z tamtym samochodem...

Kolejnego dnia poszliśmy z Tomkiem do szpitala, żeby dowiedzieć się, czy przyjęli kogoś od wczorajszego wieczoru. Powiedzieli nam, że nie. Dziewczyna, która z jednej strony doprowadziła nas do ataku paniki, z drugiej najprawdopodobniej uratowała nam życie, zapadła się pod ziemię.

Po kilku dniach spędzonych w bibliotece, po przejrzeniu

stosu starych gazet, komendant znów przeczytał niezwykłą historię. Tym razem był to artykuł, w którym kobieta opisała o tym, jak cudem uszła z życiem. Ona i jej troje dzieci.

Zima 1962 była chyba najmroźniejszą i najbardziej śnieżną zimą, jakiej przyszło mi kiedykolwiek doświadczyć. Padało i padało. Mąż codziennie przed pracą odśnieżał przed domem, żebym mogła chociaż wyjść do komórki po węgiel. Dzieci cały czas narzekały, że w domu jest zimno, a ja nie nadążałam z dokładaniem do pieca. Najgorzej marzło się nocą, ciepło zbyt szybko uciekało. Tamtego dnia mąż szedł na trzecią zmianę, a temperatura wynosiła -30° C. Załamywałam ręce. Nasz drewniak był słabo ocieplony, a okna nieszczelne.

Mąż wyszedł do pracy przed 22. Zostałam z dziećmi sama. Najmłodszy Andrzejek zaczął kaszleć i dostał gorączki. Martwiłam się. „Wszystko przez zimno panujące w domu ” - pomyślałam. Niewiele myśląc, dołożyłam do pieca. Dziecko było rozpalone, ale chociaż tyle mogłam dla niego zrobić - po prostu ogrzać dom. Dwie starsze córeczki spały w sąsiednim pokoju.

Pamiętam, że tej nocy szyby trzeszczały. Pocałowałam dzieci i położyłam się obok Andrzejka. Szybko usnęłam, obejmując chorego synka.

Nagle stało się coś, czego sama dokładnie nie potrafię opisać... Nie wiem, czy da się oddać słowami to uczucie, przeczucie, sama nie wiem, jak nazwać to, co się tamtej nocy wydarzyło. Po prostu ktoś szeptał mi do ucha,

żebym się natychmiast obudziła. Dotykał mojego ramienia, do dziś czuję na moim ciele czyjąś dłoń. Potrząsał mną delikatnie i kazał wstać... Gdy się ocknęłam, natychmiast dopadł mnie niemiłosierny ból głowy, chciało mi się wymiotować. Nie od razu pojęłam, co się dzieje, nie powiązałam objawów... Dopiero gdy spojrzałam w stronę pieca, zrozumiałam, że w domu unosi się czad. Wiedziałam, że jeżeli w ciągu minut nie wyniosę dzieci na zewnątrz, umrzemy zatruci tlenkiem węgla. Chwyciłam śpiącego synka i trzymając go na rękach, pobiegłam do dziewczynek. Potrząsnęłam Marysią, klepałam ją w panice po twarzy. Kiedy otworzyła oczy, kompletnie nie wiedziała, o co mi chodzi. Była zaspana, a może już otumaniona gazem. Traciłam czas. Sama czułam się coraz gorzej. Szarpnęłam córkę za rękę i pchnęłam w stronę okna. Dosłownie rzuciłam w jej stronę Andrzejka i wspięłam się na parapet. Naciskałam na klamkę i ciągnęłam za uchwyt, ale okno było zamrożone. Kolejne sekundy mijały, a ja wdychałam truciznę. Kiedy udało mi się otworzyć okno, Marysia i Andrzej leżeli już na podłodze. Podniosłam dzieci i dosłownie wypchnęłam na zewnątrz. Próbowałam nie oddychać, zatkać usta i nos i po prostu znaleźć w sobie siłę, aby samej wydostać się na świeże powietrze. Ale przecież w łóżku leżało jeszcze trzecie dziecko. Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia, bo Sylwia - moja najstarsza córka - miała bezwładne nogi, potrzebowała wózka inwalidzkiego. Nie miałam wyjścia. Zrozumiałam,

że albo uratuję siebie i dwójkę nieprzytomnych dzieci, które leżą na mrozie, albo wszyscy umrzemy, bo nikt ich tu przez najbliższe trzy godziny nie zobaczy. Podjęłam wtedy najtrudniejszą decyzję w moim życiu. Postanowiłam walczyć o pozostałą dwójkę, pozostawiając Sylwię na pewną śmierć.

Ale wtedy stało się coś niewiarygodnego. Po raz pierwszy w życiu widziałam zjawę - ducha młodej dziewczyny, który podniósł moje trzecie dziecko z łóżka i na własnych rękach wyniósł na dwór, układając je obok tamtych. Sama pozostała wewnątrz zaczadzonego domu. Pobiełam do sąsiadów, prosząc o pomoc. W ciągu dziesięciu minut wszystkie moje dzieci leżały z powrotem pod ciepłą kołdrą. W moim domu nikogo nie odnaleziono. Myślę, że to był mój anioł stróż.

Dopiero wtedy komendant miał pewność: zmarła przed laty dziewczyna ratowała tych, którzy najbardziej potrzebowali jej pomocy - niepełnosprawnych.

ROZDZIAŁ XVIII

Budynek, przed którym zatrzymała się para z nastoletnią córką, przypominał dzisiejszą szkołę mieszczącą się przy ulicy Staffa. Ten sam szary kamień, podobne boisko i kamieniste szerokie schody prowadzące do dwuskrzydłowych, ogromnych drzwi. Ośrodek dla niepełnosprawnych powstał zaraz po pierwszej wojnie światowej, ale do dzisiaj pozostał po nim tylko jeden element - cztery drewniane koty. Kiedyś znajdowały się na terenie placówki, dzisiaj można by powiedzieć, że należą raczej do terenu zalewu. Po okazałym ośrodku nie było już śladu. Po pożarze w 1988 roku ośrodek wymagał remontu, na który nie znaleziono funduszy. Wychowankowie zostali przeniesieni do sąsiedniego miasta i było kwestią czasu, jak placówka zacznie obracać się w ruinę.

Przed budynkiem stało małżeństwo z dzieckiem. Para była w średnim wieku, a ich pociecha jakiś czas temu weszła w okres dojrzewania.

- Nie jestem pewna, czy dobrze robimy - powiedziała wysoka kobieta do stojącego przy niej męża. Była pełna obaw i wyrzutów sumienia. - To jak pozbywanie się problemu.

Kobieta była ubrana bardzo elegancko. Ani jeden kosmyk włosów nie wy dostał się z jej mocno upiętego z tyłu koka. Szczękę miała wysuniętą do przodu, nos lekko haczykowaty, ale spojrzenie pełne łagodności i wrażliwości. Oczy w tej chwili zrobiły jej się szkliste i wyraźnie powstrzymywała się od płaczu.

Mężczyzna natomiast przyjął wyprostowaną postawę. Sprawiał wrażenie pewnego swoich racji. Zaciskał mięśnie żuchwy, wyglądał na niespokojnego. Marszczył ciemne krzaczaste brwi w geście niezadowolenia i zniecierpliwienia. Poruszał szerokim złotym zegarkiem i spoglądał co chwila na jego tarczę.

- Omawialiśmy już ten problem, pamiętasz? Tu się nią zajmą. Niczego jej nie zabraknie. Wiedzą, jak postępować z takimi, jak ona. Tak postanowiliśmy. I dla mnie, i dla ciebie to najlepsze rozwiązanie.

Stojąca nastolatka nie była głucha, a jednak jej rodzice nie przejmowali się, że ich słowa mogą ją ranić. A może uznali, że niczego nie rozumie? Odkąd tu stali, traktowali ją jak ducha.

- Z takimi jak ona? Czy ty w ogóle uznajesz ją za swoje dziecko?!

Mężczyzna nie odpowiedział, chwycił stojącą obok niego dziewczynę za ramię i wszedł na pierwszy schodek. Nastolatka posłusznie poszła za ojcem, wlepiając wzrok we własne buty.

Tylko kobieta została przed schodami, nie mogąc zdecydować się na zrobienie kroku.

- Przyjedźmy tu jutro. Zobaczyliśmy, jak wygląda ten

ośrodek. Nie musimy przecież decydować od razu – zasugerowała, ale mężczyzna wydawał się głuchy na jej prośby. – Nie dam rady, nie pójdę tam z wami – powiedziała, ale w tym momencie córka odwróciła się, patrząc na matkę błagalnie, jakby prosiła ją o obronę przed ojcem.

Dziewczyna nie lubiła jego towarzystwa i – prawdę mówiąc – unikała go, jakby czuła jego niechęć do siebie.

- Ona nie chce tu być – rzuciła kobieta.

Na te słowa, mąż wzdrygnął się i obrócił w jej kierunku.

- Skąd ty możesz wiedzieć, czego ona chce...?! Powiedziała ci to?! Mało się wycierpiałaś?! Mało nocy przepłakałaś?! Budziłaś się codziennie rano i zaczynałaś dzień od zastanawiania się, co zrobiliśmy nie tak. Spójrz na nią! Ledwie wie, jak ma na imię. W dodatku ślini się i ma wciąż otwartą buzię – powiedział z obrzydzeniem.

- Przestań! – krzyknęła kobieta. – Przestań tak mówić!

- Nieprawdę mówię?! – pytał mężczyzna, mimowolnie ściskając i szarpiąc za rękę swoją córkę. – Wiesz, jak ciężko było mi zaprosić do domu kolegę z pracy?! Albo jak niełatwo jest pokazać jej zdjęcia?! Nie jestem dumny z tego, co mówię, i z tego, co właśnie robię, ale już nie mogę dłużej, rozumiesz?! Ona codziennie przypomina mi o mojej porażce!

- Nie jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, których to spotkało...

- Ani jedynymi, którzy sobie z tym nie radzą. Wystarczy spojrzeć na ten ośrodek. Stworzony specjalnie dla nich...

- Ja jestem jej matką, ja powinnam się nią opiekować, kochać ją...

- A ona to doceni, odwzajemni, myślisz? - pytał mąż. - Kiedy cię ostatnio przytuliła? Kiedy powiedziała „Mamo Kocham cię”?

- Wystarczy, że ja za nią to mówię i czuję jej przywiązanie.

- Nie. Jedyne, co czujesz, to wyrzuty sumienia - odpowiedział mężczyzna i szarpnął za kłamkę.

Za chwilę trzy osoby stanęły na środku szerokiego korytarza. Nastolatek rzucający pod własne nogi karty do gry wydał z siebie niewyraźny dźwięk i przebiegł obok nich wzdłuż holu, na końcu którego znajdował się bęben. Rozległ się brzęk przypominający uderzenie dwóch metalowych pokryw. Chłopiec walił rurą od odkurzacza w muzyczny instrument. Żona aż podskoczyła, chwyciła męża za nadgarstek.

- To naprawdę nie jest miejsce dla niej - zaczęła, ale za nią trzasnęły drzwi i na korytarz wyszła niziutka kobietka, która na ich widok uśmiechnęła się od ucha do ucha. Po niewielkich zmarszczkach, można było wywnioskować, że za parę lat będzie świętować swoje sześćdziesiąte urodziny.

- A to pewnie nasza przyszła wychowanka - powiedziała, zbliżając się do zatroskanej matki i sztywno stojącego ojca.

Uścisnęła rodzicom rękę i pogładziła przestraszoną nastolatkę po dłoni. Kierowniczka miała na szyi zawieszony wisiorek w kształcie serca. Nie była to zawieszka ładna ani droga, kobieta jednak regularnie ją zakładała, gdy szła do pracy, co sugerowało, że wisiorek był prezentem od podopiecznej. Na pierwszy rzut oka było widać, że opiekunka jest idealną osobą do pracy z dziećmi niepełnosprawnymi.

Było w niej tyle ciepła, że nawet dorosły mógłby znaleźć w jej ramionach pocieszenie.

- Zapraszam, wypełnicie państwo formalności, obejrzyicie ośrodek i właściwie jesteście wolni.

Kamienna podłoga odbijała dźwięk uderzających obcasów, które miała na sobie matka dziewczynki. Kierowniczka chodziła po ośrodku w kapciach, może dlatego, mimo chłodnej posadzki, panowała tu domowa atmosfera.

Wnętrze budynku wyglądało jak kościół, z tym że zamiast obrazów świętych na ścianach wisiały portrety dyrektorów ośrodka, a za gablotami widniały prace wychowanków. Niektóre rysunki znajdujące się za szybą powieszono, aby docenić wysiłek, jaki włożyło dziecko. Tu doceniało się każdą pracę, nie tylko tę nienaganną.

- Zapraszam tędy - powiedziała niziutka kierowniczka, wprowadzając rodziców i dziewczynę do swojego biura. - Proszę o dokumenty córki, orzeczenia o niepełnosprawności - poprosiła, wskazując rodzicom dziewczynki miejsce do siedzenia.

Kierowniczka przejrzała papiery wręczone przez ojca, odłożyła okulary na biurko i obejmując jedną ręką swoją drugą rękę, zapytała:

- Czy zastanawiali się państwo, gdzie córka będzie spędzała święta i wakacje? My zapewniamy oczywiście opiekę...

- Tutaj - przerwał ojciec.

- Jak to tutaj?! - odezwała się żona, nie mogąc uwierzyć w słowa męża. - Przecież będziemy ją odwiedzać, przecież to

święta... Jak możesz tak w ogóle mówić?! - szlochała, wycierając chusteczką cieknące po policzkach łzy.

- Tutaj będzie jej dobrze, uwierz mi - mówił mąż, jakby chciał ją pocieszyć.

Nie brzmiało to jednak jak pocieszenie, ale zapewnienie, które miało utwierdzić ją w przekonaniu, że podjęła dobrą decyzję.

- Dam państwu czas. W żaden sposób nie muszą się państwo od razu deklarować. Po prostu w zależności od liczby podopiecznych, musimy poinformować odpowiednią liczbę opiekunów.

Dyrektorka niemal codziennie miała do czynienia z rodzicami niepełnosprawnych dzieci. Przed nią siedziało małżeństwo prowadzące ze sobą nieustające wojny. Kobieta była z tych matek, do których nigdy do końca nie dotrze informacja o upośledzeniu dziecka, więc starają się je wychowywać tak samo, jak robiliby to wówczas, gdyby było zdrowe. Z tego powodu zawsze pojawiają się zgrzyty między oczekiwaniami matki, a możliwościami córki. Ta matka pragnęła przede wszystkim spełnić swoją rolę. Właśnie, po piętnastu latach, zdecydowała się oddać córkę obcym ludziom. Przez ten czas wciąż miała nadzieję, że dziecko wyzdrowieje. Nie traktowała upośledzenia swojego dziecka jako trwałe uszkodzenie mózgu, a jak niezdolność do nauki, którą można pokonać, wkładając w to wysiłek.

Ojciec natomiast należał do tych, którzy ani nie akceptują takiego dziecka, ani nie zamierzają go wychowywać. Pragną pozbyć się go, bo ono przypomina im o porażce, którą według

nich jest spłodzenie przez zdrowego mężczyznę chorego potomka. Nieważne, czy problem dotyczy zranionego ego, czy niespełnionych ambicji – dziecko i jego potrzeby znajdują się zawsze na ostatnim miejscu.

- W tym miejscu proszę o podpis – oświadczyła dyrektorka i podsunęła ojcu kartkę.

- Który mamy dzisiaj dzień?

- 2 września 1956 roku – odpowiedziała. – Proszę się nie martwić, zaopiekujemy się nią – powiedziała, głaszcząc matkę po dłoni. – Nasza placówka ma chrześcijańskie tradycje. Uznajemy, że pełnosprawni i niepełnosprawni są dziećmi tego samego Boga. Proszę za mną. Teraz oprowadzę państwa po ośrodku – zaproponowała.

Gdy cała czwórka wyszła do holu, matce rzucił się w oczy wielki napis, będący wizytówką tego miejsca: „Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, lecz aby się na nim objawiły dzieła Boże ”.

- To słowa Jezusa, które wypowiedział zaraz po tym, jak uzdrowił niewidomego – wyjaśniła opiekunka, widząc, że matka zwróciła uwagę na treść słów.

- A ten obraz? – zapytała kobieta, wskazując na przepięknie narysowany krajobraz górski.

- A to praca naszej wychowanki. Miała czternaście lat, gdy go namalowała. Urodziła się bez rąk, więc wszystkie czynności wykonywała ustami albo stopami, łącznie z trzymaniem pędzla.

- A dlaczego zdecydowała się na namalowanie gór? – pytała matka, nie wiedząc, dlaczego, interesowała ją historia

tej dziewczynki, a właściwie jej obrazu.

- Bo nigdy ich nie widziała, ale tak właśnie je sobie wyobrażała - odpowiedziała opiekunka, uśmiechając się do wzruszonej kobiety. - Tu, na dole, oprócz bardzo skromnej łazienki mamy kapliczkę. Gdy wejdziemy na górę, dotrzemy do głównego pomieszczenia, w którym z reguły przesiadują dzieci - tłumaczyła, prowadząc rodziców w stronę schodów. - Proszę przygotować się na ten widok, ponieważ mogą się państwo poczuć... osaczeni - dodała.

Nie było to ostrzeżenie, raczej pragnęła uprzedzić rodziców, że dzieci bywają wylewne, a jej najwidoczniej ta ich wylewność dawała mnóstwo radości.

Odkąd zaczęli zwiedzanie ośrodka, ojciec dziewczynki nie odezwał się ani razu; nie reagował też na ciepłe słowa opiekunki. Weszli po krętych kamiennych schodach i znaleźli się na pierwszym piętrze. Ściany pokryte były tu czerwono-szarymi małymi kamiennymi płytkami, co powodowało, że budynek przywodził na myśl skojarzenie z klasztorem. Wzdłuż całego górnego korytarza ustawiono drewniane ławeczki, na których w tej chwili nikt nie siedział. Ściany miały około trzech metrów wysokości, a na drugim metrze znajdowały się małe okienka, za którymi umieszczono metalowe kraty.

- Nie macie luster - zauważyła matka dziewczynki, patrząc na przebarwienia na ścianach w kształcie prostokątów.

Pulchna opiekunka uśmiechnęła się, krzyżując swoje serdelkowate palce, i oparła dłonie na własnym brzuchu.

- Nie mamy. Lustra źle na nich wpływają. Oni nie mają

czego podziwiać, patrząc na swoje odbicie, wpadają często w panikę, bo ich wygląd przypomina im, dlaczego tu są i z czym walczą od urodzenia. Te dzieci też mają poczucie estetyki, wewnętrzną wrażliwość i marzenia, a lustro im te wizje dotyczące ich samych – odbiera.

- Ale to przecież okłamywanie samego siebie? Nie lepiej poznać prawdę, tylko żyć złudzeniami?

- Chciałaby im pani odebrać coś, co dla nich najcenniejsze. Nie zawsze prawda jest lepsza, a już na pewno nie w ich przypadku. Im marzenia wystarczają, nie muszą ich spełniać, ważne, że je posiadają.

- Nie zauważają braku lustra? – dopytywała matka.

- Ja raczej określiłabym, że dla nich nie jest to brak, a... ulga. Są radośniejsze i dzięki temu, że nie widzą swojego wyglądu zewnętrznego, skupiają się na swoim wnętrzu, a ono jest tak samo bogate i różnorodne jak nasze.

Słowa opiekunki działały na matkę kojąco. Miała wrażenie, że stojąca przed nią kobieta o niebieskich dobrych oczach przez te dziesięć minut poznała jej córkę lepiej, niż ona przez całe życie. Kierowniczka знаła te dzieci, rozumiała i kochała – nic więc dziwnego, że gdy przekręciła okragłą klamkę, natychmiast przyłgnęło do niej mnóstwo wychowanków.

- A oto moje pociechy – powiedziała, obejmując wszystkie dzieci jednocześnie.

Na ich widok mężczyzna wzdrygnął się i cofnął za próg drzwi. Osłupiał, gdy dziewczynka z zespołem downa wskazała na niego palcem, podeszła bliżej, chwyciła go za rękaw, po

czym odwróciła się do swojej kalekiej koleżanki i zaśmiała się, mówiąc:

- On się boi.

Pulchna opiekunka mimochodem zerknęła na minę stojącego jeszcze w korytarzu ojca i musiała przyznać wychowankom rację - twarz mężczyzny przybrała bordowy odcień, wszystkie mięśnie miał spięte. Stał na sztywnych kolanach i sam teraz sprawiał wrażenie niepełnosprawnego, któremu odebrało mowę.

Zdawało mu się, jakby wpadł w sidła kosmitów, których reakcji nie był w stanie przewidzieć. Nie był w stanie przewidzieć także tego, że za moment wszyscy kosmici jednocześnie mieliby ochotę przylgnąć do niego, nie zwracając uwagi na wypisane na jego twarzy obrzydzenie, strach i niechęć. Dla niego wszystkie te dzieci wyglądały jak obcy z gorszej planety. Każde z nich miało inne defekty. Konfrontując grupkę niepełnosprawnych dzieci z jednym wykształconym mężczyzną, można byłoby stwierdzić, że ich wygląd świadczył o ograniczeniu, a jego o posiadanej mądrości, ale w tym momencie były to tylko pozory. Przy nim to one sprawiały wrażenie silniejszych, odważniejszych, bardziej otwartych.

- Proszę się nie bać, one nie zrobią panu krzywdy - powiedziała opiekunka. - Te dzieci niczego nie ukrywają, są do bólu prawdziwe i szczerze, a wbrew opinii, to świetni obserwatorzy.

Matka natomiast patrzyła na wyraz twarzy swojej córki, której oczy, odkąd tu weszli, zaświeciły się. Przy oknie stał

chłopiec, który jako jedyny nie uczestniczył w całej sytuacji, a uderzał o siebie dwoma długopisami. Dziewczynka, gdy go dostrzegła, puściła dłoń matki i podeszła do niego, biorąc w rękę dwa mazaki, a patrząc na chłopca, zaczęła go naśladować. W ten sposób każde zamknęło się w swoim świecie.

- Chyba możemy ją już tu zostawić - powiedziała matka, nie przypuszczając, że jest to dzień, w którym widzi córkę po raz ostatni.

*

Minęły trzy tygodnie, odkąd dziewczyna zamieszkała w ośrodku. Kalendarzowa jesień zbliżała się wielkimi krokami, więc jak na tę porę roku przystało - liście tłumnie gromadziły się pod drzewami, a wiatr roznosił je dalej. Nie nauczyła się płynnie mówić, nie dowiedziała się o sobie niczego więcej, z czego nie zdawałaby sobie sprawy, zanim tu przyjechała. Pobyt tu nie zmienił jej przyszłości, ale ułatwił i upiększył życie. Pierwszy raz miała przyjaciół, kogoś, kto nie wytykał jej wad, ponieważ sam miał ich jeszcze więcej, kogoś, kto ją rozumiał, mimo tego, że nie używała słów. Te dzieci posiadały niezwykłą umiejętność komunikacji przy jednoczesnym braku narzędzi do porozumiewania się. Fakt był jednak taki, że przekazały sobie wszystko, co chciały, i paradoksalnie, wychodziło im to lepiej niż pełnosprawnym dorosłym.

Plan w takim ośrodku był jednakowy każdego dnia. O stałych porach odbywały się posiłki, o stałych porach odbywały się zajęcia, na których dzieci przeważnie malowały

i tańczyły. Te zdolniejsze uczyły się składać literki, te z mniejszymi możliwościami miały zajęcia poprawiające ich możliwości ruchowe.

Tego dnia pogoda dopisywała, dlatego wszystkie dzieci wyszły z ośrodka i spędzały czas na świeżym powietrzu. Niektóre grały w piłkę, dziewczynki przeskakiwały przez skakanki, bawiły się jak inne, zdrowe dzieci – tyle że ich ruchy były mniej skoordynowane.

Nowa wychowanka skupiła swoją uwagę na czterech drewnianych kotach, których łby poruszały się zgodnie z kierunkiem wiatru. Znajdowały się one na terenie ośrodka i właściwie do dzisiaj istnieją, z tym że w innej przestrzeni. Niektórzy mogliby uznać, że gdyby nie te kocie łby, dziewczyna nie poniosłaby tak okropnej śmierci. Nie była to jednak wina obracających się drewnianych łbów, ale krążących nieopodal złych ludzi.

Dziewczyna kierowała się zwykłą chęcią dotknięcia poruszających się kotów. Może gdyby nie ocierały się o metalowy pał, w który były wbite – nie usłyszałyby żadnego dźwięku i nie zainteresowałyby się nimi, ale gdy wiatr dmuchał, one hałasowały, wzbudzając ciekawość nastolatki. Nie biegła w ich stronę radośnie ani z ogromnym entuzjazmem, jak to mają w zwyczaju robić zdrowe dzieci, gdy coś je zaciekawi – raczej szurała dziurawymi sandałami o asfalt i pokonywała niewielką odległość z niemałym wysiłkiem.

Podczas gdy inne dzieci śmiały się w głos i uprzyjemniały wszystkim czas, ona cichutko, krok po kroku, niezauważona

docierała do celu. Dopiero gdy dotknęła wyrzeźbionego w drewnie i umalowanego pyszczka kota, uśmiechnęła się w duchu.

Czasami, gdy tak stała w odosobnieniu, miała wrażenie, że wokół niej wszystko gra. Słyszała każdy śpiew ptaka i choć nie znała ich nazw ani gatunków, wiedziała, który z nich jaki głos wydobywa. Uwielbiała przyrodę. Podziwiała rosnące wokół ośrodka kwiaty, ale nigdy nie zdecydowała się któregośkolwiek zerwać. Była najpewniej najbardziej wrażliwą duszyczką. Wzruszała się, gdy zobaczyła za ogrodzeniem matkę prowadzącą wózek z niemowlakiem albo bezpańskiego psa jedzącego resztki z pobliskiego śmietnika. Gdyby mogła, obdarowałaby wszystkich szczęściem.

Podczas gdy Paulina rozkoszowała się chwilą, tuż za ogrodzeniem dwóch ohydnych gówniarzy knuło wobec niej paskudny plan. Nazywając ich „ohydnyimi gówniarzami”, nikt nie użył hiperboli. Obaj mieli około szesnastu, może piętnastu lat. Ubrani byli w podarte dżinsowe portki. Byli po prostu brudni i wyjątkowo obrzydliwi. Męczył ich trądzik, bo policzki i brody mieli pokryte czerwonymi ropnymi krostkami. Do czoła przyklejały im się tłuste, od dawna niemyte włosy. Jeden z nich miał na szyi rany od poparzenia, które im chłopak był większy i starszy, tym pokrywały coraz większą część ciała. Obaj byli dosyć kościści. W tej chwili wbijali w ogrodzenie swoje czarne, za długie paznokcie i szczyrzyli się, jakby oczekiwali czekoladowych ciastek. Przyglądali się swoimi zmijowatymi oczami sylwetce zamyślanej dziewczyny, która utkwiała wzrok na niebie. Gdyby nie uciekające na boki źrenice

i wiecznie rozchylone wargi, można byłoby ją uznać za zwyczajnie ładną.

Gdyby wiedziała, że ktoś ją podgląda, na pewno nie zdecydowałaby się na śpiew, ale ponieważ nie była świadoma obecności dwóch chłopaków, z jej ust zaczęła wydobywać się melodia. Nikt chyba nie przypuszczał, że miała tak nienaganny słuch i wysoką, wręcz operową barwę głosu. Na ten widok jeden z gówniarzy wysunął z kłapek swoją obleśną brudną stopę i niemal wsunął paluchy pod ogrodzenie. Oblizał się dwa razy, jakby właśnie zapraszano go na tort. Nie ukrywał swojego podniecenia. Źrenice natychmiast mu się powiększyły – i gdyby nie brak sierści można byłoby przypuszczać, że za płotem ślini się goryl. Zaczął trząść drutami, wywołując u swojego kolegi atak bezgłośnego śmiechu. Wystarczyłoby teraz, żeby jeszcze tylko zaczął obgryzać ogrodzenie i jego zachowanie niczym nie różniłoby się od zachowania dzikiego zwierza polującego na ofiarę. Cera błyszczała mu się od potu, który co jakiś czas wycierał łapami, rozprowadzając zarazki po pokrytej pryszczami twarzy.

Drugi z chłopców miał rybnie usta – nienaturalnie monstrualne wargi, które wciąż mu zasychały, a które on wciąż oblizywał. Wyglądały, jakby przeżyły atak jakiegoś owada, który wstrzyknął im truciznę powodującą ogromną opuchliznę. Głowa chłopca wyglądała na zdeformowaną, a to przez wysunięte czoło, które skutecznie zasłaniało mu oczy i powodowało, że dolna część twarzy, nie licząc warg, była wklęsła. Chłopak cały czas drapał się po łokciach, próbując pozbyć się uciążliwego swędzenia, spowodowanego

najpewniej świerzbem.

Sześćdziesiąt metrów od dziewczynki opiekunki właśnie nadmuchiwały dzieciom kolejny balon. Gdy ten wirował na wietrze, wychowankowie wyciągali do góry ręce i zaczęli gonić kolorową bańkę wypełnioną powietrzem. Ich widok stanowił ucieleśnienie setek najprzyjemniejszych skojarzeń, wspomnień, uczuć. Nie chodziło o to, aby go złapać, tylko dotknąć, odbić lub po prostu podskoczyć z nadzieją, że uda się go dosięgnąć. Docierały stamtąd najradośniejsze okrzyki - jak różne od tych, które za chwilę będą się wydobywać z ust dziewczyny.

Gdyby ktokolwiek potrafił przewidzieć tę tragedię albo gdyby miał niezawodny instynkt, albo gdyby opiekunki dostały jakikolwiek sygnał z nieba, od Boga, od czegokolwiek, co mogłoby uchronić tę niewinną istotkę od bólu i cierpienia, wówczas sprawy mogłyby potoczyć się całkowicie inaczej, z pewnością lepiej. Niektórzy rodzice uważają, że mają przeczucie, gdy ich dziecko ma jakieś problemy, lub po prostu wiedzą o tym, że ma się zdarzyć coś niepokojącego. Są tacy, którzy biorą to na karb zwykłej troski i obawy o szczęście swojej pociechy. Nie wiadomo, jak jest naprawdę, wiadomo jednak, że ani rodzice, ani opiekunki nie przewidziały takiego końca życia dziewczynki.

Chmura właśnie zakryła słońce, co uszło uwadze niemal wszystkich; niemal, bo stojąca obok kotów dziewczyna czerpała przyjemność z padających na jej bladą twarz słabych promieni. Wystawiała ku niebu długą szyję i nuciła pod nosem nieznaną melodię. Za płotem słychać było posapywanie, jak

u psa, który podczas upałów potrzebuje się ochłodzić. Jeden z chłopców najwidoczniej w podobny sposób oziębiał swój organizm.

- Gdyby tak częściej wypuszczali wariatów na zewnątrz - szeptał, ukrywający się w krzakach wyrostek.

Tymczasem drugi - ten o rybich wargach - szczypta kolegę w łydkę.

- Ejj, co robisz?!

- Zamknij się i słuchaj - odpowiedział. - Prawie wszystkie downy są przy tamtym boisku - powiedział, wskazując palcem resztę grupy. - Ona jedna jest tu sama... i to całkiem ładna. Patrz i podziwiał, jak kobieta przy odpowiednim podejściu jest w stanie jeść z ręki.

- Ale przecież ona jest upośledzona! To się nie liczy! - zauważył mało bystry kumpel.

- No to co? Ale to ma jak inne - śmiał się, dotykając się za własne krocze.

Nie zamierzali jej porywać czy zarzucać worka na głowę. Pragnęli wprowadzić ją w bardzo łagodny sposób, uprzednio ją komplementując i zdobywając jej zaufanie. Dziewczyna, choć oni o tym nie wiedzieli, była najłatwiejszym celem, bo nauczona przez ojca posłuszeństwa, robiła wszystko, o co ją poproszono. W domu wiecznie panowała nerwowa atmosfera, a ją oskarżano o wszelkie niepowodzenia. Nie było dnia, żeby nie usłyszała ze strony ojca wyzwiska lub krytyki. Przez całe życie była wychowywana w przeświadczeniu, że jest gorsza, a wszyscy wokół niej są zdrowi na umyśle, więc tych „zdrowych” należy słuchać. No to posłuchała.

Miała piętnaście lat i fizycznie była właściwie w pełni rozwinięta. Mało kto zastanawia się nad potrzebami upośledzonych dziewczyn, a okazuje się, że niczym nie różnią się one od potrzeb tych „normalnych”. Różnica polega jedynie na tym, że chore nie mają często oporów i potrafią wyrażać swoją seksualność bezpośrednio. Nie widziałyby problemu w tym, aby publicznie zacząć się dotykać. W nich również buzują hormony, które nimi rządzą, ale ludzie traktują seksualność osób niepełnosprawnych jako temat tabu. Zastanawiają się, czy mają oni prawo się w ogóle rozmnażać? Według praw natury – owszem, mają.

Osoby niepełnosprawne mają często zachwiane poczucie własnej wartości. Nie wierzą, że są w stanie związać się z kimś i zmienić jakość swojego życia. Podobnie jak u osób pełnosprawnych, ich samoocenę budują również rodzice i atmosfera panująca w domu. Im niższą ktoś ma samoocenę, tym łatwiejszą staje się ofiarą. Dlatego chłopcy niewiele wysiłku musieli włożyć, aby dziewczyna zaczęła „jeść im z ręki”.

- Ładną masz bluzkę – powiedział ten o rybich ustach.

Dziewczyna spojrzała w kierunku, z którego dotarł do niej głos, ale nie odpowiedziała – rzadko mówiła, dużo myślała.

- Masz wyszyte na niej moje imię, wiesz?

Dziewczyna nie umiała czytać, więc po prostu uznała, że napis na jej bluzce nie jest logiem firmy odzieżowej, a męskim imieniem.

- Podejdiesz do nas bliżej? Chcielibyśmy cię lepiej poznać, bo wydajesz się miła – oświadczył z uśmiechem na

ustach ten sam chłopak i szczytnął kumpla na znak, że wydaje mu się, iż właśnie robi świetny dowcip.

Dziewczynie trudno było zatrzymać wzrok na dwóch chłopcach, którzy ją przywoływali. Bywało, że ona sobie, a jej oczy sobie... Złościł ją ten brak kontroli nad własnym ciałem i ułomność, z której doskonale zdawała sobie sprawę. Kiedy po kilkunastu sekundach wysiłku, podczas którego wykrzywiła ze złości twarz, udało jej się dostrzec dwie buzie, o dziwo - wcale nie uznała ich za brzydkie. Nie wiedzieć czemu, ale dla niej twarz to twarz - każda jedna była ładniejsza od jej... każda wyglądająca na normalną. Nie odpowiedziała - nie potrafiła tak szybko zebrać myśli, więc najpierw krzyżowała z nerwów palce, ocierała dłońmi o twarz, uda, a gdy ruszyła w kierunku chłopców, oni zaczęli ją dopingować.

- Chodź tu do nas bliżej... Lubisz koty? Pokażemy ci takie żywe, prawdziwe, na zewnątrz jest ich mnóstwo - mówili, udając życzliwych.

Dziewczyna szła i choć nie dawała po sobie tego poznać, to ucieszyła się na wiadomość o prawdziwych kotach spacerujących ulicami miasta.

Zbliżała się pora posiłku, więc w oddali jedna z opiekunek zaczęła wołać podopiecznych. Chłopcy, słysząc wychowawczynię, zagłuszali ją i cały czas walczyli o uwagę upośledzonej nastolatki. Patrząc na ich miny, odnosiło się wrażenie, że w tych chłopcach zamieszkało stado wygłodniałych sępów. Coraz mocniej wbijali paluchy w płot i coraz szerzej rozdziawiali pyski, pokazując czarne zęby.

Człowiek-karp rozglądał się na boki, obserwując, czy aby na pewno nikt nie jest świadkiem łapania myszki w pułapkę. Kiedy przekonał się, że teren jest odludny, rozochocił się, wstał i wskazał palcem w stronę drzewa.

- Tam, za tym drzewem, jest dziura w płocie, zapraszamy do nas. Musisz tylko przejść przez nią, a przecież dasz radę, prawda?

Choć nastolatka nie umiała sprawnie i szybko odpowiedzieć, to rozumiała znaczenie tych słów.

- Pauli... na tam - wybełkotała i posłusznie skierowała się w stronę dębu, za którym rzeczywiście ktoś dawno temu przejechał motorem, rozrywając ogrodzenie.

Gdy dziewczyna przechodziła, noga zaczepiła jej się o drut i upadła wprost w ramiona człowieka-ryby. Kto wie, czy w tej chwili nie zaczęła go darzyć jeszcze większym zaufaniem... Może nawet urósł teraz w jej oczach wręcz do rangi bohatera.

Wrześniowe słońce znowu wychyliło się zza chmury. Paulina spojrzała w górę, uniosła do góry ręce i zaczęła obracać się wokół własnej osi. Poczowała się szczęśliwa, bo właśnie tu, jeden krok za płotem ośrodka, była jak wszyscy inni - zwyczajnie wolna. Gdy wirowała z rękami w górze, chłopcy patrzyli na siebie i najpierw wskazywali palcami na nią, a później pukali się nimi w czoło. Człowiek-karp przerwał jej taniec wolności i złapał dziewczynę za łokieć. Paulina zatrzymała się, marszcząc czoło. Najwidoczniej przestraszyła się gwałtowności i sposobu, w jaki chwycił ją nastolatek, ale kiedy miała już zacząć krzyczeć, chłopak pocałował ją w rękę

i pogładzić po policzku.

- Chodź szukać kotów - powiedział i puścił jej oko.

Pozorował flirt, udawał zainteresowanie, co przynosiło oczywiście oczekiwany efekt.

Osiedlowe uliczki w godzinach pracy świeciły pustkami. Jeden chłopak złapał Paulinę za prawe ramię, drugi za lewe i grali przed światem świętoszków opiekujących się niepełnosprawną, gdy tymczasem prowadzili ją tam, gdzie nie będzie słychać jej krzyków.

Nie spieszyli się. Zaprowadzili ją powolnym krokiem za dom weselny.

- Kot! - krzyknęła uradowana, gdy nagle ktoś wpadł na nią i popchnął ją, przerywając chwilowe szczęście.

Zachwiała się i wleciała w podziemia, stykając się boleśnie z betonowym podłożem. Może gdyby nie miała zakłóconej od urodzenia równowagi, utrzymałaby się na skraju włazu albo w ostatniej chwili chwyciłaby się stalowego haczyka, ale chłopcy wiedzieli, że ze strony upośledzonej dziewczyny nie zetkną się z oporem.

Była zbyt przerażona, aby odczuwać ból prawej strony ciała, którą zwała się na ziemię. Wiedziała, że nie od razu wstanie, bo wysiłki z jej strony często okazują się daremne.

- Wstawaj, downie - zaczął pierwszy i szarpnął dziewczynę za nogę.

Paulina była tak mocno zdezorientowana, że przez jej gardło nie wydobył się żaden dźwięk. Ani ryk, ani jęk, ani krzyk. Można byłoby nawet uznać, że z obojętnością przyjęła upadek i zachowanie chłopców, ale nic bardziej mylnego.

Trzęsła się i coraz szerzej otwierała obracające się we wszystkie strony oczy. Nieznacznie zmieniła pozycję na betonowym podłożu i zaczęła gwałtownie kopać na oślep nogami, jakby chciała odgonić chcącego jej odgryźć stopę wilka. Nie panowała nad swoją reakcją, dlatego na ustach zaczęły jej się pojawiać czerwone krople krwi – od silnego wciskania zębów w obie wargi.

Wokół panowała ciemność i unosił się zapach wilgoci. Nie знаła tego miejsca, ale jego mrok i chłód wzbudziły w dziewczynie strach. Rozumiała tylko tyle, że pod nią rozciąga się twarde betonowe podłoże, które pokrywają odłamki żwiru, kamienia, szkła i innych raniących ją szczątków i odpadów. Tak bardzo pragnęła teraz pokonać swoją ułomność i móc zebrać się w sobie, by wydostać się z tego mroku, wezwać pomocy, krzyknąć, obronić się, uderzyć tych dwóch chłopaków, ale ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Tego dnia w bunkrze nie było cicho. Słyszała śmiechy pochylających się, kucających lub stojących chłopaków, uderzenia w rurę, jakby wewnątrz niej coś się zaklinowało, później odniosła wrażenie, że gdzieś w pobliżu słyszy ptaka, który wydzierał się panicznie. Najpewniej był tu od jakiegoś czasu uwięziony i nie potrafił znaleźć wyjścia. Młócił skrzydłami powietrze. Dziewczyna rejestrowała każdy jego histeryczny trzepot.

- Pokaż cycki – powiedział człowiek-karp, chichocząc.

Było w jego głosie coś przerażającego, jakby ktoś zacisnął mu krtań i kazał mówić. Cierpkość powietrza wydostającego się z gardła chłopaka powodowała dreszcze. Można byłoby sądzić, że Paulina nie pojęła intencji chłopaków, ale fakt, że

natychmiast zasłoniła dłonią dekolt - wskazywał na coś zupełnie odwrotnego. Kiedy ona trzymała się za zapięcie od bluzki, ktoś chwycił jej obie nogi i zaczął przesuwać po chropowatym podłożu. Dziewczyna krzyczała, bo skóra na jej plecach tarła o podłoże, piekąc potwornie. Ból był przeszywający, nie do zniesienia.

- Zatrzymaj się! Weźmy ją pod rękę, bo za bardzo się drze - zaproponował któryś z chłopców i podniósł obolałą Paulinę, stawiając ją pionowo na bezwładne w tej chwili nogi.

Ptak ponownie zatrzepotał skrzydłami, ale jakoś mniej obłądnie, jakby zrozumiał, że są tu tacy, którzy cierpią mocniej.

- No, downie, dawaj! - krzyknął! - Nie mamy czasu na twoje uniki!

Chłopiec-ryba zaśmiał się i spojrzał na swojego kumpla, który właśnie odpalił latarkę, oślepiając nią dziewczynę.

- Buziunia jak się patrzy... trochę za blada, ale to... - powiedział i dotknął jej biustu.

W tej chwili Paulina krzyknęła i natychmiast została ukarana mocnym uderzeniem w policzek. Twarz zaczęła ją palić i stała się nabrzmiała - trochę od uderzenia, trochę od złości, a trochę pewnie i z przerażenia.

- Nie drzyj się, downie, to nie będzie bolało! - zapewniał chłopak-ryba, wbijając jej palce w rękę. Oświetlając bunkier, przeszedł do pomieszczenia, w którym znajdował się stary materac bezdomnego.- Rzuć ją tam! - powiedział do kolegi, a sam upewnił się, że nikt nie słyszał jej krzyków.

Paulina nie wiedziała, co miało się za chwilę wydarzyć.

Nie miała pojęcia, w jakim celu chłopcy ją tu przyprowadzili i zachowują się wobec niej tak wulgarnie i agresywnie. Wyczuwała z ich strony pogardę dla niej samej i najprawdopodobniej dla jej ciała. Wydobywała z siebie różne odgłosy strachu i obawy, ale żaden nie przebił się przez mury podziemnych korytarzy.

Kiedy chłopcy rzucili ją w kąt, na leżący nieopodal materac, dziewczyna uderzyła się głową o ścianę. Miała wrażenie, jakby ktoś wbijał młotkiem gwoździe w jej potylicę. Nie zorientowała się, gdy człowiek-karp przylgnął swoim śmierdzącym ciałem do jej delikatnego brzucha i zaczął przesuwając paluchami po jej skórze. Odpychała jego dłonie, ale robiła to za lekko i zbyt nieudolnie, aby zniechęcić wygłodniałych gówniarzy do dalszej zabawy.

Nie wiadomo, co bardziej ją przerażało. Czy fakt, że chłopcy robią jej krzywdę i dotykają jej ciała bez zahamowań, bez skrępowań, czy uczucie bezradności i nieumiejętność poradzenia sobie w tej okropnej sytuacji. Żadna nastolatka nie umiałaby sobie poradzić, ale upośledzona dziewczyna nie potrafiła nawet odepchnąć chłopaków.

- Dotknij, stary, tych cycków - mówił ten z opuchniętymi wargami, czekając na kolegę, który zbliżył się, kładąc paluchy na piersiach Pauliny. I tak już nie dwoje, ale czworo rąk macało ciało roztrzęsionej dziewczyny.

Oprócz ich dłoni, wyczuwała odór nieświeżych ciał i gęste powietrze unoszące się w bunkrze. Próbowwała chwycić się za koszulkę jednego z nich, ale ten, widząc jej zamiary, złapał jej rękę i gwałtownie przesunął je nad jej głowę. Broniła się przed

ich twarzami, które coraz śmieiej przylegały do jej ust, policzków, ramion.

- Ty pierwszy - powiedział tym razem ten poparzony i odszedł w głąb pomieszczenia.

Człowiek-ryba nie zwlekał z tym, po co tu przyszli, i chwycił za nogawki spodni Pauliny, obnażając jej nogi, po czym, przesuwając rękami ku górze, zsunął dolną część bielizny...

W bunkrze rozległ się wrzask i odgłos silnych uderzeń. Krzyk ucichł i pozostało już tylko postękiwanie i... szuranie materaca o betonowe podłoże.

- Już, stary... teraz ty zamieniaj się w mężczyznę - powiedział człowiek-ryba - i korzystaj z uroków obnażonego kobiecego ciała - dodał, poklepując kolegę po ramieniu, po czym kucnął przy ścianie, wyciągnął papierosa i odpalił.

Spodnie miał jeszcze nie zapięte, jedynie niechlujnie wsunięte na tyłek.

- Na co czekasz? Przecież ona już jest rozgrzana - dodał i splunął metr od miejsca, w którym siedział.

W pomieszczeniu unosił się duszący zapach papierosa.

Dziewczyna od pięciu minut była nieprzytomna. Miała rozcięte od ciosów pięścią wargi i łuk brwiowy, opuchnięte powieki i złamany nos - tyle, jeśli chodzi o twarz. Reszta ciała była po prostu głęboko poraniona, obolała i krwawiąca, co nie przeszkodziło drugiemu chłopakowi zamieniać się w faceta.

Paulina nie była już świadoma, że druga, pryszczata twarz poci się nad nią i wydobywa jęki podniecenia.

- Gratuluję, kolego! Przyznaj, że wybrałem nam

atrakcyjną niewiastę! – powiedział chłopak o monstrualnych wargach.

- Może i masz rację, tylko co teraz z tą pięknnością zrobimy? – cieszył się drugi.

- Ukryjemy przed światem w ciemnych zakamarkach tego uroczego podziemnego zakątka, gdzie nawet sam Bóg jej nie dostrzeże – odpowiedział i gasząc kolejnego peta o mury bunkra i podchodząc do nieprzytomnej dziewczyny, wytarł ciekący mu z nosa katar o przegub ręki; drugą oparł o biodra. – Zrobiliśmy tu małą rozpierduchę, więc trzeba po sobie posprzątać, przyjacielu. Łap pod pachę, ja przytrzymam nogi i schodzimy najniżej, jak się da.

Po drodze zatrzymywali się, żeby otrzeć mokre czoła, wtedy puszczała Paulinę, która za każdym razem upadała z głuchym łoskotem bezwładnie na ziemię. Nie ubrali jej, nie wytarli – tak jak ją splugawili i upodlili, tak zostawili. Schodzili schodami coraz niżej i niżej, tam, gdzie bunkier zaczął przypominać jaskinię.

- Przyświeć tutaj – powiedział ochrypłym głosem człowiek przypominający karpia i przekręcił mosiężną klamkę z ośmiornicą, po czym małe zielone drzwiczki otworzyły się i ujawniły pustą czarną komórkę.

- Idealne miejsce na dogorywanie – zaśmiał się.

Następnie wrócił do leżącej dziewczyny, po czym wrzucił ją do środka; na koniec zamknął drzwi i przekręcił tkwiący w kłódce od kilkudziesięciu lat klucz, potem wsadził go do kieszeni i odwracając się, zapukał jeszcze w zielone drzwi.

- Puk, puk! Chyba nikogo nie ma... – rzucił, rechocząc,

i odszedł.

Słychać było jedynie szum ściekającej po ścianach wody.

Kiedy wspinali się po schodach na górę, zapinali rozporki, poprawiali fryzury i szczerzyli się, uznając dzień za pełen sukcesów. Zignorowali fakt, że obaj mieli poplamione krwią strzępy materiału sterczące z ich podartych portek.

Gdy wyłonili się spod włazu, teren był tak samo pusty, jak przed wepchnięciem tu dziewczyny. Wtedy, w 1956 roku, w miejscu dzisiejszego parkingu trzeba było przebić się przez gęste zarośla jeżyn, pokrzyw i krzewów. Należało odgarnąć wysoko rosnącą trawę i wyszukać ścieżkę, która prowadziła przez polanę otoczoną lasem. Jak na wrześnieowy dzień i obiadową godzinę, słońce mocno grzało. Dwóch chłopców spędziło godzinę, leżąc na kawałku wystrzyżonej trawki i żując jej źdźbło. Niemal usypiali, delektując się wspaniałym południem. Co jakiś czas krzywili się jedynie na przelatujące nad ich twarzami osy, ale gdy tylko odgonili niemiłego owada, znów wkładali ręce pod głowę i krzyżowali stopy, wdychając świeże powietrze. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że właśnie popełnili okrutną zbrodnię i zostawili głęboko pod ziemią zgwałconą i pobitą dziewczynę, nie dając jej szansy na przeżycie.

Kiedy usłyszeli dobiegające z ośrodka syreny, ocknęli się z panującej idylli i stając na palcach, próbowali rozeznaczyć sytuację.

- Pewnie zgłosili zaginięcie... Zamknąłeś dobrze wąż za sobą? - upewniał się chłopak o wargach karpia.

Ten drugi przysłonił oczy przed słońcem i uśmiechnął się

od ucha do ucha, odpowiadając:

- Na amen.

- Chodź, pokręcimy się po okolicy. Może pójdziemy nad zalew? - zaproponował człowiek-ryba.

- Przecież to zaraz za ośrodkiem...!? - dziwił się poparzony, ale na widok rozanielonej twarzy kolegi, wsunął pospiesznie sandały i pobiegł za nim.

Przechodzili właśnie obok płotu, przez który podglądali Paulinę, i nachylili się, aby zbadać teren. Pulchna kierowniczka załamywała ręce, rozmawiając z policjantem, gdy nastolatek o monstrualnych ustach i zdeformowanej głowie wyczuł wystający z tylnej kieszeni jakiś metalowy przedmiot. Za moment przekonał się, że trzyma w dłoni jedyny ślad po zabiciu upośledzonej dziewczyny. Spojrzał w dół, jakby zamierzał natychmiast pozbyć się klucza, ale właśnie zawiął wiatr i obróciła się głowa jednego z czterech drewnianych kotów. Nie zastanawiając się dłużej, chłopak przeszedł przez dziurę w płocie, podbiegł do źródła hałasu, odkręcił kotu łeb i badając wielkość metalowego pala, do którego był przymocowany, wrzucił klucz do wnętrza podłużnej podpory, której drugi koniec znajdował się pod ziemią.

*

I tak ów przedmiot tkwił przez ponad pięćdziesiąt lat dwadzieścia centymetrów pod powierzchnią, póki tajemniczy kudłaty pies nie postanowił pokopać w ziemi, naruszywszy stabilną strukturę czterech drewnianych kotów, pod którymi przetrwał próbę czasu klucz pasujący do małych zielonych

drzwiczek. A może wybór przez psa miejsca do kopania nie był przypadkowy? Może zwierzę miało za zadanie naprowadzić tych młodych ludzi na szkielet zaginionej w niewyjaśnionych okolicznościach dziewczyny, która kiedyś została przez społeczeństwo wykluczona, a od lat sama wykluczała?

*

Od zaginięcia dziewczyny minął prawie rok. Był środek wakacji. Grupka miejscowych chłopaków pojawiła się na plaży. Tego lata ludzie tłumnie przychodzili nad zalew. Słońce mocno grzało. Dzieciaki grały w piłkę, dorośli wypożyczali kajaki i wodne rowery. Zalew tętnił życiem.

Czterech chłopców ganiało się po pomoście i wskakiwało do wody. Wygłupiali się, śmiali, popychali, popisywali jeden przed drugim.

- A umiesz wskoczyć do wody z petem w zębach? - pytał nastolatek o monstrualnych wargach swojego kolegę.

Tamten zaprzeczył. Człowiek karp postanowił zademonstrować swoje umiejętności. Wszedł na stopień, trzymając w buzi papierosa, wskoczył do wody, po czym wypłynął i zaciągnął się dymem...

- Jak to zrobiłeś?!

- Musisz odwrócić fajkę zarem do wewnątrz, ale ty tego nie rób, bo jeszcze połkniesz, myśląc że to papu - powiedział, uderzając tamtego w tył głowy.

Lubił chełpić się z byle powodu. Rozglądał się wokół siebie i liczył, ile osób właśnie na niego patrzy. Zdawał sobie sprawę

z tego, że jest arogancki i zachowuje się jak idiota, ale wiedział też, że ludzie boją się nieobliczalnych durniów, dlatego niczego nie pragnął bardziej, jak pokazać światu, że nim jest.

Jego kolega odparł:

- Dobra, może nie potrafię palić pod wodą, ale spójrz na to... - Nie dokończył, za to wszedł na niższą skocznię, tę trzymetrową, po czym rozpędził się i robiąc dwa szybkie salta w powietrzu, zanurzył najpierw głowę, później resztę ciała.

Dwaj pozostali, którzy stali na pomoście, zaczęli gwizdać i klaskać z uznaniem, tylko człowiek karp skrzywił się i zmarszczył wystające czoło.

- Słabe! - krzyknął. - Mój staruszek zrobiłby to lepiej. Patrz, jak to się robi - powiedział i wszedł na najwyższą skocznię.

Zanim z niej zeskoczył, spojrzał z góry na kolegów i wystawił do nich język, wykonał taniec godowy, pomachał do stojących nieopodal dziewczyn, wykonał w ich kierunku kilka obrzydliwych gestów i dopiero zaczął przygotowywać się do skoku.

Kręcił się po betonowym prostokącie, wychylał głowę, aby spojrzeć, z jaką wysokością przyjdzie mu się za chwilę mierzyć, drapał się po pryszczatych policzkach i odgarniał przyklejone włosy z czoła. Bał się, to pewne, ale nie mógł dać tego po sobie poznać, przecież publiczność obserwuje i spodziewa się, że występ gwiazdora będzie na najwyższym poziomie.

- Jesteście, debile, gotowi na ten akrobatyczny pokaz?! -

krzyczał jeszcze ze skoczni. – Pan potrzebuje wiwatu, a wy nie potraficie nawet tego zapewnić. Kto was takimi zrobił?!

Nie wiadomo, czy to ostatnie wypowiedziane przez niego zdanie spowodowało, że spotkał go tak fatalny los, czy został ukarany za ogólną postawę wobec innych ludzi, a może i jedno, i drugie przyczyniło się do takiego końca wakacyjnych wygłupów, w każdym razie człowiek-karp szybko pożałował swoich życiowych wyborów.

Najpierw poczuł, że od kolan w górę zaczyna sztywnieć. Nie mógł zmienić postawy ciała, którą przyjął, przygotowując się do skoku. Dłonie trzymał nad głową, uszy dotykały ramion, stał lekko pochylony, patrzył przed siebie, szczerząc zęby. Początkowo czuł się jedynie dezorientowany. Nie rozumiał, co się z nim dzieje: dlaczego ciało nie reaguje na sygnały, które wysyła jego mózg. Mierzył wzrokiem kumpli, którzy spoglądali na niego z uśmiechami na twarzach. Człowiek-karp mógł poruszać jedynie gałkami. Widok rozbawionych ludzi rozwścieczał go, bo kiedy inni świetnie się bawili, on wstrzymywał oddech, nie wiedząc, z jakiego powodu ciało odmawia mu posłuszeństwa.

Słońce mocno świeciło, rażąc go w oczy. Z daleka docierały krzyki maluchów, odgłos silnika motorówek, objijającej się o pomost wody. Jeden z ratowników słuchał *Love me tender* Elvisa Presleya. Jakaś matka zakładała dziewczynce kostium, a blondynek z loczkami płakał, bo gałka lodu upadła mu na brzuch. Były też dwie dziewczyny, które na znak-sygnał odwracały się plecami do słońca. Chłopak-karp stał, nie mogąc się poruszyć, zmienić miny, zrobić

czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zawiadomić kolegów, że dzieje się z nim coś niedobrego, niczego, co zmyłoby mu z gęby krzywy uśmiech.

Potem było już tylko gorzej. Miał wrażenie, że ktoś zaszywa mu usta. Ból był niewyobrażalny. Wydawało mu się, że przekłuto jego wargi grubą tępą igłą, na którą uprzednio nawleczono nitkę, i jak gwoździe wbija się w deskę, tak wielka igła siekała dolną i górną wargę, z której sączyła się gęsta krew. Później poczuł żar przepalający mu język, dziurawiący podniebienie, jakby wewnątrz ust pojawił się ni stąd, ni z owąd papieros, którego na dodatek nie mógł wypluć. Papieros zmieniał mu górne drogi oddechowe w czarną śluzową breję, dlatego teraz każda próba zaczerpnięcia powietrza sprawiała tak niewiarygodny ból, że chłopak wewnątrz cały dygotał, a na zewnątrz szczyrzył zęby do plażowiczów. Nikt nie miał pojęcia, że nastolatek przeżywa najgorsze katusze, jakich kiedykolwiek można doświadczyć - wiedziała o tym tylko jedna dziewczyna, która stała niezauważona na pomoście i nie spuszczała z chłopaka oczu.

- No dawaj, gościu! - krzyknął któryś z kolegów.

Człowiek-karp spojrzał w kierunku, z którego docierał entuzjastyczny wrzask, i wtedy ją zobaczył. Stała pośród innych ludzi na pomoście. Wyglądała blado... piekielnie blado. Ciemne włosy opadały jej na czoło. Skóra wydawała się tak cienka, jakby miała się za chwilę rozerwać. Wbijała w niego swój śmiertelny wzrok. Poznał ją. To jej ciało zostawił w bunkrze zeszłego roku. Już dawno o tym zapomniał. Dopiero teraz, gdy zabijała go spojrzeniem, rozpoznał w niej

niepełnosprawną dziewczynę, którą podstępem wyprowadził z ośrodka.

Kiedy walczył z tańczącym w buzi zapalonym papierosem, usłyszał dźwięk przypominający uderzenie młota do kucia betonu. Dopiero po pewnym czasie pojął, że owym młotem będzie miał przebijane na wylot kości. Narzędzie służące do wykonania przebić w kamieniach i skuwania tynków będzie rozwalać na żywca jego szkielet. Czuł, jak młot zaczyna zbliżać się do pleców i wwiercać się między kręgi stalowymi prętami, uderzając przy tym we wszystkie narządy wewnętrzne. Przeżywał największy koszmar w swoim życiu.

Po serii pchnięć, odetchnął z ulgą, bo nagle wszelki ból minął, a chłopak myślał, że ten dziwny koszmar już się skończył, ale tak naprawdę najgorsze miało dopiero nadejść. Człowiek-karp odniósł wrażenie, że ktoś stojący za nim zdjął mu kąpielówki. Wstyd, jaki wówczas poczuł, nie miał większego znaczenia, po chwili bowiem wydawało mu się, że wsadzono mu w odbył rurkę, przez którą wpuszczano do jelit mrówki. Te małe ruchliwe owady przebijały się przez ścianę jelita, a ból po ukąszeniu był porównywalny z bólem po postrzale. Chciało mu się wyć, wrzeszczeć i piszczeć jednocześnie, ale zakneblowane usta uniemożliwiały nastolatкови wydobyć z siebie głos.

Na samym końcu stało się to, czego długo nie mogli zrozumieć rówieśnicy stojącego na skoczni chłopaka. Z ich perspektywy wyglądało to tak, jakby nastolatek nagle postanowił popełnić samobójstwo albo miał zwidy, ponieważ wyskoczył niespodziewanie w takim stylu, do jakiego się

przygotowywał, czyli prosto na główkę, ale z drugiej strony barierki, trafiając nie do wody, a na pomost...

Rozległ się krzyk przerażenia. Ludzie natychmiast zbiegli się, otaczając połamane chłopaka z każdej strony. Sprawdzali puls, przykładali dłonie do jego czoła, otwierali jego nieprzytomne oczy.

Niebawem okazało się, że nastolatek doznał rozległych urazów głowy i kręgosłupa. W rezultacie nie był w stanie samodzielnie się poruszać ani mówić. Leżał przykuty do łóżka, a rodzice pomagali mu wykonywać najprostsze czynności. Po dziesięciu latach zmarł.

*

Zimą 1959 roku tragicznie zginął drugi z chłopców. Szedł późnym wieczorem wzdłuż torów kolejowych, kiedy zobaczył przed sobą dziewczynę, którą trzy lata wcześniej zgwałcił w bunkrze. Myślał, że zwariował. Zaczął przecierać oczy, a gdy upewnił się, że jest to ta sama nastolatka, którą podstępem wprowadził z ośrodka dla niepełnosprawnych, odwrócił się i próbował uciec. Najbardziej na świecie zapragnął oddalić się od dziewczyny, która wydawała mu się najstraszniejszą istotą, którą przyszło mu kiedykolwiek spotkać na swojej drodze. I nie mylił się. Zmarła przed laty nastolatka trochę się nad nim poznęcała, zanim pozwoliła, aby przejechał go pociąg towarowy, przecinając jego ciało na sześć kawałków.

ROZDZIAŁ XIX

Kiedy sierpień był już bliski przejścia we wrzesień, pierwsze liście zaczęły opadać na chodniki. Nikt nie pamiętał takiego deszczowego i burzowego lata. Miasteczko wciąż wyglądało jak miejsce dla umarłych, pogrążone w zadumie nad tragiczną przeszłością. Niewiele się zmieniło - tydzień po śmierci Rudego, zabetonowano dwa wejścia do bunkra, poza tym zamiast czterema łbami drewnianych kotów, wiatr poruszał trzema.

W jednej z gazet można było przeczytać, że *mroczne podziemia, będące świadkami zbrodni, już nie będą niepokoić mieszkańców* . Zabezpieczając bunkry przed ludźmi, ktoś zapragnął ochronić ich przed niebezpieczeństwem, uznając, że to właśnie schron jest winny śmierci nastolatków. W tym zdaniu autor ukrył jeszcze coś, a mianowicie wizję lepszej przyszłości. Gdyby to te „mroczne podziemia ” stanowiły źródło potworności, owa wizja mogłaby okazać się prawdziwa...

Opady deszczu nie ustępowały, dlatego gdy chłopak, którego od dziecka przezywano Buszmen, wyszedł z jednego z baraków, na jego twarz natychmiast chlusnęły strugi wody.

Jako dziecko był otyły, ale w miarę upływu czasu jego policzki zaczynały smuknąć. Teraz jego chłopięca buzia nabierała ostrych rysów. Wystraszone, niepewne dziecięce spojrzenie zmieniło się w przenikliwe i obłądne. W kieszeni miał ukryty scyzoryk, jakby spodziewał się spotkać na ulicy gorszego od siebie. Uszy zatkał słuchawkami, z których wydobywał się tandetny bełkot, o tym jak to siła zwycięży, zemsta popłaca, nienawiść motywuje i takie tam - chłopak wierzył w te „prawdy”. Zresztą nie tylko on.

Wszedł właśnie na ulicę Staffa, kiedy zobaczył zdechłą żabę. Gdy mijał szereg kamienic, spostrzegł, że jest ich coraz więcej, jakby powyłaziły na asfalt z bezpiecznych kryjówek i wskakując na jezdnię, od razu ponosiły śmierć. Czuł, jak miażdży ich drobne trupie ciała pod własnymi butami, ale nie robiło to na nim wrażenia.

Spotykał się w kumplami zawsze pod warszawiakiem. Już od dawna w piwnicy tego domu napisane było na ścianie „Buszmen tu był. Lato 2015”.

- Szefie, byłem już w środku, ale nie posiedzimy tam tym razem - mówił Lolo, gdy Buszmen uderzał go w bark na powitanie.

Lolo był kolegą Buszmena. Obaj jako dzieci bawili się na torach w niebezpieczną grę sprawdzającą ich odwagę, póki Lolo nie poślizgnął się na szynie, uderzając w nią plecami i tracąc oddech. Przeżył wtedy wyłącznie dlatego, że pociąg przejechał sąsiednim torem. Ten jeden raz wystarczył, aby chłopcy pojęli, że to głupia zabawa.

- Bo? - dopytywał Buszmen, mieląc w buzi gumę

i przechodząc przez próg warszawiaka, który z roku na rok coraz bardziej przypominał ruinę i pozostałości po niedokończonych kiedyś budowach.

- Piwnica jakaś taka mokra...

- Jak to „jakaś taka mokra”, baranie? Możesz się normalnie wyrażać?!

- No, zalało ją, czy coś...

Obaj chłopcy weszli do środka, po czym skierowali się na dół. Wąskie schody prowadziły zakolem do piwnicy. Brakowało jakichkolwiek belek, podpórek, poręczy, gwoździ, czegokolwiek, co czyniłoby ten budynek domem. Przez małe okienka, przez które widać było chwasty i zbyt długą trawę, wlatywała odrobina światła. Będąc przy ostatnim schodku, zatrzymali się.

- Kałuża? Jak to możliwe? - zastanawiał się Buszmen, ale nie przyszło mu do głowy, że gdzieś pośród starych fundamentów warszawiaka nastąpił przeciek i do piwnicy, regularnie przedostawała się woda, co w rezultacie spowodowało, że dom stał w kałuży.

- Możemy się jej pozbyć wiadrami... - powiedział Lolo, nie podejrzewając, że Buszmen po takiej propozycji najchętniej po prostu pchnąłby go do wody.

- No co ty nie powiesz! Łatwiej będzie, jak wrócimy tu po prostu za dwa dni - odpowiedział, ale gdy miał się już skierować w stronę wyjścia, zauważył, że w jednym miejscu woda znajduje ujście albo z jakiegoś powodu tam się nie gromadzi. - Dlaczego w tamtym rogu nie ma wody? Masz telefon? Przyświeć...

Lolo wyjął z kieszeni komórkę i oświetlił jeden z piwnicznych kątów. Woda była czarna i mętna. Niewiele można było dostrzec. Na jej powierzchni unosiły się liście, paprochy i inne odpady, które ludzie gromadzili tu latami. I woń była nieprzyjemna. Pachniało pleśnią.

- Syfiasto tu, ale przynieś z dworu jakiegoś długiego kija - powiedział Buszmen, szturchając Lolo, żeby się pospieszył.

Lolo, jak na zawołanie, zjawił się za chwilę z wielką sztywną gałęzią. Buszmen odebrał ją z rąk kolegi i zanurzył jej koniec tam, gdzie woda była najpłytsza.

- I jak, szefie, czujesz coś pod nią? - niecierpliwiał się Lolo. W końcu to on przyniósł gałąź, która teraz badała dno.

- Coś tam sterczy niewielkiego. Muszę spróbować to podważyć.

Po kilku minutach chodzenia w brudnej wodzie metalowy haczyk uniósł się i za chwilę wyłonił się uchwyt.

- Czuję coś większego! Daj mi chwilę - dodał Buszmen.

Nie minęło pięć minut, kiedy Buszmen w odpowiednim momencie szarpnął za gałąź i otworzył wejście.

- Co to?! Jakiś dół? Patrz, jak woda szybko tam spływa! - krzyknął Lolo i gdy ubyło wody, chłopaki zeskoczyli z ostatniego stopnia schodów i podbiegli do wlotu.

- Ja pierdolę! To ten bunkier! - podniecał się Buszmen. - Właśnie odkryliśmy trzecie wejście, stary! Jesteśmy geniuszami! Od siedmiu lat loch był zamknięty!

- O kurwa! Jaka czarna dziura! Ponoć ten bunkier jest ogromny! - powiedział Lolo, nachylając się nad mrocznym schronem. - Już dawno chciałem tam wejść! - dodał.

*

Wraz z początkiem września deszcz zaczął ustępować, ale nad miastem wciąż unosiła się mglista szaruga. Nic nie dudniło w blaszane dachy starych kamienic, ale silne podmuchy wiatru wierzgały antenami, rynnami i innymi przedmiotami będącymi w jego zasięgu.

Buszmen i Lolo siedzieli na krawężniku i przyglądali się kawałkowi blachy, który uderzał z łomotem o parapet jednego z okien świetlicy.

- W szkole są jeszcze lekcje? - zapytał Lolo, usłyszawszy rozlegający się w budynku obok dzwonek.

- Jakies chyba dodatkowe, dla niepełnosprawnych.

- Denerwuje mnie to, że oni chodzą do naszej szkoły! Co to za pomysł, żeby normalni chodzili do jednej klasy z nienormalnymi! - denerwował się Lolo, uderzając kamieniem w krawężnik. - Kiedyś takiego czegoś nie było! - dodał po chwili. - Świat dziwaczeje. Oni mieli swoje szkoły, my mieliśmy swoje!

- Spójrz, jak ona wygląda! - śmiał się Buszmen, pokazując palcem na dziewczynkę wychodzącą właśnie ze szkoły. - Jakie ona ma buty! Starzy w nią nie inwestują!

- A po co? Przecież wiadomo, że nikt nie zwróci na nią uwagi.

Obaj chłopcy patrzyli teraz na dziewczynkę z jakimś dziwnym wstrętem. Ta, gdy zorientowała się, że ktoś ją obserwuje, przełknęła głośno ślinę. Miała w zwyczaju chodzić szybko i nazbyt zamasyście. Jakby wciąż gdzieś się spieszyła.

Idąc, obracała we wszystkie strony dłońmi, najbardziej jednak zwracała uwagę mimiką jej twarzy, nad którą po prostu nie panowała. Wydawało się, że z kimś rozmawia, gdy tymczasem obok niej nikogo nie było.

- Ma twarz starej kobiety! - zauważył Buszmen.

- I nie ma brwi - dodał Lolo.

- Koleżanko, dokąd się tak spieszysz? - zapytał któryś z chłopców.

Dziewczynka zatrzymała się tuż przed nimi. Wydawało się, że nie ma zamiaru w ogóle odpowiedzieć, po chwili jednak zaczerpnęła głęboko powietrze, wydeła dolną wargę do przodu i powiedziała:

- Odczepcie się ode mnie, co?!

Chłopcy wybuchli głośnym śmiechem, a dziewczynka niby stała, ale wyglądała, jakby biegła w miejscu. Obracała dłońmi i tarła nimi o łokieć, później gwałtownie się wyprostowała, ale znów wróciła i z wypiekami na twarzy powiedziała:

- Nie wytrzymam za chwilę! Co ja wam takiego zrobiłam?! Odczepcie się... wy... wy... wy... - zacięła się, a chłopaki siedzieli i patrzyli na wzburzoną dziewczynę. - Wy ptasie mózdzki! - wypaliła, powodując jeszcze większy rechot.

- „Ptasie mózdzki ”! - powtórzył Buszmen, gdy dziewczyna oddalała się w stronę parkingu.

- Do której ona klasy chodzi? Ilu jest tam takich wariatów?

- Nie wiem, ale jutro w szkole się dowiem.

*

Minęło parę dni, odkąd chłopaki poznali pierwszą niepełnosprawną dziewczynę. Dziewczyna, bez brwi, jak ją określali, miała na imię Bogumiła.

- Bogumiła - śmiali się na jednej z przerw, stojąc na korytarzu. - Ale Bóg dla ciebie już taki miły nie był, co?! - krzyczeli, gdy ta przechodziła obok nich.

- Wy... odczepcie się ode mnie, co?! - wrzeszczała w odpowiedzi, czerwieniejąc się ze złości.

Nie do końca wiedziała, czego od niej chcieli. Nie rozumiała również w pełni, co jej zarzucali, ale reagowała zawsze w ten sam sposób.

- Bogumiła!

- Czego chcecie?!

- Gdzie zgubiłaś brwi?

- Odczepcie się ode mnie... wy... wy... wy...

Chłopaki zwijali się ze śmiechu.

Codziennie ją zaczepiali, a ona nigdy nie umiała im zwyczajnie odpowiedzieć. Zaczynała się, a chłopaki mieli ubaw.

*

Któregoś dnia, gdy przyszła zima i spadł pierwszy śnieg, Bogumiła, idąc do szkoły, jak zwykle zbyt szybko i nieostrożnie, przed samym wejściem do budynku runęła na ziemię. Głową uderzyła o twarde podłoże, więc rozpląkała się, leżąc obolała na ziemi. Pech chciał, że widział to Buszmen, który podbiegł do dziewczyny. Wyciągnął w jej kierunku rękę, po czym schował ją za plecy, mówiąc:

- Żartowałem. - Podszedł za to do murka ciągnącego się

wzdłuż schodów, nabrał w garść lepkiego śniegu i zaczął nim rzucać w leżącą Bogumiłę. – Przestań się drzeć! – wrzeszczał. – Zaraz zatkam ci czymś ten paskudny ryj!

Dziewczyna leżała bezwładnie na ziemi – przestraszona i rozdygotana.

Buszmen rzucił najpierw jedną śnieżką, później, rozochocony płaczem dziewczynki, ciskał coraz większą ich liczbą, w końcu podszedł do Bogumiły, uklęknął tuż nad nią i natarł jej śniegiem całą twarz.

– Nie powinno cię tu w ogóle być!

– Olek, co wy wyprawiasz?! – krzyczała jedna z nauczycielek. – Pójdiesz ze mną do dyrektora!

– Nigdzie nie będę szedł! A ona jeszcze pożałuje, że się urodziła! – krzyknął i wyszarpał się z rąk trzymającej go za rękaw nauczycielki.

Tego dnia nie wszedł do szkoły. Krążył po okolicy. Działo się z nim coś dziwnego. Był wściekły i miał ochotę rozwalić wszystkim trzem drewnianym kotom ich nieruchome łby. Zwinął nawet pięści.

– Przez tego upośledzonego oszołoma będę miał problemy! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

*

– Słyszałem, że byłeś u pedagoga – powiedział Lolo następnego dnia, doganiając Buszmena, który stał przed głównym wejściem do szkoły.

– Każą mi ją przeprosić, rozumiesz?! Mnie! – krzyczał, wskazując palcem na samego siebie.

Lolo wzruszył ramionami, a oczy Buszmena nagle się ożywiły. Pochylił się w stronę Lolo i wydusił:

- Jeszcze nienormalna tego pożałuje.

Wiatr zawył. Wbite na pale trzy drewniane koty obróciły równocześnie łbami, w podziemnych korytarzach bunkra krążył tajemniczy świszczący odgłos, lecz tylko ktoś, kto przechodził obok warszawiaka, mógłby go usłyszeć. Nikt również nie zauważył, że w zbitej szybie świetlicy odbijała się blada twarz młodej dziewczyny.

Wykluczeni

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-313-5

© Aleksandra Szalek i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paweł Pomianek

KOREKTA: Paulina Orczykowska

OKŁADKA: Krystian Żelazo

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

